

**HORROR**

**GUY N. SMITH**

autor cyklu Kraby

**SZATAŃSKI  
PIERWIOSNEK**

Niepowtarzalny klimat  
napiecia i grozy

PHANTOM PRESS

# SZATAŃSKI PIERWIOSNEK

GUY N. SMITH

W spokojnym zakątku Szwajcarii jedna z ofiar nazistowskiego terroru odnajduje swego kata... jak się okazuje, sprzymierzonego z siłami zła. Wartka akcja oraz niepowtarzalny klimat tej powieści zachwyca każdego czytelnika.

Wkrótce Phantom Press International wyda kolejny horror Guya N. Smitha

## WEŹE

Wartka akcja, dramatyczne i mrozące krew w żyłach wydarzenia sprawiają, że jest to książka atrakcyjna i czyta się ją jednym tchem.



Guy N. Smith

SZATAŃSKI

PIERWIOSNEK

Przełożył:

Krzysztof Gronowicz

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL

GDAŃSK 1991

Tytuł oryginału:

*Satan's Snowdrop*

Redaktor:

Roman Głowinkowski

Opracowanie graficzne:

© 1980 by Guy N. Smith

© Copyright for the Polish edition by Phantom Press International

Gdańsk 1991

Wydanie I

ISBN 83-85276-64-5

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków Zam. 3713/91.

Druk z dostarczonych diapozytywów.

## PROLOG

### Taniec śmierci

*Każdy przechodzień musi tu spojrzeć  
By pamiętać kim będzie, gdy w dole,  
Między drewnianymi palami, wzburzona rzeka  
Biegnie z impetem jak rzeka Życia.*

Wysoki mężczyzna, ukryty w oszronionych krzakach, obserwował uważnie dom. Setny raz odczytywał napis umieszczony na mosiężnej tabliczce nad drzwiami. Znał go już na pamięć. Próbował przypomnieć sobie; kto napisał ten wiersz. Chyba Longfellow, ale nie miało to w tej chwili żadnego znaczenia.

Przez jego oba policzki biegła ogromna blizna. Mięśnie twarzy drgnęły i wargi utworzyły niekształtną szparę. Trudno było odróżnić czy był to uśmiech, czy grymas złości. Beret, głęboko nasunięty na oczy, ukrywał zabliznione rany na łysej czaszce. Całą głowę pokrytą miał skomplikowaną siecią szram i zrostów, tworzących jakby mapę nieznanego miasta.

Zacisnął pięści w kieszeniach zniszczonego płaszcza. Nie mógł oderwać oczu od drewnianego domu na wprost niego. Drżał cały z wściekłości kipiącej w nim od przeszło dwudziestu lat.

Z trudem opanował się. Już niedługo będzie miał okazję, aby dać upust swej nienawiści. Za godzinę powinien zapaść zmrok. Dopóki jednak to nie nastąpi, nie może nic zrobić. Przede wszystkim musiał upewnić się czy człowiek, o którego mu chodzi, jest w domu. Od wielu godzin nie zaobserwował żadnych oznak obecności gospodarza. Dom równie dobrze mógł być pusty. Mogło się okazać, że znowu poszedł złym tropem. Znaczyłoby to, że musi szukać nowych śladów i wskazówek, znów zaczynać wszystko od początku.

Zacisnął usta. Na jego twarzy malowała się determinacja. W końcu przyjdzie taki dzień, w którym go dopadnie. To musi się stać. Był prawie pewien, że tym razem znalazł tego, kogo szukał. Chciał zadzwonić do Deydiera w Paryżu i powiedzieć mu, że jest na tropie. Tym razem było to niemal pewne. Tylko tu na wzgórzu Reichenbach mógł się ukryć ten człowiek. Pewnie zaszył się w górach jak lis w pierwszej napotkanej norze i wydaje się mu, że bezpiecznie uszedł pogoni. Chciał powiedzieć Deydierowi, żeby przyjechali jak najszybciej z Legrosem. Że tym razem Reichenbach na pewno im nie umknie.

Jednak po namyśle nie zadzwonił do Paryża. Zanim Deydier i Legros przyjechaliby do Szwajcarii, wykonanie wyroku

znów na jakiś czas by się odwlekło. W ten sposób usprawiedliwiał swoją decyzję. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie powiadomił współników, gdyż nie chciał dzielić się z nimi słodkim owocem zemsty. Zamiast dzwonić wyśle depeszę. Trzy słowa „Skończyłem z tym” powiedzą im wszystko. Potem zniknie na zawsze. Tak jak Reichenbach zniknął dwadzieścia lat temu.

To był długi, morderczy dzień. Był tak blisko celu i wiedział, że może go nie osiągnąć.

Lustrował dom. Doskonałe miejsce na kryjówkę dla Reichenbacha - solidna, drewniana forteca w trudno dostępnym miejscu. Rwący strumień w pobliżu uporałby się z każdymi zwłokami. Ciało roztrzaskane po drodze o skały zatrzymałoby się pewnie dopiero kilka kilometrów stąd. Grób wręcz wymarzony dla Reichenbacha.

Obserwator przypomniał sobie wreszcie, gdzie czytał te wersy. Stała mu przed oczami XVII-wieczna rycina „Taniec śmierci”, z umieszczonym pod nią właśnie tym wierszem Longfellowa.

Dom nie pasował do tego miejsca. Data nad drzwiami wskazywała na 1643 rok. Solidna konstrukcja nosiła już ślady przeszło 300-letniej egzystencji. Cztery kondygnacje były ozdobione rzędami wymyślnych płaskorzeźb wykonanych ręką tego samego szwajcarskiego mistrza. Podziwiał groteskowe, przypominające totemy twarze i myślał, że ich wykonanie musiało zająć połowę życia nawet najbieglejszemu rzemieślnikowi.

Fryzy nad oknami przedstawiały dzikie górskie kwiaty z powtarzającym się stale między nimi motywem pojedynczego pierwiosnka. Dziwny był to kontrast, ale uwagę obserwatora przykuły masywne, drewniane bale, na których, jak na podwyższeniu, umieszczony był dom. Prawdopodobnie budownicy nie mogli wykuć fundamentów w twardej skale lub dom przetransportowano tutaj z jakiegoś innego miejsca. Francuz zadrżał. Wyczulona wyobraźnia podsuwała mu obraz poprzedniego umiejscowienia domu. Drewniane wsporniki sugerowały, że mógł on stać na jakichś złowieszczych bagnach, gdzie diabelskie otchłanie kotłowały się tuż pod schodami wejściowymi. Każdy fałszywy krok groził śmiercią nierozważnemu wędrowcowi. Jaka więc była przyczyna przeniesienia tego domu? Nie czas było teraz szukać rozwiązania. Najważniejszy był w tej chwili człowiek ukrywający się w nim.

Cienie kładły się w małym ogródku, dzielącym kryjówkę w zaroślach od domu. Mężczyzna, nie odrywając oczu od okien poczuł gwałtowne uderzenie własnego pulsu. Ktoś poruszał się w pokoju. Mgnienie oka wystarczyło - to był Reichenbach.

Francuz zerknął na niebo. Słońce *t* zachodziło, rzucając krwawe blaski na ośnieżone wierzchołki gór. Zdawało się, że natura przeczuwała zbrodnię, która za chwilę się wydarzy. Nie, jeszcze nie czas, aby opuścić kryjówkę. Jeszcze trochę cierpliwości. Zresztą co znaczy jedna godzina więcej po dwudziestu latach oczekiwania. Nagle jego wzrok przyciągnęła purpurowa plama przy schodach. W jej środku rósł niewielki



pierwiosnek. „Cóż to jest, u diabła? Odbicie zachodzącego słońca, światło z okna domu? Nie. Słońce skryło się już za górami, w oknach panowała ciemność. Fatamorgana?” - próbował znaleźć rozwiązanie. Końcem języka zwilżył pokiereszowane usta. Znów wstrząsnął nim dreszcz. Głupotą było zajmowanie się takimi drobiazgami. Teraz liczył się tylko Reichenbach.

Miły ciężar pistoletu w kieszeni płaszcza dodawał mu odwagi. Bez problemu przemycił go przez francuską granicę. Żaden celnik nie chciał zawracać sobie głowy rewidowaniem włóczędzy.

Nie zamierzał używać pistoletu, aby zabić Reichenbacha. To byłaby zbyt szybka śmierć. Chciał widzieć cierpienie Niemca. Chciał, aby poczuł on choć w przybliżeniu to, co czuły jego katowane do granic ludzkiej wytrzymałości ofiary.

Słabe światło lampy naftowej gdzieś w głębi domu rzucało na śnieg żółtawy poblask. Francuz spojrział jeszcze raz na niebo. Już - zdecydował. Pochylony, powoli ruszył w stronę domu. W dłoni, której czwarty i piąty palec były potwornie okaleczonymi kikutami, nerwowo zacisnął pistolet. Co kilka kroków przystawał i nasłuchiwał. Wreszcie, ciągle pod osłoną zarośli, dotarł do podnóża schodów. Nie było tam nawet śladu krwawej plamy. To musiało być jakieś złudzenie.

Zaczął ostrożnie wspinać się po solidnych, drewnianych stopniach. Nawet nie skrzypnęły pod jego ciężarem. Już sięgał do klamki, gdy poczuł obrzydliwy odór. Powiew odrażającego

smrodu prawie zwałił go z nóg. Odwrócił twarz od drzwi, próbując powstrzymać torsje. Był to zapach gnicia, postępującego rozkładu żywej materii. Znał go dobrze z nazistowskich obozów koncentracyjnych. Nie mógł się mylić - nie zapomina się woni śmierci. Pociągnął za klamkę. Drzwi ustąpiły bezszelestnie, otwierając przed nim mroczną otchłań. Zawahał się przestępując próg. Czuł się, jakby był na ogromnym poboju, gdy tysiące ciał zaczynają się rozkładać, toczone przez białe, oślizłe robaki.

Zasłonił twarz chustką i z wyciągniętą przed siebie ręką ruszył na oślep do przodu. Ciemności były nieprzeniknione. Palcami namacał dębową boazerię. Wydawało się, że odór zelżał, a może po prostu się do niego przyzwyczaił. Gardło miał zaciśnięte ze strachu. Wydawało mu się, że jest tu chłodniej niż na zewnątrz. Jego wyobraźnia pracowała gorączkowo i podsuwała mu potworne obrazy.

„Znajdź Reichenbacha i zabij” - wewnętrzny głos przypominał mu o jego misji. - „Jesteś winny to trzem tysiącom ludzi, którym nie udało się przeżyć”.

Wreszcie znalazł drzwi do sąsiedniego pokoju. Wszedł. Przy kominku bokiem do drzwi siedział człowiek. Mózg intruza pracował gorączkowo. Czy to on? Przywołał w pamięci obraz wysokiego, szczupłego, krótko ostrzyżonego mężczyzny w małych okularach bez oprawy. Przypomniał sobie okrutny i cyniczny uśmiech, jaki błędził na jego wąskich, białych wargach, kiedy zbliżał się do kolejnej ze swoich ofiar.

Nie mylił się, choć między zapamiętanym obrazem kata, a starcem siedzącym na fotelu, nie było prawie żadnego fizycznego podobieństwa. Tylko oczy za małymi okularami pozostały te same. Ciało skurczyło się. Twarz była pokryta ropiejącymi wypryskami, jątrzącymi się wrzodami, których wydzielina spływała kroplami po policzkach i brodzie.

- Dobry wieczór - usłyszał chrapliwy głos. - Kim pan jest? Czego pan sobie życzy?

- Jestem Pierre Lautrec - odpowiedział. - Wreszcie cię dopadłem, Reichenbach.

- Nie rozumiem.

- Zamordowałeś setki ludzi, Reichenbach. Ale niektórzy wymknęli się śmierci jak ja, Deydier czy Legros. Pamiętasz nas? Lautrec z francuskiego ruchu oporu schwytywany przez gestapo w Paryżu i przywieziony do obozu w Norymberdze. Pamiętasz co mi zrobiłeś?

Zaległa cisza. Słyszać było tylko przyśpieszone oddechy obu mężczyzn.

- Ciągłe nie pamiętasz? Spójrz na to! - Lautrec zrzucił chustkę i beret na podłogę. Podszedł bliżej lampy, aby siedzący lepiej mógł widzieć jego zmasakrowaną czaszkę i twarz. - No i cóż? Co teraz powiesz?

- Straciłem wzrok - przybysz dopiero teraz zauważył, że oczy siedzącego mężczyzny pokrywa bielmo.

- Odświeżę ci trochę pamięć, Reichenbach. Chciałeś, abym podał nazwiska i dane moich współtowarzyszy z ruchu oporu. Ale nie to było dla ciebie najważniejsze, czerpałeś

satysfakcję ze znęcania się nade mną. Moje życie zmieniło się w rzekę bólu i cierpienia. Nienawidzę cię nie tylko za to, co mi zrobiłeś. Nie daruję ci krzywdy mojej żony. Żadna kobieta nie mogłaby kochać faceta tak okaleczonego jak ja.

Cisza. Znów tylko oddechy. Lautrec zastanawiał się, czy jego dawny oprawca coś sobie przypomina. Wątpliwe, zbyt wiele ofiar przeszło przez jego ręce.

- Przypomnę ci jeszcze kilka szczegółów. Dzieliliś zapalkę na pięć części. Ja, nagi, uwiązany za nadgarstki do sufitu, wisiałem przyciśnięty twarzą do ściany. Potrafiłeś tak perfekcyjnie umieścić kawałki zapalek w ścianie, że przy każdym ruchu wbijały mi się w jądra rozrywając je na strzępy. A któregoś dnia oskalpowałeś mnie własnoręcznie jak dzikus. Przypominasz sobie?

- Nie.

- Kiedyś obciąłeś mi palec u ręki. Następnego dnia następnym. Zachowywałeś się jak bestia. Musiałeś wydobyć ode mnie zeznania, aby nie podpaść dowództwu. Chciałeś obcinać mi kończyny po kolei. Ale nie zdążyłeś. Następane dwadzieścia lat spędziłem na poszukiwaniu ciebie. Że też nie pomyślałem o tym miejscu wcześniej - wzgórze Reichenbach. Może jeszcze okaże się, że to posiadłość twoich przodków?

Niemiec oblizał usta. Nawet język miał żółtawy i chropowaty.

- Zabiję cię i tak, Reichenbach. Mimo że jesteś już zgrzybiałym staruchem.

Lautrec urwał. Nie był z siebie zadowolony. Inaczej wyobrażał sobie to spotkanie. Który z myśliwych ściga lisa tylko po to, aby uciąć sobie z nim umoralniającą pogawędkę? Może byłoby lepiej pozwolić umrzeć Niemcowi ze starości, niechby szczeł jak szczur w rynsztoku?

- Lepiej będzie dla ciebie, jeśli natychmiast opuścisz ten dom. Póki nie jest jeszcze za późno - głos Reichenbacha dobiegał jak z zaświatów.

- Nie ty dyktujesz warunki - Lautrec podszedł do jednej ze ścian. Wyglądała jak muzealna gablota prezentująca narzędzia tortur z zamierzchłych czasów. Zbliżył się do niej i aż splunął z obrzydzenia. Smród rozkładającego się starca, który ciągle jeszcze żył, doprowadzał go do wściekłości.

- Nie zamierzałeś się wyrzec swego fachu - przyglądał się kolekcji batów, pejczy splecionych rzemieniem w wymyślne wzory. Wszystko po to, aby zadać jak najwięcej bólu. Równie bogaty był zbiór żelaznych przyrządów, których sam widok budził dreszcze. Wybrał cienki bat z metalowym, ostrym zakończeniem.

- Chyba takiego używałeś na mnie, co?

- Nie pamiętam.

- No jasne. To nie ty byłeś katowany. Warto, żebyś spróbował czym to pachnie.

Reichenbach prawie nie stawiał oporu, kiedy Francuz zdierał z niego ubranie. Nie tylko twarz, ale i ciało miał straszliwie wychudzone, pokryte ropiejącymi wrzodami. Ze wstrętem zaciągnął go na środek pokoju. Założył mu kajdanki

na długim łańcuchu, którego koniec przewłókł przez uchwyt w suficie, umieszczony tam jakby specjalnie w tym celu. Sflaczałe ciało Niemca zawisło bezwładnie pod sufitem.

Lautrec zrzucił płaszcz. Nienawiść i pragnienie zemsty wrzały w nim. Żądał odwetu nie tylko za krzywdy własne, ale i za zbrodnie popełnione na tysiącach jemu podobnych, którym nie udało się przeżyć.

Trzask bata opadającego na nagie ciało rozdarł powietrze. Przestał nad sobą panować. Razy bata znaczyły chude ciało pręgami, które szybko wypełniały się czerwoną, lepką cieczą. Prawie oślepiony furią chciał słyszeć wycie bitego Niemca, ale nawet jęk nie wydobyl się z zaciśniętych ust. Ciało ofiary przypominało ochłap skrwawionego mięsa. Walił z uporem jeszcze kilka chwil, zanim zdał sobie sprawę, że człowiek, którego tropił przez dwadzieścia lat, nie żyje. Rozczarowany odrzucił bat. O Boże! Dwadzieścia lat na darmo. Tyle wyrzeczeń tylko po to, aby zabić starca, który i tak wkrótce by umarł! Od-ruchowo poluzował łańcuch. Zwłoki zsunęły się na podłogę, wybałuszając na niego szklane oczy bez wyrazu. Gdyby był w nich strach czy nienawiść, to toby go usatysfakcjonowało.

Odwrócił się. Zastanawiał się, jak wiele czasu mogło upłynąć, od kiedy wszedł do tego domu. Ogień w kominku przygasał, rzucając złowieszcze cienie. Ochłodziło się znacznie. Podniósł swój płaszcz. Wrócił paraliżujący strach, który ogarniał go już w korytarzu. Rozejrzał się trwożnie dookoła. Płomień

lampy naftowej migotał, jakby targany podmuchami wiatru. Prawie fizycznie czuł czyjąś obecność w tym domu. Musi się stąd wydostać. Zwrócił się w stronę drzwi. Ziejąca ciemność za nimi odstraszała go. Nie potrafił już dłużej opanować paniki. Wyciągnął pistolet z kieszeni. Zaczął strzelać na oślep w głąb korytarza. Słyszał jak kule uderzają w dębową boazerię i roztrzaskują jakieś szklane przedmioty. Jego przerażenie sięgnęło szczytu, gdy zdał sobie sprawę, że magazynek pistoletu jest pusty. Wiedział, że nie zdobędzie się na odwagę, aby przejść przez ten złowieszczy przedpokój. Kłął i szukał słów modlitwy. Jednak i słowa odmówiły mu posłuszeństwa. Naftowa lampa zgasła. Otoczyły go ciemności tak gęste, że prawie czuł ich dotyk na mokrej od potu skórze. I ten przeraźliwy odór.

Reichenbach! O Boże, gdyby udało się wrócić mu życie. Nawet jego obecność byłaby lepsza od tego przerażającego zawieszenia w niepewności. Wydało mu się, że podłoga pod stopami faluje. Chciał zamknąć oczy w obawie, że nieznana ręka wydrapie mu je w ciemności. Ale i powieki odmówiły mu posłuszeństwa. Zdawało mu się, że słyszy czyjąś rozmowę obok, ale nie mógł uchwycić jej sensu. To cela w Norymberdze! Zaraz strażnik zabierze go na tortury. Czuł, jak długa igła wbija mu się w brzuch. Próbował krzyczeć, ale rozległ się tylko jego przeraźliwy skowyt. Ocknął się na moment. To znowu był dom na wzgórzu Reichenbach. Wszędzie panowała ciemność i wstrętny odór. Wreszcie odzyskał władzę nad ciałem. Szybko

pokonał drzwi i korytarz. Dopadł do drewnianych schodów. Wiedział, że po nich nie zejdzie. Spadając, czuł, jak jego kości roztrzaskują się o stopnie, aż uderzył głową w ostatni w nich. Rozejrzał się w ostatniej chwili świadomości. Leżał u podnóża frontowych schodów. Zaledwie kilka cali od niego wyrastał z ziemi drobny pierwiosnek otoczony purpurową plamą. Teraz już wiedział skąd ta czerwień. To krew sącząca się gdzieś z głębi ziemi. Czuł, że traci poczucie rzeczywistości. Jego modlitwy zostały wysłuchane - upragniona śmierć nadchodziła.

Kilka tygodni później, gdy śnieg zaczął topnieć, górski strumień zniósł ze wzgórza Reichenbach rozkładające się szczątki ludzkiego ciała. Rysy twarzy były nie do rozpoznania. Dano ogłoszenie do prasy o znalezieniu zwłok mężczyzny w przeciwdeszczowym płaszczu, z brakującymi dwoma palcami prawej ręki. Nikt jednak nie zgłosił się, aby zidentyfikować ciało. Sporządzono więc w policyjnej kartotece kolejną listkę „zaginiony” i o sprawie zapomniano.

A opuszczony dom na wzgórzu Reichenbach zaczął chylić się ku upadkowi.



# *CZEŚĆ PIERWSZA*

**TOD**

*Dobremu przyjacielowi  
Ojcu Francisowi Hertzbergowi*

## *Rozdział I*

### LA MAISON DES FLEURS

- A oto i „La Maison des Fleurs” czyli „Dom Kwiatów” - pośrednik handlu nieruchomościami uśmiechał się trochę nerwowo pod sumiastymi wąsami. Ręką wskazał duży, drewniany budynek na wzgórzu Reichenbach.

Al Pennant wyjął pudełko cygar z kieszeni sportowej marynarki. „Zarozumiały gnojek” - myślał sobie, wybierając cygaro. Wolałby, aby ten handlarz nie mówił tak dobrze po angielsku. To dawało mu niebezpieczną pewność siebie.

- To korzystny interes - kontynuował Tallien - Pół miliona dolarów i dom jest pańską własnością od zaraz.

- A panu zależy na czasie? - Pennant obserwował uważnie pośrednika. Spostrzegł, że Tallien robi wszystko, by ukryć

zdenerwowanie. Unikał wzroku kontrahenta, omawiał nieistotne szczegóły w nadziei, że nie będzie musiał odpowiadać na zbyt wiele pytań. Być może była to najpoważniejsza transakcja w jakiej kiedykolwiek pośredniczył.

- Spójrz na te kwiaty - po raz pierwszy od chwili przybycia tutaj odezwała się Weronika Pennant. - Są bardzo intrygujące! A te pojedyncze pierwiosnki wyglądają, jakby były dodane już po zakończeniu całej pracy. Jak gdyby ktoś usunął fragmenty dawnych rzeźb, aby zrobić dla tych kwiatów miejsce.

Tallien zerknął na smukłą dziewczynę o kasztanowych włosach. Wydawała mu się typowym przykładem amerykańskiej ślicznotki przed trzydziestką, nadającej się świetnie na drugą czy trzecią żonę dla takiego faceta jak Pennant. Pewnie wyśmienita w łóżku, ale męcząca na dłuższą metę, gdy seks się już znudzi. Jedyne jej hobby to kwiaty, chyba nie ma pojęcia o niczym innym. Pennant z kolei to bystry facet. Zdobył rozgłos i fortunę na śmiałych transakcjach. Trzeba było podać, jako cenę wywoławczą, siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. I tak by kupił ten dom. To Stotenburg upierał się przy niższej taksie, bo zależało mu na jak najszybszym pozbyciu się nieruchomości. Czas bowiem pracował na ich niekorzyść. Dom zaczął niszczeć i kolejni klienci mieliby coraz więcej wątpliwości.

- Wspaniały przykład siedemnastowiecznego szwajcarskiego rzemiosła - pośrednik wypiął pierś i wciągnął brzuch,

by sprawiać wrażenie wiarygodnego partnera. - Dom pochodzi aż z...

- Wiem. Data jest wyrzeźbiona nad drzwiami. Pewnie jakiś dowcipniś wydlubał ją na początku naszego stulecia razem z tymi sztukowanymi pierwiosnkami. Chyba wielu rzeczy o tym domu jeszcze mi pan nie powiedział. A może pan sam o nich nie wie?

- Na przykład o czym? - agent prawie dławił się z niepokojem. Czego u diabła jeszcze chce ten amerykański spekulant? Nie odróżnia architektury siedemnasto- od dziewiętnastowiecznej. Wokół jest przepiękny krajobraz i wartość domu podwoi się po renowacji.

- Na przykład o tym, że dom nie był pierwotnie zbudowany w tym miejscu - Pennant wyjął cygaro z ust. - A historia tego domu? Legenda Reichenbachów? Ile zwłok wyłowiono ze strumienia u podnóża wzgórza? A ostatni właściciel - zbrodniarz z gestapo? Czyżby pan nie wiedział?

- A... ten nazista. Tak... Mieszkał tu kiedyś... Chyba z dziesięć lat temu... Wie pan... Szwajcaria to neutralny kraj...

- Co się z nim stało?

- Hm... Nie wiem... Chyba wyjechał i... gdzieś zmarł... Nie wiem.

- Kto, jest obecnie właścicielem tego domu?

- Nikt. Próbowano odnaleźć jakichś krewnych Reichenbachów, ale prawdopodobnie żaden z nich nie żyje. Lokalne władze przekazały tę nieruchomość w ręce naszej spółki. Pieczęcie ze sprzedaży złożone zostaną w depozycie bankowym,

dopóki nie ustalą się na pewno, że nie ma już legalnych spadkobierców. Dom nie jest na liście zabytków... z pewnych przyczyn.

- Oczywiście. Nie może być na żadnej liście, bo został tutaj przeniesiony z jakiegoś innego miejsca. Pewnie też tylko nieliczni miejscowi go znają. Różne plotki krążą wśród tutejszej ludności. Im szybciej sprzeda się ten dom, tym lepiej.

- Nic mi o tym nie wiadomo - Tallien pocił się ze zdenerwowania.

- Wielu ludzi tutaj zginęło - Pennant z żoną zaczęli wspinać się po schodach. Ich syn, który do tej pory buszował gdzieś w ogrodzie, dołączył do nich. Agent próbował ukryć niechęć. Nie lubił dzieci zwłaszcza takich rozpuszczonych, którym wydaje się, że wszystko im wolno. Dziesięcioletek miał świeżą plamę błota na spodniach i wyraz przerażenia na twarzy.

- Jak ty wyglądasz?! Spójrz na swoje spodnie - Weronika zwróciła się do niego z ostrą naganą w głosie.

- Tato! Nie podoba mi się tutaj! Czy my będziemy tutaj mieszkać? - chłopiec zwrócił się do ojca, całkiem ignorując matkę.

Tallien wzdrygnął się. Właśnie takich bachorów nie znośli najbardziej. A ten jeszcze do tego mógł popsuć cały interes.

- Co ci się tutaj nie podoba, synu? - Al Pennant strzepnął popiół z cygara.

- Wszystko. Tak tu dziwnie i obco... aż skóra cierpnie.

- Wszystkie miejsca wyglądają z początku obco, zanim się ich nie pozna i z nimi nie oswoi.

- Tak jak ten elżbietąski pałacyk, który kupiłeś w Anglii?

- Tak - Pennant otworzył drzwi frontowe i wszedł do środka. Że też dzieciak musiał wypaplać, czym się zajmuje jego ojciec. Im mniej Tallien i Stotenburg będą wiedzieli o prowadzonym przez niego imporcie zabytkowego budownictwa do Stanów, tym lepiej.

- Oczywiście nie ma gwarancji, że będzie pan mógł tak łatwo wywieźć ten dom do Stanów - pośrednik zdawał się czytać w myślach Pennanta.

- Niczego takiego nie planuję - skłamał.

- Tylko tak wspomniałem. Jest drobna klauzula w kontrakcie na wypadek, gdyby któryś z Reichenbachów jednak się odnalazł. Oczywiście jeśli pan jako właściciel tego domu nie będzie chciał go odsprzedać, nikt pana do tego nie zmusi.

- A tak dla formalności. Czego dotyczy ta klauzula?

- Musi pan pomieszkać tutaj w Szwajcarii co najmniej sześć miesięcy. Dopiero potem mógłby pan zabrać swoją letnią rezydencję do Stanów - Tallien uśmiechnęła się w duchu zadowolony, że trafnie odczytał intencje Amerykanina.

Al Pennant zatrzymał się gwałtownie. Poczł wstrętny odór, jak gdyby ktoś rozbił mu u stóp tuzin zgniłych jaj.

- Co to za okropny zapach? - Weronika skrzywiła upudrowany nos.

Tallien chrząknął. Wyczuł już ten smród, kiedy parę tygodni temu był tutaj na wstępnych oględzinach. Myślał wówczas, że to jakieś gryzonie zaległy się gdzieś pod podłogą i pewnie pozdychały z głodu. Ale do tej pory ich ciała powinny były już całkiem przegnić.

- Tak. Trzeba tu przewietrzyć - próbował nie oddychać - w tych starych domach często czuć stęchliznę, gdy stoją zamknięte przez dłuższy czas.

- Stęchlizna? Tu śmierdzi gorzej niż w rynsztoku! - Amerykanka zatkała nos chusteczką.

Pośrednik podszedł do najbliższego okna i próbował je otworzyć, wzbijając kłęby kurzu z podłogi. Szarpnął mocno. Klamka została mu w ręku. Zatoczył się i z trudem odzyskał równowagę.

- Nic nie szkodzi - Al Pennant zapalił kolejne cygaro. - Rozejrzyjmy się lepiej. - Poczul jednak drobne palce zaciskające się na jego dłoni.

- Tato, chodźmy stąd! Boję się! - twarz dziecka była biała, a oczy rozszerzone z trwogi.

Uśmiechnął się zachęcająco do syna. - Chodź, zobaczymy, co jest w innych pokojach.

Tallien usłużnie otworzył drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Wskazał okna z szybami z ozdobnego szkła, które fineryjnie załamywały światło, zwracał uwagę na nieduży kominek, belkowany sufit i nie przestawał zachwalać transakcji.

- Co to jest? - krzyk Weroniki przerwał potok jego wymowy. Stała z oczami utkwionymi w przeciwległą ścianę. Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku.

Tod odskoczył i schował się za ojca. Tallien poczerwieniał. Narzędzia tortur na ścianie. Widział je podczas swojej poprzedniej wizyty, ale zupełnie o nich zapomniał. Powinien był je usunąć przed wprowadzeniem potencjalnych nabywców lub przynajmniej ich ostrzec. Zwłaszcza, że była tu kobieta.

- To takie eksponaty muzealne... bardzo stare. Prawdopodobnie nigdy nie były używane. Powinienem być panią uprzedzić.

- A to co?! - tym razem kobieta wskazała na brunatnoczerwoną plamę na podłodze, widoczną mimo warstwy kurzu.

- To zaschnięta krew!

- Eee... Nie, nie sądzę - agent, zmieszany jak uczeń przylapany na gorącym uczynku, próbował znaleźć jakies rozsądne wyjaśnienie.

- Oczywiście, że to krew! - Weronika była przerażona i wściekła, iż agent śmie przeczyć widocznym faktom.

- Tu się coś musiało zdarzyć. Kajdanki z przyschniętą krwią... Bat z metalowym okuciem! O Boże, cały w zakrzepłej krwi. Zobacz! Kogoś tu przymocowano do muru i wychłosta-no!

- Zobaczmy co jest dalej - Al próbował opanować sytuację, słysząc przerażony pisk Toda. - Pan, panie Tallien, pójdzie pierwszy i sprawdzi, czy nie ma tam dalszych drastycznych niespodzianek.

Ruszyli, aby obejrzeć apartamenty. Tallien usiłował sobie przypomnieć, czy nie przeoczył jeszcze czegoś. Powinien był usunąć ten złom ze ściany. Jednak dużo gorsze było to, że



zapomniał o tych cholernych plamach krwi na podłodze. Dzieciak ciągle popłakuje, niewiele brakuje, a ta rudowłosa lala wpadnie w histerię. W takim wypadku Pennant nie kupi domu i ponadto może puścić plotkę, że rezydencja Reichenbachów jest dawną katownią oraz, że śmierdzi jak publiczny szalet latem.

- Stąd jest wspaniały widok na wierzchołki wzgórz! - pośrednik prawie krzyknął, próbując zatrzeć złe wrażenie. Okna w tym pokoju były mniej zakurzone niż w innych. Karbowane szyby załamywały światło, które kładło się fantastycznymi kaskadami na ścianach. Widok z okna był rzeczywiście oszalamiający. Pennantowie stanęli zachwyceni, jak gdyby w mgnieniu oka zapomnieli o przeżytych przed chwilą koszmarze.

- Przepięknie - westchnęła Weronika. - Jedyne w swoim rodzaju.

Pośrednik chciał wykorzystać chwilę.

- Oczywiście wszystkie meble i sprzęty są już wliczone w cenę - rzekł, wskazując zabytkowe łoże z baldachimem.

Kontynuowali oględziny na kolejnych piętrach. Wszystko było bardzo zaniedbane, ale nadawało się jeszcze do naprawy.

- Wynajęci ludzie doprowadzą dom do porządku w ciągu kilku dni - nadzieja agenta na zawarcie transakcji rosła.

- Nawet ten okropny zapach znikł - zauważyła Amerykanka, kiedy znów znaleźli się na parterze.

- Tak, dom był długo zamknięty. Świeże powietrze czyni cuda.

- Nigdy nie wspomniał pan, dlaczego ten dom stoi na drewnianych podporach? - zapytał Pennant, kiedy wyszli na zewnątrz.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - Tallien wzruszył ramionami - któż to może wiedzieć. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie, pytam po prostu z ciekawości. Lubię wiedzieć coś więcej o domach, które kupuję.

- Zamierza pan przenieść ten dom do Stanów?

- Prawdopodobnie, choć zapewne pomieszkamy trochę w Szwajcarii.

Tallien się uśmiechnął - chyba mu się udało. Wiedział, że Pennant ma milion dolarów depozytu w banku w Genewie. Dowiedział się o tym od Stotenburga, który wpadł na pomysł sprzedaży tego domu Amerykanom.

- Czy to znaczy, że zdecydował się pan kupić tę posiadłość?

- To zależy - Al spojrzał na żonę. Bynajmniej nie dlatego, aby zapytać ją o zdanie. Jej opinia nie odgrywała żadnej roli, gdyż on już podjął decyzję. Była to po prostu formalność.

- To miły dom, ale jest w nim coś przerażającego.

- Nonsens.

- Wiesz dobrze, co mam na myśli.

- Ale chyba nie masz nic przeciwko, aby pomieszkać tu przez pewien czas? - to był rozkaz, a nie pytanie.

- Nie. Nie mam - dalsza dyskusja nie miała sensu. Al był tu głową rodziny. Zawsze robił to, co chciał.

- Tod? - wszyscy zwrócili się ku chłopcu.
- Był ciągle blady i głos mu drżał.
- Tato. Ja... Nie podoba mi się to miejsce. Boję się.
  - Nie ma czego - ojciec poklepał chłopca po ramieniu. - Po remoncie nie rozpoznasz go. Jestem pewny, że go polubisz.
  - Boję się!
  - Och, nie nudź. Jest tu trochę brudno i śmierdzi, ale nie poza tym. Chłopiec ma zbyt bujną wyobraźnię - zwrócił się teraz do agenta. - Zbyt wiele czyta tych bzdurnych horrorów w komiksach.
  - Nie czytam żadnych komiksów - oponował chłopiec. - Tam nie ma nic strasznego. Boję się tylko prawdziwych duchów.
  - Wiesz dobrze, że duchów nie ma - surowy głos ojca wykluczał dalszy sprzeciw.
- Weronika przytuliła syna. W tej rozgrywce było dwoje na dwóch: ona i Tod przeciw transakcji, jej mąż i Tallien - za. Wiedziała jednak, że są bez szans. Jeżeli Al zdecydował się kupić ten dom, to tak się stanie.
- Zdecydował się pan? - Tallien postępował tuż za Penantem.
  - Może. To zależy.
  - Od czego?
  - Od ceny.
  - To korzystna oferta. Pół miliona dolarów.
  - Ta oferta byłaby za tę cenę korzystna, gdyby dom był usytuowany gdzie indziej: w Bostonie czy Filadelfii. Przewiezienie go do Stanów będzie kosztowało fortunę.

- Ale i tak pan na tym zyska.  
- Nie tyle, ile bym chciał. Wezmę to za czterysta tysięcy dolarów. Pańskie dziesięć procent prowizji to wystarczająco dużo.

- No, nie wiem - pośrednik postąpił kilka kroków do przodu, by ukryć zadowolenie. Uzgodnili ze Stotenburgiem, że mogą zniżyć cenę do trzystu pięćdziesięciu tysięcy. Poszło lepiej niż przypuszczali. Ale Pennant nie mógł się o tym dowiedzieć.

- Muszę uzgodnić to ze współnikiem. Zadzwońię do pana jutro rano.

- Dziś wieczorem. Zdąży pan wszystko omówić do dziewiątej. Mieszkamy w hotelu Bernerhof.

- Dobrze. Ale proszę nie oczekiwać zbyt wiele. Jest jeszcze jeden klient zainteresowany kupnem tego domu.

Pennant uśmiechnął się z pobłażaniem. Zawsze przy robieniu takich interesów wspomina się coś o mitycznej, nieistniejącej konkurencji. To prawie tradycja. Pennant nie musiał czekać na telefon, aby być pewnym, że dobił targu.

W sierpniu Pennantowie wrócili do Szwajcarii. Czekają ich długie wakacje. Spędzili tydzień w hotelu Bernerhof. Dopełnili ostatnich formalności. W tym czasie ekipa remontowa doprowadziła willę do stanu używalności. Mogli spokojnie wprowadzić się do domu, w którym zamierzali mieszkać do wiosny przyszłego roku.

Al triumfował. Siedzieli z żoną w głębokich fotelach, popijając burbon z lodem. Tod spał w pokoju.

- Niepokoję się o Toda - Weronika zmarszczyła czoło.  
- Przejdą mu te humory - Al miał w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie.

- Nie. Z nim się dzieje coś niedobrego. Od kiedy tu przyjechaliśmy, jest coraz bardziej zastraszony.

- To przez zmianę środowiska. W Nowym Jorku siedział całymi dniami w pokoju i czytał. Tutejsze świeże powietrze i trochę ruchu dobrze mu zrobi. Sama wiesz, że jest blady.

- On się boi - Weronika spojrzała mężowi w oczy. - I ja też.

- O Boże. Zrobiłem najlepszy interes w tym roku, a wy oboje zatruwacie mi życie!

- Przecież nie musimy tu mieszkać. Możemy zostawić dom pusty, wrócić do Nowego Jorku, a na wiosnę przewieźć go do Ameryki.

Pennant upił łyk ze szklanki. Przez chwilę obserwował lód rozpuszczający się w jej wnętrzu.

- Sprzedałem nasze mieszkanie na 72-giej Ulicy.

- Co?

- Sprzedałem. Kupiłem zamiast tego świetnie położoną działkę na Long Island. Przeniesiony na nią dom Reichenbacha będzie wart fortunę.

Weronika nie odpowiedziała. Wstrzymała się od komentarzy, bo i tak nie miałyby one sensu. To już drugi raz w ich małżeństwie Al podjął decyzję o przeprowadzce bez jej zgody.

Nie było między nimi partnerstwa. Musiała być potulną, posłuszną żoną wypełniającą wolę męża. Narzekanie nie miało sensu. Gdyby nie Tod dawno by go opuściła i wróciła do rodziców do Waszyngtonu.

- A Tod? Jemu też nie podoba się ten dom. Wiesz jak na niego działa.

- Przesada.
- Jest nadwrażliwy.
- Brednie.

Weronika umilkła. Z mężem mogła rozmawiać tylko o interesach.

- Chodźmy spać - opróżnił szklankę. - Czekają nas w tym tygodniu sporo pracy. Zamierzam wydać w piątek przyjęcie.

Nie znosiła tych jego przyjęć. Nie były to zwykłe spotkania towarzyskie. Al chciał pochwalić się przed znajomymi każdym nowym nabytkiem. To była część jego aroganckiej zarozumiałości.

- Zaprosiłem Parlana'a.
- Żeby się wściekł z zazdrości.
- To niegłupi facet. Zna się na rzeczy i będzie mógł mi w paru sprawach doradzić.
- Nie lubię jego żony.
- Och, jest całkiem miła. Dziwaczejesz.
- Nigdy nie mówi tego, co naprawdę myśli.
- A skąd wiesz, co naprawdę myśli?
- Po prostu wiem.
- Jesteś przeczulona - uśmiechnął się. - Mogę ci powiedzieć, co będzie myślała tym razem. Będzie myślała sobie:

szkoda, że mój Bruce nie jest na tyle sprytny, aby zrobić taki dobry interes

Tod spędził popołudnie w ogrodzie. Powietrze było orzeźwiająca i ciepła. Od godziny próbował czytać jakąś powieść przygodową, którą kupił w mieście. Nie mógł się skoncentrować. Odłożył książkę i zapatrzył się na dom.

W dalszym ciągu nie mógł się do niego przyzwyczaić. Nawet w świetle dnia wyglądał jakoś nieprzyjaźnie i ponuro. Okna były już umyte, drewniane ozdoby wyczyszczone. Zastanawiał się, dlaczego te pierwioski tak odstają od reszty rzeźb. Może dlatego, że były trochę większe niż inne motywy kwiatów. Przyciągały wzrok prostotą kształtu wśród zawłóści innych roślin.

Wstał. Rodzice byli w domu. Stotenburg, szef spółki pośredniczącej w obrocie nieruchomościami, przyjechał właśnie z przyjacielską wizytą. Mężczyźni popijali drinki, siedząc w wielkich fotelach. Matka przygotowywała coś na piątkowe przyjęcie w kuchni. Właściwie większość czasu spędzała w kuchni, jak gdyby to miejsce było jej przeznaczone.

Al chciałby, aby była bardziej towarzyska i błyskotliwa. Ona jednak trzymała się na uboczu. Tod był równie nieśmiały jak jego matka.

Zaczął rozmyślać o swoim ojcu. Nigdy nie miał z nim zbyt bliskiego kontaktu, właściwie byli sobie całkiem obcy. Był ciągle zbyt zajęty, by poświęcić synowi choć trochę czasu.

Matka mówiła, że to wszystko się zmieni, gdy zamieszkają w Szwajcarii. Od piątku mury się zacząć wreszcie prawdziwe wakacje. Można było tutaj robić tyle pasjonujących rzeczy. W pobliżu wznosił się szczyt Jungfrauoch, na którym błyszczał w słońcu nietopniejący nawet latem lodowiec. Można było się wybrać na pobliskie jeziora Thun czy Brienz albo pojechać do Genewy.

Tod wrócił do rzeczywistości. „La Maison des Fleurs” - ta nazwa nie pasowała do tego domu. Brzmiała miło dla ucha, póki się nie zobaczyło posiadłości. Dom przypominał mu wielkiego, rozkraczanego na drewnianych łapach potwora. Widać było wyraźnie, że został tu przetransportowany z jakiegoś innego miejsca. Wyobraził sobie miejsce skąd został przeniesiony: zdradliwe, bulgocące bagna, czekające tylko na nieostrożny krok przybysza...

Zszedł do zapuszczonego ogrodu. Znalazł się w gąszczu krzewów. Miał wrażenie, że zarośla zaraz otoczą go i pochłoną. Obejrzał się. Krzewy były nieruchome.

W środku ogrodu znajdowała się mała sadzawka z fontanną w kształcie nagiej dziewczyny z dużym koszem na głowie. Matka uważała, że rzeźba jest nieprzyzwoita i należy ją usunąć. Tod przyjrzał się dokładnie. Dziewczyna miała wstydliwie zaciśnięte nogi i ledwo zarysowane piersi, nawet bez śladów sutków.

Nie znosił pruderii swojej matki. Nigdy nie zdobyła się na rozmowę z nim, skąd się biorą dzieci.



Pewnie myślała, że jej przeszło dziesięcioletni syn nie ma o tym do tej pory pojęcia. Musiał wierzyć opowieściom kolegów ze szkoły. Nie znosił szkoły. Jedyna dobra strona tego pobytu w Szwajcarii to to, że nie musiał do niej chodzić. Gdyby tylko nie ten dom. Było w nim coś, co go przerażało i wywoływało zimne dreszcze...

Zatrzymał się i spojrzął na dno ośmiokątnej sadzawki. Woda była w niej czysta i przejrzysta. Szukał wzrokiem kolorowych rybek, które ojciec wpuścił tu kilka dni temu. Znalazł je. Dokładnie wszystkie pływały w jednym rogu basenu brzuchami do góry. Były martwe.

Zaczął biec z powrotem, potykając się i zawadzając o krzaki. Gałęzie smagały go po twarzy. Pnącza, których przedtem nie zauważył, omotywały nogi. Krzyczał z przerażenia. Uderzenie gałęzi rozcięło mu twarz. Upadł i zerwał się znowu. Wreszcie dobrnął do domu. Stał na trawniku z zamkniętymi oczami, wyjąc histerycznie, jak gdyby chciał wykrzyknąć cały swój strach. Dookoła siebie czuł znany już zapach - odór zgnilizny, który poznał podczas pierwszej wizyty w tym domu.

- Tod!

Umilkł na chwilę i zerknął w stronę domu. Ojciec i dwaj pośrednicy stali na schodach. Matka już biegła w jego kierunku.

- Tod! Co się stało?!

Nie mógł opanować łkania, chcąc wykrztusić kilka słów.

- Tam... w ogrodzie... - wyjąkał.  
- Co w ogrodzie? - stanowczy głos ojca spowodował, że miejsce strachu zajął wstyd.

- Rybki. Wszystkie zdechły! - życie kilku kolorowych stworzeń było w tej chwili dla Pennanta najmniej istotną rzeczą. - I ten zapach. Tato! Ten smród zgnilizny znowu się pojawił - tłumiony szloch wstrząsnął ciałem Toda.

- To oczywiste. W środku lata martwe rybki szybko gniją i stąd ten zapach. No już! Uspokój się wreszcie.

Teraz Al Pennant zwrócił się z przeproszającym uśmiechem do Stotenburga.

- Mój syn boi się własnego cienia.

Stotenburg spojrział na zegarek i rzekł do Talliena:

- Czas na nas. Niepokoję Toda znikną, gdy przyzwyczai się do nowego miejsca. Cieszę się, że państwo jesteście zadowoleni z transakcji. Może nawet dojdziecie do wniosku, że w porównaniu z gwarem Nowego Jorku, Szwajcaria jest dużo przyjemniejszym miejscem do zamieszkania.

Agenci zegnali się już z gospodarzami. Tod ciągle pochlipywał w objęciach Weroniki. Al, odprowadzając gości, pomyślał, że musi się ostrzej wziąć za syna i wybić mu z głowy te bzdury.

Sypialnia chłopca mieściła się na trzecim piętrze, tuż nad sypialnią rodziców. Weronika wolałaby, aby syn sypiał gdzieś bliżej, ale Al uznał, że sypialnie na drugim piętrze są zbyt duże oraz, że Tod powinien uczyć się samodzielności.

- Już wszystko w porządku? - usiłowała pokryć troskę uśmiechem. Twarz syna była ciągle uderzająco blada, nawet w porównaniu z kolorem pościeli.

- Chyba tak - skinął głową. - Mamo, kiedy wracamy do Nowego Jorku?

- Na wiosnę. Jak tata załatwi wszystkie sprawy związane z przewozem tego domu - nie chciała mu mówić, że właściwie nie mają dokąd wracać.

- Chciałbym, żeby była już wiosna - słowa syna zabrzmiały jak echo jej własnych myśli. Odczuła przyływ tęsknoty za domem, za swojskim ruchem i gwarem nowojorskich ulic, za światłami neonów rozjaśniających noc.

Sen opuścił Toda. Przez szczeliny w ciężkich zasłonach łoża obserwował gęstniejący mrok. Wiatr zawodził gdzieś w koronach drzew na wzgórzu Reichenbach. Wrócił myślami do zapuszczonego ogrodu. Wydarzenia tego popołudnia stanęły mu przed oczami. Wzdrygnął się. Na pewno nie był tam sam. Całe to miejsce, drzewa, rośliny wydawały się żyć własnym życiem, kierowanym przez złe moce. Nie wątpił, że to one zabiły rybki. Zabiły je, bo były żywe, przeciwne ich niszczyielskim instynktom. Chciały utrzymać swe panowanie i dlatego zagrażały wszelkiemu życiu, także ludzkiemu. To była przerażająca myśl. | ten odór. On nie pochodził z rozkładających się rybek. Był nieodłączną częścią tego domu i symbolem mocy w nim rządzących.

Wraz z gęstniejącymi ciemnościami w Todzie narastał lęk.

Miał ochotę pobiec do pokoju rodziców, jeszcze raz opowiedzieć im o wszystkim i prosić, aby jak najszybciej wyprowadzili się z tego okrutnego miejsca. Przypomnił sobie gniew i sztywność ojca. Nie, nie mógł szukać u niego pocieszenia. Naciągnął kołdrę na głowę. Musi tu wytrzymać do rana.

Słyszał jak rodzice na dole przygotowują się do snu. Szum wody, stukanie drzwi. Codzienne znajome dźwięki trochę go uspokoiły. Noc była duszna. Instynktownie odrzucił kołdrę.

Nagle ocknął się z półdrzemki. W ciągu ułamka sekundy uświadomił sobie, gdzie jest i lęk wrócił ze zdwojoną siłą. Zastanawiał się, Co mogło go obudzić. Skrzypienie starych, drewnianych ścian, stukot czegoś spadającego? Nie! To ten obrzydliwy smród rozkładu wypełnił mu płuca. Przerażony wyciągnął rękę, szukając lampki nocnej. Pociągnął. Bezskutecznie. Pociągnął jeszcze raz i jeszcze raz - ciągle nic. Wreszcie szarpnął z całych sił. Urwany sznur, leżący na kołdrze, przypominał węża. Pokój ciągle zalegały ciemności. Otulił się kołdrą. Chciał krzyknąć, lecz głos uwiązał mu w gardle. Wtulił się bezwiednie w materac. Sił starczało mu tylko na cichy jęk.

Ciemność stała się nieprzenikniona. Znikąd nie przedostał się nawet promyk światła. Zaległa głęboka cisza jak przed burzą. Czuł wokół fizyczną obecność zła.

Rozległy się jęki. Nie jedna, ale tuzin osób wydawały z siebie udręczone głosy. Okrutne i sadystyczne, a zarazem jakby błagające o łaskę. Skulony pod kołdrą zatykał uszy, aby tego

nie słyszeć. Nadaremnie. Odór był coraz silniejszy. Kręciło mu się od niego w głowie. Wydawało mu się, że leci w dół, aż do utraty świadomości...

Kiedy oprzytomniał, pierwsze promienie słońca zagłądały przez okno. Koszmar nocy minął. Tod usiadł na łóżku. Może to był tylko koszmarnie realistyczny sen. Obok łóżka na podłodze leżał zerwany sznur od lampy. Podeszedł do kontaktu przy drzwiach. Instalacja elektryczna była w najlepszym porządku. Przerażony na nowo, wybiegł z pokoju. W mgnieniu oka znalazł się w sypialni rodziców.

## *Rozdział II*

### PIERWSZA ŚMIERĆ

Goście zaczęli zjeżdżać się do La Maison des Fleurs wczesnym popołudniem. Zmęczeni długą podróżą pomału zbliżali się ku posiadłości. Tod obserwował ich z okna swego pokoju. Naliczył już ponad pięćdziesiąt osób. Niektórych znał z widzenia, z przyjęć, które jego ojciec wydawał w Nowym Jorku.

Rozpoznał Bruce'a Parlana. Ten Anglik w czymś przypominał jego ojca, choć więcej było między nimi różnic. Wysoki, z bujną czupryną czarnych włosów opadających aż na kołnierz. Nie miał ani jednego siwego włosa mimo swoich czterdziestu lat. Był pewny siebie, lecz nie zarozumiał. Tod widział go kiedyś w okularach, widać wzrok miał nie najlepszy. Zupełnie inaczej odnosił się do swojej żony. To można było zauważyć nawet, jak szli przez trawnik, trzymając się za ręce i rozmawiając. Był między nimi rodzaj partnerstwa, jakiego nigdy nie zaobserwował między własnymi rodzicami. Musieli pobrać się już dość dawno, bo ich syn Rusty był w wieku Toda.

Anthea Parlane była wysoką, szczupłą kobietą.

Jasnoniebieskie oczy kontrastowały z krótko obciętymi włosami. Bruce utrzymywał, że wszystkie brunetki z Walii mają takie szczególne oczy. Często nosiła spodnie, podkreślające szczupłość jej nóg. Była nieśmiała tak jak i matka. Ale to było jedyne podobieństwo między nimi. Tod zastanawiał się, gdzie może być ich syn. Tylko rodzice nazywali go Richard, wszyscy inni mówili po prostu - Rusty. Pewnie zostawili go u dziadków w Anglii. Zazdrościł mu. Wolałby bowiem być w każdym innym miejscu, byle nie tutaj.

Obserwował jak Parlane'owie wchodzi do domu. Słyszał kolejkę linową zjeżdżającą w dół po kolejnych gości. Skrzyp, zgrzyt, szuranie przesuwanej się stalowej liny. Te dźwięki wzbudzały w nim dreszcze. Kolejka linowa była następną rzeczą, która wywoływała jego niepokój. Człowiek zawieszony w metalowym pudełku nad przepaścią, zdany tylko na wytrzymałość stalowego drutu. Aby dostać się do Meiringen - osady u podnóża góry, trzeba było zjechać kolejką lub po prostu zejść po zboczu. Teraz nie przedstawiało to żadnego problemu, ale co będzie zimą? Opady śniegu mogą ich całkiem odciąć od świata. Ojcu by to nie przeszkadzało, ale matka miała podobne obawy. Instynktownie wyczuwał jej niepokój.

Od tego dnia, kiedy wczesnym rankiem wpadł do sypialni rodziców zapłakany i rozhisteryzowany, Tod unikał ojca. Matka przytuliła go wtedy, próbowała delikatnie uspokoić. Ojciec był wściekły.

- Ty chyba całkiem zgłupiałeś. Chodź sprawdzimy co się

naprawdę dzieje w twoim pokoju - jego głos był okrutnie spokojny.

Oczywiście w pokoju nie znaleźli niczego niezwykłego. Cośkolwiek to było w nocy, teraz znikło, nie zostawiając nawet śladu swej bytności. Złe siły, władające tym domem, bawiły się z nimi w chowanego. Zapewne teraz przyczajone w swej kryjówce czekały na odpowiedni moment, żeby znów wyciągnąć szpony.

Oczywiście instalacja elektryczna była w najlepszym porządku, tylko zerwany sznur od lampy był dowodem nocnych zmor Toda.

- Naprawdę, masz urojenia - Pennant zerknął na zegarek. Dochodziła szósta rano. - Niedługo zaczniesz uciekać przed własnym cieniem. Solidne lanie wybiłoby ci z głowy te chimery.

Sarkazm ojca psuł nastrój śniadania. Tod nie mógł doczekać się jego końca. Wreszcie wyszedł na dwór, lecz i tu nie mógł sobie znaleźć miejsca. Nie odważyłby się pójść do ogrodu. Czulo się tam obecność zła, mającego władzę nawet nad przyrodą.

Tuż za bramą, na końcu podjazdu do domu, znajdował się mały zagajnik. Było tam ciepło i zacisznie, gdyż zarośla chroniły od wiatru. Tam chłopiec czuł się bezpiecznie, jakby zła moc już tu nie sięgała, zadowolając się panowaniem w domu i ogrodzie.

Wrócił myślami do dzisiejszego dnia. Kolejni goście ciągle przybywali. Obserwował ich i rozumiał co czują więźniowie odsiadujący długie wyroki. Wolność wydawała mu się rajem



utraconym. Gdzieś w dali majaczyła grupka turystów, podziwiających górski krajobraz. Zazdrościł im. Dałby wiele, by móc uciec z tego miejsca i nigdy już tu nie wrócić.

Nasłuchiwał odgłosów z dołu. Wyłapywał fragmenty rozmów... „jest piękny jak pałac... Al ma talent do wynajdywania takich wspaniałych miejsc...”. Śmiechy i krzątania zakłócały martwą ciszę starego domu.

Chłopiec westchnął. Wszyscy ci ludzie byli tak samo niewrażliwi jak jego ojciec. Nie potrafili wyczuć atmosfery tego domu. On czuł ją ciągle. Nawet teraz zdawał sobie sprawę, że ta moc jest gdzieś niedaleko, że drobny powód wystarczy, aby ją rozjuszyć i pobudzić do działania.

Tod obawiał się zapadnięcia zmroku. Noc była porą złą, ośmielała je i czyniła bezkarnym. Do pokoju weszła matka. Miała na sobie kolorową, zwiewną sukienkę, na którą ojciec wydał majątek. I oczywiście jak zwykle sam ją wybrał.

- Chodź, Tod. Czas spać - uśmiechnęła się łagodnie.
- Wiem, mamó. Ale ja tak nie znoszę nocy.
- Och, synku - pocałowała go w czoło. - Wszystko będzie dobrze. W domu jest mnóstwo ludzi. Nic złego nie zdarzyło się ani wczoraj, ani przedwczoraj.
- Tak. TO zostawiło mnie na razie w spokoju. Ale wróci. Jestem tego pewny.
- Jesteś zbyt delikatny. To atmosfera tych starych domów. Spokojnie. To tylko twoje wyobrażenia. Naprawdę nie ma tu nic groźnego.

- Jest. Jestem pewien. Tam w ogrodzie i tutaj. TO zabiło rybki, a mnie straszysz, bo chce żebyśmy się wszyscy stąd wyprowadzili.

- Nie ma się czego obawiać - starała się, by jej głos brzmiał przekonująco. - Gdyby coś złego ci się przyśniło, zjedź do nas na dół.

- Tato by mnie zbił.

- Nie. Ja mu nie pozwolę.

Tod zaczął się pomału rozbierać. Nie było sensu dyskutować. On, matka, goście - wszyscy byli teraz w siódmach Złego. A wszystko za sprawą ojca.

O dziesiątej wieczorem zabawa rozpoczęła się już na dobre. Stoły w salonie ugiwały się od jedzenia. Przyległy pokój uprzątnięto do tańca. Kilka par kołysało się w rytm muzyki.

Bruce Parlane mocno przytulał Weronikę w tańcu. Czuł poprzez delikatny materiał jej jędrne ciało. Była piękna, pociągająca. Wiedział, że Al chciał mieć żonę na pokaz, aby zadowolono mu jej tak, jak tych wszystkich udanych transakcji. Ale gdyby ktokolwiek choć spróbował z nią poflirtować, Pennant potrafiłby być bezlitosny tak samo, jak w obronie swoich interesów. O dwóch rzeczach marzył obecnie Parlane, aby być właścicielem tego domu i móc osiąść tę kobietę. Wiedział, że żadnego z tych marzeń nie uda mu się urzeczywistnić.

- Al jest w swoim żywiole - zagadnął Weronikę, wskazując na przeciwległy kąt pokoju. Jej mąż, w kłębach dymu z cygara, wiódł ożywioną dyskusję z dwoma znanymi handlarzami antyków. Błyskały diamentowe spinki w mankietach i główki

złotych szpilek w krawatach. Temat rozmowy mógł być tylko jeden - interesy.

- Chciałabym, żeby ktoś odkupił od niego ten dom.
- Ja proponowałem mu pół miliona funtów.
- Obawiam się, że teraz Al nie sprzedałby tego domu za żadne pieniądze. Jest tu panem. Im szybciej mu się to znudzi, tym lepiej.

- Nie podoba ci się ten dom?
- Nienawidzę go!
- Wydaje mi się, że jest przytulny.
- Jest okropny. Jak potwór na drewnianych łapach. Jest w nim coś przerażającego. Tod prawie szaleje ze strachu. I to mnie martwi. Najbardziej obawiam się, że jeśli zostaniemy tu na zimę, chłopak może nie wytrzymać nerwowo. Najgorzej, że ja też czuję się tu źle, a muszę udawać, że wszystko jest w porządku.

- Duchy i zjawy? Przedmioty jęczące ludzkim głosem w nocy?

- Proszę cię, nie żartuj. Ja mówię poważnie. Sama nie wiem, ale tu COŚ jest. Ten wstrętny odór sygnalizuje, że TO jest gdzieś w pobliżu.

- Ale niczego poza tym nie widziałaś?

Potrząsnęła głową. Przyłapała się na myśli, że nie chce, aby Bruce stąd odjeżdżał. Odprężyła się. Wreszcie mogła zwierzyć się komuś ze swych obaw i to przyniosło jej ulgę. Niestety, tylko chwilową.

Elżbiecie Quilmer nie podobał się ten dom. Nie lubiła też Pennantów. Nudziły ją przyjęcia wydawane w tym środowisku biznesmenów, którzy chcieli po prostu pochwalić się kolejnym nowym nabytkiem. Mężczyźni rozmawiali wyłącznie o pieniądzach. Kobiety zajmowały się sobą lub flirtowały z mężami swoich koleżanek. Elżbieta wiedziała, że żaden z tych mężczyzn nią się nie zainteresuje. Jej mąż, Wallace, ożenił się z nią dla pieniędzy. Właściwie dla pieniędzy jej ojca, jednakże starszek, mimo swoich osiemdziesięciu pięciu lat, trzymał się świetnie i Wallace musiał czekać. Dawniej miała niezłą figurę, która rekompensowała trochę zbyt grube rysy twarzy. Jednak w pewnym momencie coś stało się z jej układem hormonalnym. Jej waga skoczyła z siedemdziesięciu do osiemdziesięciu pięciu kilogramów. Zaczęła wydawać tysiące dolarów na leczenie u specjalistów, ale nikt nie potrafił jej pomóc. Niebawem przybyło jej jeszcze dziesięć kilogramów, no i serce zaczęło odmawiać posłuszeństwa. Mimo ścisłej diety nie udało się jej schudnąć. Mężczyźni, w tym także własny mąż, przestali się zupełnie nią interesować. Siedziała znużona na kanapie, obserwując resztę towarzystwa. Bolała ją głowa po długiej podróży samolotem. Czowała zbliżające się palpacje serca, które zawsze przychodziły po większym wysiłku. Miała czterdzieści cztery lata i nie spodziewała się dożyć pięćdziesiątki.

Marzyła, aby móc się wreszcie położyć spać. Marzyła też, by móc usnąć w opiekuńczych męskich ramionach. Ale to drugie było mało prawdopodobne.

Wallace zapewne bawić się będzie jeszcze długo, zresztą seks był w ich małżeństwie rzadkością. Spojrzała na Bruce'a Parlana. To był mężczyzna w jej typie: Cóż z tego, gdy mogła tylko o nim pomarzyć.

Wyśliznęła się z zatłoczonego salonu i zamknęła drzwi za sobą. Pociągnęła nosem. Poczula nieprzyjemny zapach, który zdziwił ją również tuż po przyjeździe. Właściwie można było się spodziewać czegoś takiego w starym budynku. W ogóle cały pomysł wydawał się jej głupi. Lecieć z Nowego Jorku do Szwajcarii tylko po to, by obejrzeć czyjś nowy dom.

Posapując, zaczęła się powoli rozbierać. Starła się nie spoglądać w duże lustro na drzwiach szafy. Nie mogła znieść widoku własnego pulchnego cielska. Ufff! Wreszcie w łóżku. Ostatni wysiłek, aby zgasić światło. Ulga. Ból głowy stopniowo mijał, serce uspokajało się. Zamknęła oczy z nadzieją, że uda się jej szybko zasnąć.

Zapomnienie, Niestety, nie na długo. Przez sen wydało się jej, że spada z ogromnych, kamiennych schodów, leci ciągle w dół, a ziemia cały czas odsuwa się od niej. Ocknęła się przerażona. Czowała drżenie każdego nerwu swego ciała. Okrutny ból rozsądzał czaszkę. Obrzydliwy smród wypełniał pokój. Starła się nie oddychać, lecz oddech udawało się wstrzymać tylko na kilka sekund. Wstrętny, paraliżujący odór. „Gdzieś chyba jest awaria kanalizacji” - pomyślała. W sypialni było dziwnie chłodno.

Próbowała się opanować, gdy zobaczyła stojącą w ciemnościach postać. Zamiast krzyku wydała z siebie tylko gardłowy

bulgot. Widok był przeraźliwy. Trudno było określić czy to mężczyzna, czy kobieta, czy człowiek, czy jakaś zjawa. Krwawa rana rozciągająca się na twarzy postaci, zamiast ust ukazywała dziąsła. Łysa czaszka z poszarpanymi, ociekającymi krwią płatami skóry. Oskarżycielskie oczy wypełnione bólem i nie-nawiścią.

Ciałem Elżbiety Quilmer wstrząsnęły dreszcze. Jej serce pracowało z wysiłkiem. Odwróciła głowę, unikając wzroku zjawy. Kompletne ciemności, powietrze ciężkie i martwe jak przed burzą. I ten duszący, przytłaczający smród. Próbowwała zaczerpnąć powietrza. Czowała, że się dusi i miała wrażenie, że niewidzialne ręce zacisnęły się wokół jej szyi. Odruchowo spojrzała jeszcze raz w stronę drzwi. Tym razem szok był jeszcze większy. Postać przeobraziła się. Usta w cudowny sposób zagoiły się i przybrały kształt ludzki. Były teraz wąskim, bezkrwistym pasemkiem. Czaszkę zamiast ochłapów skóry pokrywały kępkami rudawe włosy. Rysy twarzy stały się teraz bardziej ludzkie, lecz stokroć bardziej odpychające, ponieważ przegniłe mięso ukazywało gdzieś białe kości policzkowe. Oczy połyskiwały w zapadniętych oczodołach, z nozdrzy pozostały dwa ciemniejące otwory. Postać poruszyła wargami, jakby chcąc coś powiedzieć. Jednakże, zamiast głosu jednej osoby, do uszu Elżbiety dobiegły jęki wielu dręczonych ofiar. Początkowo były to odgłosy oddalone, później coraz bliższe, aż po świdrujący ból w uszach. Prawie jednocześnie Elżbieta poczuła ostry, rozdzierający ból w piersiach. Obraz zamglił się

jej przed oczami, usta wykrzywiły. Oczy, wywrócone białkami do góry, skierowały się w stronę sufitu. Już nic nie słyszała i nic nie rozumiała. Nie żyła.

Około trzeciej nad ranem Wallace Quilmer wrócił do sypialni. Krok miał niepewny i męczyła go czkawka. Głośno wypuścił gazy. Zbyt długo musiał je w sobie zatrzymywać. Sięgnął do kontaktu, ale po namyśle zrezygnował z jego użycia. Na łóżku rysowało się zwałiste ciało jego żony. Z niesmakiem skrzywił się w ciemnościach i czknął jeszcze raz.

Żona Parlane'a zawróciła mu w głowie. Obserwował ją na parkiecie, podziwiał jej smukłą sylwetkę, wyginającą się w tańcu. Wiedział, że miał u niej specjalne względy.

Ściągając ubranie, zaplątał się we własnych spodniach i przez chwilę się z nimi mocował. Elżbieta nie może dowiedzieć się o jego flircie, nie może domyślać się, iż jego myśli krążą wokół innej kobiety. Zaczął człapać w kierunku łóżka. Celowo nie zapalał światła. Jego ciało w skurczach orgazmu przypominało trzęsącą się galaretkę.

Niezdarnie klęknął przy łóżku. Wsparł się na łokciach i byle jak zaczął pieścić ciało żony. Początkowo nie zwrócił uwagi, że jest ono dziwnie chłodne. Zaniepokoił się dopiero po dłuższej chwili, gdy Elżbieta ciągle nie reagowała na jego zaloty. Zapalił światło i spojrzał na twarz żony. Zamarł. Wywrócone białkami do góry oczy i usta skrzywione jak do krzyku świadczyły dobitnie, że nie żyje. Wybiegł na korytarz i zapominając o swojej

nagości zaczął histerycznie krzyżeć. Obrzydliwa woń rozkładu unosiła się dookoła.

Mimo że nie znosiła przyjęć wydawanych przez męża, Weronika z żalem patrzyła na ostatnich gości opuszczających ich dom. Nikt nie planował wyjeżdżać przed poniedziałkiem, lecz śmierć Elżbiety Quilmer wcześniej wypłoszyła towarzystwo. Miejscowy lekarz stwierdził, że musiał to być zawał serca, natomiast fachowa ekspertyza miała być gotowa dopiero we wtorek.

Weronikę paraliżował strach. Zostali we trójkę i musieli stawić czoło śmiercionośnej SILE, która w nim panowała. Pozbierała się z ogromnym wysiłkiem woli i ruszyła na poszukiwanie Toda. Znalazła go w zagajniku przed bramą, gdzie ostatnio często przebywał. Leżał na trawie i patrzył w niebo. Otwartą książkę odrzucił na bok. Zbliżając się widziała lęk wyraźnie wymalowany na jego bladej twarzy. Zauważył ją dopiero, gdy podeszła całkiem blisko.

- Hej, mamusiu! - wiedziała jak trudno oderwać mu się od własnych pojętych myśli.

- Wszystko w porządku, Tod?

- Tak, mamusiu. - Przestał do niej mówić „mamusiu” już dwa lub trzy lata temu. Wydawało się, że bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje teraz jej wsparcia.

- O czym myślisz?

- O... - zawahał się i spuścił oczy. - O pani Quilmer... To ONI ją zabili.



- Ona zmarła na atak serca. Tak mówi lekarz, analizy potwierdzą to na pewno we wtorek.

- Nawet jeśli zmarła na atak serca, to za ICH przyczyną. Zabili ją, jak te rybki w naszej sadzawce. Oni są coraz bardziej rozwścieczeni. Słyszałem ICH głosy w tę noc, kiedy zmarła pani Quilmer.

- To na pewno były odgłosy przyjęcia na dole.

- Nie. To byli ONI. Najpierw przyszli do mego pokoju, a potem poszli zabić ją. Mamo, kiedy my stąd wyjedziemy?

- Tata mówi, że załatwi wszystkie formalności do wiosny.

- Nie!!! Musimy uciekać stąd, dopóki nas jeszcze nie zabili! - głos chłopca się załamał.

- Uspokój się - potrząsnęła głową, odpędzając własne ponure myśli. - Tutaj absolutnie nic nie ma. To po prostu bardzo stary dom i drewniane ściany skrzypią, gdy wiatr mocniej zawieje i...

- I czasami śmierdzi - dokończył. - Ten zapach świadczy, że ONI są gdzieś w pobliżu.

- Cóż. Coś jest nie w porządku z kanalizacją. Wezwiemy hydraulików, żeby to naprawili. Zapytam ojca, czy moglibyśmy wyjechać stąd na kilka dni. Krótka przejażdżka po Szwajcarii na pewno dobrze by ci zrobiła. To przygnębiające, że pani Quilmer zmarła. Ale wiesz, ona chorowała na serce i tak czy inaczej wkrótce by się to stało.

Poszli razem w kierunku domu. Oboje zdawali się być przekonani, że wyjazd na kilka dni niczego nie zmieni.

Weronika Pennant była niespokojna. Nie mogła zasnąć. Leżała i nasłuchiwała. Zastanawiała się, co teraz czuje Tod w swojej sypialni na górze. Al nawet nie chciał słyszeć o tym, że chłopiec mógłby nocować gdzieś bliżej nich.

- Ma, do diabła, dziesięć lat. Musi opanować swoją wybujałą wyobraźnię. W tym wieku wierzyć w duchy i zjawy to już gruba przesada. Nie można mu dłużej pobłażać.

Al pochrapywał przez sen. Gdzieś zaskrzypiała podłoga. Rozległo się szuranie. „Szczyry” - pomyślała. Nie cierpiała tych gryzoni, ale musiała toczyć z nimi walkę w każdym kolejnym starym domu, który kupował Al. Wreszcie wszystko ucichło, lecz ta martwa cisza była dużo gorsza. Cały dom jakby zamarł w oczekiwaniu.

Poczuła, że musi wstać i pójść do łazienki. Na myśl o przejściu ciemnym korytarzem ogarnęła ją kolejna fala lęku. Próbowała sobie wmówić, że nie wstaje tylko dlatego, by nie budzić męża i nie przestraszyć syna hałasem. Jednak w głębi jej duszy tliło się przekonanie, że nie idzie, ponieważ się po prostu boi. Wreszcie wstała z łóżka. Znalazła szlafrok i kapcie. Na palcach podszła do drzwi. Nie zapalała światła, nie chcąc budzić śpiących. Na korytarzu panowały nieprzeniknione ciemności. Po omacku dobrnęła do drzwi łazienki. Przekreśliła włącznik światła - i nic. Przekreśliła jeszcze raz - dalej ciemno. „Muszę powiedzieć Alowi, żeby zmienił żarówkę” - pomyślała. „A może to jakieś spięcie w instalacji? Tyle kłopotów z tymi starymi domami”.

Już miała wychodzić z łazienki, gdy usłyszała przeciągły świst, jakby bata przecinającego powietrze. „Może to wiatr na wzgórzach?” - przystanąła nasłuchując. Nie. Dźwięki wydawały się dobiegać z pół piętra powyżej. „Może to Toda męcząc kolejne koszmary?” - przyszło jej na myśl.

- Tod! - zawołała łagodnie.

Nie było odpowiedzi. Głucha, przygniatająca cisza. Skurcz żołądka sygnalizował wzrastającą panikę. Zamarła w bezruchu, niezdolna wykonać najdrobniejszego gestu. Wreszcie opanowała się i płacząc się we własnej koszuli nocnej, pobiegła na oślep do sypialni. Dopadła drzwi. Otworzyła je jednym szarpnięciem. Wpadła do środka i szybko zatrzasnęła je. Oparła się o drzwi dysząc ciężko.

- Al! - krzyknęła. - A... - głos po raz kolejny odmówił jej posłuszeństwa. To nie była ich sypialnia. Znajdowała się w przyległym nieodremontowanym jeszcze pokoju. Nie było tu mebli ani światła. Kurz unosił się w powietrzu, a znajomy odór utrudniał oddychanie. Po raz kolejny straciła panowanie nad własnym ciałem. Znieruchomiła wpatrywała się w róg pokoju. Mimo ciemności widziała dziecięcą postać skuloną w kącie. Chłopiec zauważył ją także. Podniósł głowę, ukazując jej swoją twarz. Dreszcz obrzydzenia i przerażenia wstrząsnął jej ciałem. Usiłowała zamknąć oczy, jednakże było to niemożliwe.

Dziecko wyglądało na około dwanaście lat. Na pierwszy rzut oka wydawało się nagie. Resztki ubrania tylko gdzieniegdzie przykrywały jego ciało: zrudziały kołnierz i kłapy marynarki,

zbutwiały spodnie do kolan, bosa pokrwawiona stopa. Rozkładające się ciało miało sinawo-szarawy odcień. Najobrzydliwsza była twarz: krwawa szrama zamiast ust, oczodoły tak ciemne i głębokie, że prawie nie ukazywały źrenic, otwory pozostałe po nozdrzach wypełniała ciemna krew, bulgocąca przy każdym oddechu.

Nie mogła rozpoznać rysów, ale to z pewnością nie był Tod. Wbiła się w przeciwległy kąt pokoju, nie mogąc oderwać oczu od zjawy.

- Pomóż mi - zmasakrowane usta poruszyły się nieznacznie. Nie wydobył się z nich żaden dźwięk, bardziej intuicyjnie zrozumiała prośbę.

Chciała zapytać, co może dla niego zrobić. Pytanie kołatało się jej w mózgu, nie mogąc przejść przez zaciśnięte gardło.

- ON zabił już wszystkich. Tylko ja jeszcze żyję. Ale teraz nadeszła i moja kolej - zjawy wyczytała pytanie z jej myśli.

- Na miłość boską, KTO?

- ON. Nie słyszysz go?

Tak, teraz słyszała kimkolwiek by nie był. Słyszała jego zbliżające się kroki i czuła obrzydliwy odór rozkładu. Ciche chrząknięcie. Zgrzyt drzwi. Wzmagająca się woń gnijącego ludzkiego mięsa. Udręczony umysł Weroniki nie dopuszczał myśli, że żadna istota, tak ciężko poraniona jak ten chłopiec, nie mogłaby istnieć. Upadła na podłogę kryjąc twarz w dłoniach.

Zjawa mężczyzny była już w pokoju. Wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy z jej obecności. Potrząsając czaszką, na której odrywające się płyty skóry wyglądały jak niedbale założony przyłepiec, podszedł do chłopca. Miał na sobie coś, co przypominało zniszczony mundur wojskowy, w ręku trzymał długi pejcz. Białe wąskie usta układały się, jakby miały zaraz wydać jakiś okrutny dźwięk.

- Nie uciekniesz mi już mały - świst bata rozdarł powietrze. - Pozostali nie żyją już dawno. Czekają we wspólnym grobie jeszcze tylko na ciebie.

Chłopiec padł na kolana, próbując osłaniać się rozczapierzonymi palcami przed razami bata: udręczonym jękiem błagał o litość. Na oczach Weroniki jego ciało zamieniało się stopniowo w bezwładną grudę skrwawionego, siniego mięsa. Wypłynęły oczy, mózg i krew bryzgały na ściany. Jedna kropla padła na usta kobiety. Smak miała kwaśny i zgniły jak sfermentowany mocz. Potwór zakończył swe dzieło, gdy białe kości błysnęły wśród skatowanej masy. Odwrócił się i po raz pierwszy zobaczył Weronikę. Leżała nieruchoma na podłodze, nie mogąc uniknąć jego spojrzenia. Świdrujące oczy wysyłały dziwne impulsy, które rozsadzały jej mózg. Pokój zawirował. Zemdląła.

## *Rozdział III*

### CZŁOWIEK O GNIJĄCEJ TWARZY

- Wiesz co Al? Ja i Tod wyjeżdżamy z tego domu, czy ci się to podoba, czy nie.

Al Pennant był wyraźnie wściekły. Przechadzał się tam i z powrotem po sypialni, zatrzymując się czasem, by popatrzeć przez okno na wzgórze Reichenbach. Żona leżała w łóżku, wsparta na poduszce. Jej blada twarz nosiła ślady przeżytego koszmaru, a w oczach czaił się lęk. Lekarz orzekł, że jest w stanie załamania nerwowego, które może przejść w poważniejsze zaburzenia psychiczne. Al miał własne zdanie na ten temat. Ta głupia lalka była po prostu przestraszona. Udzielały się jej urojenia syna. W histerii upatrywał zaraźliwej choroby. Tłumaczył sobie, że musi być człowiekiem twardym, bo jak zacznie im współczuć i wierzyć w te bzdury o Drakuli, czy innym Frankensteinie, grasującym w tym budynku, to wszyscy skończą w domu wariatów.

- Pomyśl tylko - Al zaciskał usta, czerwone plamy wystąpiły mu na policzki. - To musiał być twój lunatyczny sen. Nie zdając sobie sprawy poszłaś do pokoju obok, tam się obudziłaś

i przestraszyłaś. Nic więcej.

- Tam coś było! Ten bity i torturowany do śmierci chłopiec i... mężczyzna, który...

- Mnie też, gdy byłem mały, śnił się żelazny wilk. A następnego dnia i tak musiałem pójść do szkoły - dłużej już nie panował nad swoją złością.

- My wyjeżdżamy i koniec.

Pennant wyciągnął cygaro. Może faktycznie powinien odebrać żonę i syna do Stanów. Miałby wreszcie spokój. Jedyne problem, że nie miałby mu kto prac i gotować. Można by zatrudnić jakąś kobietę z Meiringen czy Interlaken. Nigdy jednak nie wiadomo, na kogo się trafi, a w tym domu jest wiele wartościowych sprzętów. Nie. Musi namówić żonę, żeby tu została. Spróbował więc przekonywać ją inaczej:

- W twoim obecnym stanie nie możesz narażać się na długą podróż.

- Poradzę sobie. Odwieź nas tylko do Meiringen, a stamtąd już sami pojedziemy do Genewy i samolotem do Nowego Jorku.

- W Nowym Jorku nie będziecie mieli gdzie mieszkać. Sprzedałem przecież nasze mieszkanie.

- Więc pojedziemy do moich rodziców.

- Nie, skarbie - uśmiechnął się z wysiłkiem, - Twoja matka jest już zbyt stara i schorowana. Nie możesz czynić im dodatkowego kłopotu.

- Więc jesteśmy w potrzasku. Wiedz zatem, że ani Tod, ani ja nie przeżyjemy zimy w tym miejscu.

- Gdyby faktycznie ktoś kogoś torturował i zamordował

dzisiejszej nocy w sąsiednim pokoju, na pewno bym to usłyszał.

- Cały czas mówię ci, że to nie jest tak. Tod widzi i słyszy rzeczy, których ja nie słyszę i nie widzę. I odwrotnie. ONI nie ukazują się wszystkim w tej samej postaci!

- Co dowodzi, że to wszystko jest tworem waszych wyobrażeń.

- Jesteś okrutny - odwróciła głowę.

- I jeszcze jedna rzecz. Jeśli chłopiec był faktycznie zachłostany na śmierć, tak jak mówisz, musiałyby zostać ślady krwi na podłodze i ścianach. Obejrzałem dokładnie ten pokój. Jedynym dowodem, że coś tam się działo, są twoje ślady na zakurzonych deskach.

- ONI są duchami, Al. Diabelskimi duchami. Nie zostawiają materialnych śladów swojej obecności. Ja jestem dowodem, serce tłucze mi się ciągle, jak szalone.

- Musisz po prostu odpocząć.

- Al - głos miała cichy i drżący. - Kiedy przewieziemy ten dom na Long Island, sprzedasz go, prawda?

Zaciągnął się cygarem i wypuścił kłęb dymu.

- Może tak, może nie. To będzie zależało.

- Od czego?

- Od tego, czy ktoś będzie chciał zapłacić cenę, której żądam.

- Parlane chciał.

- Nie jestem jeszcze pewien, czy chcę ten dom sprzedać właśnie jemu.



- Zawodowa zawiść? Sam nie zje i drugiemu nie da. A co będzie, jeśli nikt nie zechce zapłacić dostatecznie dużo?

- Wtedy będziemy mieli lepszą rezydencję od samego prezydenta.

- O Boże! - wzdrygnęła się. - Nie mogłabym mieszkać całe życie w tym przeklętym domu. Miała dodać: „odeszłabym od ciebie”, ale w porę ugryzła się w język. Porzucenie milionera wymagało dużej odwagi. A może w końcu i on pójdzie po rozum do głowy.

Wypuścił kłęb dymu i starał się zrobić dobrą minę do złej gry.

- Przeniesiemy sypialnię Toda na dół, bliżej nas, dobrze? A jak jeszcze ktoś będzie się tu wałęsał po nocy, to wielki Al osobiście z nim porozmawia.

„Zarozumiały głupiec” - pomyślała. Człowiek o przegniłej twarzy nie będzie mu się ukazywał na zamówienie. Kimkolwiek był, to przecież ON był tu panem. Spróbowała więc argumentacji z innej beczki:

- Wkrótce nadejdzie zima. Śnieg zasypie ścieżkę. Kolejka linowa zamarznie. Będziemy kompletnie odcięci od świata.

- Nie bój się, obronię was. Mamy w kuchni taki wielki taksak.

- A jeśli ktoś zachoruje? Na przykład, Tod? Zapalenie płuc, czy coś takiego? Jak wezwiesz lekarza?

- Mamy radionadajnik - zapomniała o tym. Al przewidział wszystko tak, aby wypadki toczyły się po jego myśli. Ona nie miała tutaj prawa decydowania.

Zimne powiewy wiatru zwiastowały nadejście zimy. Al, kiedy wybrał się na obchód swojej posiadłości, musiał postawić kołnierz płaszcza. Pojedyncze białe płatki wirowały w powietrzu. Być może do rana ziemia znajdzie się pod cienką warstwą śniegu. Cieszył się z tego. Niedługo zaczną ścigać ze wszystkich stron turyści. Czym byłaby Szwajcaria bez śniegu?

Zastanawiał się, co zrobi z hektarem gruntu, kiedy dom zostanie już przewieziony do Ameryki. Nasuwała mu się myśl, żeby zbudować tutaj inny. To miejsce, jak żadne inne w okolicy, nadawało się na budowę hotelu. Zatrudniłby tu jakiegoś rozsądnego pełnomocnika, który by nie „ściągał więcej, niż dziesięć procent zysku. Nazwałby to przedsięwzięcie „221 B”. Tak, to genialny pomysł! Snobistyczne mieszczychy rezerwowałyby miejsca kilka miesięcy wcześniej, aby móc tu przyjechać zimą i chwalić się znajomym, że byli na nartach w Szwajcarii. Pewnie i latem ten atrakcyjny krajobraz ścigałby wielu gości.

Gratulując sobie udanej transakcji, zaczął przedzierać się przez krzaki do ogrodu. Cienkie gałęzie raz po raz smagały go po twarzy. Zaklął głośno. Przyszła mu do głowy kolejna myśl. Można by rozpuścić wieść, że stał tu kiedyś drewniany, zabytkowy dom o złej reputacji z powodu nawiedzających go duchów. W ten sposób ciągnęłyby tu całe pielgrzymki turystów żadnych mocnych wrażeń. Na Long Island każdy chciałby osobiście przejść się po skrzypiących, drewnianych schodach, dotknąć ściany, o którą być może przed chwilą ocierała się zjawą. Podwójny zysk. Wyciągnie wszelkie możliwe profity

z tego zakupu. Już widział spływający strumień dolarów.

Zatrzymał się nad pustym stawem. Wodę spuszczonego, aby zamrażając nie rozsadziła ścian. Szkoda tych kolorowych rybek, które pozdychały. Nie wydawało mu się to ważne. Na wiosnę kupi nowe w sklepie zoologicznym w Interlaken. Powoli zapadał zmrok. Ciężkie śniegowe chmury nadciągały z zachodu. Ochłodziło się znacznie.

Wtedy zobaczył mężczyznę stojącego w cieniu rododendronu po przeciwnej stronie stawu. Znajdowali się zaledwie parę metrów od siebie. Nieprzyjemnie zaskoczony Pennant zaczął przyglądać się nieznajomemu. „Cóż do diabła, robi tutaj ten żebrak?” - pomyślał.

- Hej, ty! Wynocha z mego ogrodu! - Nie wiedział dlaczego głos mu zadrzżał przy tych słowach. Odpowiedzi nie było. Przybysz nawet nie drgnął. Wydawało się, że nie usłyszał.

- Głuchy jesteś, do cholery?! - Al postąpił krok naprzód i drgnął. Przebiegł go dziwny, zimny dreszcz, jakby ktoś wylał mu za kołnierz kubel zimnej wody. Obliznął nerwowo wargi. Zastanawiał się przez moment, skąd wzięła mu się ta suchość w gardle. To nikt inny, jak tylko jakiś włóczęga, mieszkający w górach. Pewnie szukał schronienia na zimę w dawniej opuszczonym domu. Niestety dom jest teraz jego i musi pozbyć się intruza.

- Spieprzaj stąd! Słyszysz? - nadał swemu głosowi najgroźniejszy ton, na jaki pozwalało mu ściśnięte gardło. Przypomniał

sobie najbrzydsze przekleństwo, jakie znał po francusku.

Mężczyzna w dalszym ciągu nie reagował.

Al był zmieszany i wściekły. Cofnął się o krok i zaraz zawstydził się własnego tchórzostwa. To była w końcu jego posiadłość. Mieli tu prawo przebywać tylko ci, którym on na to zezwolił.

- Hej! - głos nagle uwiązał mu w gardle, a sparaliżowane ciało niezdolne było wykonać najmniejszego ruchu. Zobaczył bowiem po raz pierwszy twarz mężczyzny. Myślał, że to upiorny sen. Twarz, z której gnijące mięso spadało płatami. Oczy, po których zostały tylko ziejące oczodoły. Niedomknięte usta, z których sączyła się żółtawa ciecz. Mężczyzna ubrany był w zniszczony ciemny mundur i długie buty. Wy ciągnął rękę w stronę Pennanta, wskazując go kikutem palca.

Po raz pierwszy w życiu Al Pennant był śmiertelnie przerażony. Próbował wydobyć z siebie jakieś słowa, przeproszać za swą niepożądaną obecność tutaj, za zakłócanie spokoju ZŁEMU.

- Opuść mój dom. Odejdź - wiatr przyniósł mu odpowiedź nieznanego. Obrzydliwa woń rozniosła się dookoła. - Zginiecie, jeżeli tu pozostaniecie. Zginiecie wszyscy.

Al odruchowo przytakiwał i bezwiednie szeptał obietnice. Po gwałtownym podmuchu wiatru wyczuł, że mężczyzna odszedł. Odór w powietrzu świadczył o jego niedawnej obecności. Rzucił się jak szalony do ucieczki. Nie zwracał uwagi na

gałęzie, chłoszczące go po twarzy. Serce opętańczo łomotało mu w piersiach. Strach dodawał sił. Wydostał się na trawnik przed domem. Stał z obłędem w oczach dokładnie w tym samym miejscu, w którym płakał wcześniej Tod. Z trudem chwycił powietrze. Zrozumiał, co czują rozbitkowie na morzu, gdy wreszcie ukaże się im światło znajomej latarni morskiej. Czuł się teraz bezpieczny, ale nie do końca. To było zaledwie ostrzeżenie. Mógł je zignorować, narażając życie nie tylko własne, ale również żony i syna.

Nagle inna myśl przyszła mu do głowy, przynosząc odrobinę ulgi. Mogła to być sprytna sztuczka. Zjawy, którą widział, nie może istnieć naprawdę. Tak! Z trudem rozpoznał własny, gardłowy śmiech. Komuś zależało, aby ich stąd wykurzyć. Ale komu? Może jakiś potomek Reichenbachów upomina się o swoją należność? Bzdura, mógłby to zrobić drogą sądową... Zazdrosny kolega po fachu, któryś z jego niedawnych gości? Też nie, Weronika i Tod utrzymywali, że widywali tę zjawę jeszcze przed przyjęciem... Miejscowy maniak, który protestuje przeciw sprzedaży mienia szwajcarskiego cudzoziemcom? Może. Musiał to być ktoś żywy, człowiek. Opowieści o duchach to dobry sposób zaganiania niegrzecznych dzieci do łóżka. Zjawy to wymysł producentów filmowych. Służą one do przyciągania tłumów do kina. Ludzie lubią niegroźną sensację.

Ulżyło mu trochę. Czuł jeszcze trupi smród. Trzeba będzie wreszcie zrobić porządek z tym szambem.

Sięgnął po cygaro. To było jego antidotum na wszystko. Zaciągnął się i wypuścił wolno dym. Płatki śniegu leciały coraz obficie.

Odczekał jeszcze przez chwilę przed wejściem do domu. Chciał się całkiem uspokoić. Zupełnie jednak tej sprawy bagatelizować nie zamierzał. Ktoś się kręci w okolicy i trzeba mieć się na baczności - postanowił, że musi mieć zawsze pod ręką pistolet.

Powoli wchodził po schodach. Strzepnął płaszcz przed wejściem i otworzył drzwi.

- Al... - Weronika, wychylająca się z kuchni, urwała w pół słowa. Przyglądała mu się ze zdziwieniem.

- Co ci jest?

- Nic - zaciągnął się cygarem, próbując opanować drżenie rąk. - Czemu pytasz?

- Wyglądasz, jakbyś miał gorączkę.

- Mroźno jest na dworze. Zmarzłem i to wszystko - zaśmiał się nienaturalnie.

Diabli by wzięli tę kobiecą intuicję. Odwrócił się plecami pod pozorem wieszania płaszcza. Chciał ukryć przed nią swój strach.

- Gdzie jest Tod? - zapytał.

- Na górze. Pewno czyta. Kolacja będzie za kilka minut.

Umyj ręce.

- Ktoś nam robi głupie kawały, chcąc nas stąd wykurzyć. Nie wiem jeszcze, kto to może być. Nie mów nic dzieciakowi.

- O Boże! - zbladła. Smutna satysfakcja, że uwierzył dopiero wówczas, gdy się przekonał na własnej skórze. - Jak wyglądał?

- Mężczyzna w jakimś nieokreślonym mundurze. Paskudnie ucharakteryzował sobie twarz, wyglądała jak płaty gnijącego mięsa.

- To ten sam, którego widziałam ja i Tod.

- Zapewne. Nie chciało mu się nawet zmieniać przebrania.

- A zapach?

- Tak. Chyba długo trzymał te jaja, żeby osiągnąć taki smród.

- Jesteś niemożliwy - odwróciła się i weszła z powrotem do kuchni.

Ale Ałowi takie właśnie wytłumaczenie wydało się bardzo prawdopodobne. Udało mu się prawie uspokoić samego siebie.

- Mimo to pójdziemy jutro na posterunek policji do Meriringen i poprosimy o ochronę. Wariat wałęsający się wokół domu to nic przyjemnego.

- Więc jednak ty też się boisz? - nie mogła powstrzymać sarkazmu.

- Jestem przezorny ze względu na ciebie i Toda.

- Powinniśmy wrócić do Stanów. Przemieszkamy zimę w hotelu, jeśli będzie trzeba.

- Z powodu jednego wariata?

- Wiesz dobrze, że to nie jest żywy człowiek. Nie chcesz dopuścić do siebie tej myśli. Policja w niczym tu nie pomoże. Zlituj się nad Todem, jeżeli na mnie ci nie zależy. Wyjedźmy stąd, póki nie jest za późno.

- Dobrze. Jeżeli nie dostaniemy ochrony z policji, zabiorę was w jakieś bezpieczne miejsce.

- Obiecujesz? - Na udręczonej twarzy Weroniki odmalowała się nadzieja.

- Obiecuję. - Perspektywa wyjazdu przyniosła mu niespodziewaną ulgę.

Armand Heron był naczelnikiem żandarmerii w Meiringen od pięciu lat. Była to dużo wygodniejsza posada niż ta, którą miał przedtem w Zurychu. Tu, osiem miesięcy w roku miasteczko było senne i spokojne. Miejscowe trzy hotele zapełniały się dopiero w maju, a pustoszały z końcem sierpnia. Zjeżdżali się tutaj turyści wszelkich narodowości, zwabiani tą samą przynętą - malowniczymi wzgórzami. Zdarzały się wówczas drobne wypadki, w których policja musiała czasem interweniować. Jednak cudzoziemiec w środku zimy był zjawiskiem tak niezwykłym, że Armand zaprosił go do swego prywatnego gabinetu.

- Czym mogę panu służyć? - naczelnik rozsiadł się za masywnym, drewnianym biurkiem i przyglądał węży w oczekiwaniu.

- Nazywam się Pennant - Al przerwał, oczekując reakcji policjanta. - Al Pennant. Jestem właścicielem La Maison des Fleurs - rzekł nieco poirytowany tym, że Heron nie zna jego nazwiska.

- Ach, rzeczywiście! - skojarzył wreszcie policjant, marszcząc brwi ze zdziwienia. Podoba się panu w Szwajcarii?

- Owszem, ale jest mały kłopot. Przeszkadzają nam jacyś włóczędzy.



- Słucham?
  - Jakiś głupi żartowniś obrzydza nam tutaj pobyt. Moja żona i syn są poważnie przestraszeni.
  - Proszę wszystko opowiedzieć.
- Al zdał sprawozdanie z wypadków Weroniki i Toda. Na koniec opisał mężczyznę, którego spotkał w ogrodzie.
- Tak - Armand próbował zachować obojętny wyraz twarzy. - Zna pan chyba legendę Reichenbachów?
  - Obiła mi się o uszy.
  - Ten mężczyzna nosił mundur?
  - Tak. Ciemny, nieokreślony kolor, czapka na głowie, długie buty. Było zbyt ciemno, abym mógł zauważyć coś więcej.
  - Niewątpliwie był to mundur gestapo.
  - Co?
  - Ostatni z Reichenbachów, ten, który zaginął w nieznanym sposobie, był oprawcą hitlerowskim. Setki ludzi zginęło z jego przyczyny.
  - Cholera! - Pennant czuł wzbierający gniew. - Jeśli to któryś z Reichenbachów chce odzyskać dawną własność, dla czego nie wystąpi na drogę sądową?
  - Obawiam się, że rozwiązanie nie jest takie proste.
  - A jakie jest pańskie zdanie na ten temat?
  - Mogę panu powiedzieć tylko to, co zasłyszałem z plotek. Reichenbach zniknął pięć lat przed moim przybyciem tutaj. Nikt nie zna dokładnie historii Domu Kwiatów. Nie wiadomo

nawet, skąd się tu wziął. Jedni mówią, że przewieziono go w czasie wojny. Rzekomo miał być kryjówką dla samego Hitlera na wypadek porażki. Po śmierci wodza dostał się podobno w ręce Reichenbacha. Inni uważają, że dom stał tu już od dziesiątków lat i zawsze był własnością Reichenbachów. Wcześniej nikt się nim nie interesował, ponieważ był zasłonięty drzewami, a nasze strony jeszcze do niedawna były bardzo słabo zaludnione. Dopiero ostatnio zaczęli tu zjeżdżać tłumnie turyści.

- No dobrze, ale jaki to ma związek z tym facetem o potwornej twarzy?

- Moim zdaniem - zaczął policjant niepewnie - mężczyzna, którego pan widział, to był Reichenbach, a ściślej mówiąc, jego duch.

- Cholera! Ja nie wierzę w duchy.

- Turyści, którzy zabłądzili w pobliżu Domu Kwiatów, często słyszeli dobiegające stamtąd krzyki i hałasy. Reichenbach już wtedy się tam ukrywał. Podobno pod koniec wojny gestapo przywoziło mu potajemnie więźniów, a on ich zamęczał na śmierć. Myślę, że w tym domu ciągle jeszcze czuć atmosferę bólu, śmierci i zbrodni.

- Cholera! - Pennant zaklął po raz kolejny.

- Obawiam się, że nie mogę panu w żaden sposób pomóc!

- Nie wysłuchał pan jeszcze mojej prośby.

- Tak? - Armand spojrzał na niego z ciekawością.

- Ja mimo wszystko uważam, że to jakiś wariat nie daje

nam spokoju i dlatego proszę o przydzielenie kogoś do ochrony mojej rodziny. Armand potrząsnął głową.

- To jest niemożliwe, proszę pana. Nie mamy ludzi. Zresztą moje władze i tak by się na to nie zgodziły. Nadchodzi zima i za tydzień lub dwa będzie się bardzo trudno dostać do was na górę. Przykro mi, ale nic nie mogę dla pana zrobić. Jeśli pan pozwoli, dam panu prywatnie radę: ja nie spędziłbym ani jednej nocy w tym domu nawet za milion franków. Wyprowadźcie się stąd, póki to jeszcze możliwe.

Al Pennant odnalazł Weronikę i Toda w hotelu Weisses Kreuz. Po jego minie było widać, iż nic nie wskórał, ale jego oczy opuścił ciągle ostatnio wyraz napięcia.

- Wyprowadzamy się stąd - zakomunikował. - Zaraz pojedę zarezerwować bilety do Genewy. Dobrze byłoby zdążyć wyjechać, zanim spadną większe śniegi. Nie ma co ryzykować pobytu na tym odludziu, kiedy miejscowym glinom nie chce się ruszyć tyłka. Zamieszkamy do wiosny w jakimś nowojorskim hotelu.

- A co potem? - spytała Weronika z lękiem.

- Na wiosnę przetransportujemy ten dom do Stanów.

- A jeśli to coś jest nierozzerwalnie związane z tym budynkiem?

Pennant zaśmiał się pewny siebie w zatłoczonej kawiarni hotelowej.

- Wtedy to COŚ będzie się czuło niepewnie bez dachu nad głową i zapewne szybko się wyniesie.

Pozostali członkowie rodziny nie podzielali jego entuzjazmu. Oboje myśleli z obawą o przyszłym roku, wyobrażając sobie fatalną willę stojącą na Long Island. Byli pewni, że zmiana miejsca niczego nie zmieni. ZŁA SIŁA była nieodłączną częścią tego domu, rozwścieczona naruszeniem jej spokoju i wyrwana ze swego siedliska, dopiero może pokazać swą prawdziwą moc.

## *Rozdział IV*

### WSPÓLNY GRÓB

Al Pennant wysiadł z samolotu na lotnisku w Genewie. Zapiął szczelnie kożuch, gdyż wiatr był porywisty i w górach podobno ciągle leżał śnieg. Będąc jeszcze w Stanach, upewnił się, że kolejka linowa na wzgórze Reichenbach odmarzła i bez przeszkód można się tam dostać. Wykonał kilka kolejnych telefonów. Firma z Zurychu podjęła się rozebrać dom na części, ściągnąć na dół i przetransportować koleją do portu w Trieście. Stamtąd miał być przewieziony statkiem do Stanów. Przedsiębiorstwo dokonało już wstępnej lustracji położenia domu i wyceniło pracę na sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Statek zarezerwowany był na 30 maja, gdyż przed sezonem transport był o wiele tańszy. Wszystko zatem było dokładnie zaplanowane.

Pennant przybył do Meiringen późnym popołudniem i zatrzymał się w hotelu Sauvage. Nie czuł się dobrze. Przypisywał to męczącej podróży. Miał nadzieję, że porządny obiad, mocny drink i drzemka postawią go na nogi. Zamierzał pozostać w Sauvage do czasu zakończenia rozbiórki domu.

Grupa robotników była już na miejscu, kiedy Pennant wybrał się tam następnego ranka. W nocy spadło trochę śniegu, który pokrył ziemię cienką warstwą. Przypuszczał, że stopnieje do południa i nie będzie utrudniał pracy.

Jakiś szczegół u podnóża schodów przyciągnął jego wzrok. Czerwona plama na białym śniegu. Wytężył wzrok. Pośrodku plamy wyrastał pojedynczy, biały pierwiosnek. Kontrast bieli i czerwieni był zaskakujący. Podeszedł bliżej i próbował znaleźć jakieś logiczne uzasadnienie dla tego, co widział. Bez wątplenia była to świeża krew. Może pochodziła ona od zranionego zwierzęcia, które tu przycupnęło? Jednakże dokoła plamy nie było żadnych śladów. Przełknął ślinę i zawołał najbliższego robotnika.

- Co to jest?

Mężczyzna podeszedł, ale widać było, że nie rozumie, co się do niego mówi.

- Parlez-vous anglais?

Robotnik potrząsnął głową.

- Co to jest? - zapytał Pennant po francusku.

- Nie wiem. - Mężczyzna nagle odwrócił się i poszedł do swojej pracy.

Pennant przykucnął przy pierwiosnku. Czerwona plama wydawała się mniejsza i nie tak jaskrawa. Wyglądało to, jakby diabelska krew wsiąkła z powrotem w ziemię. Nie, to było niemożliwe. To na pewno była wina topniejącego śniegu.

Odszedł na bok, nie mogąc przestać myśleć o tym zjawisku. Zbliżył się brygadzysta z całą listą pytań i niejasności. Pennant

zrozumiał, że będzie musiał pozostać w Szwajcarii aż do zakończenia pracy. Brygada pracowała leniwie i niewydajnie. Brak było dyscypliny, zapału do pracy i silnej ręki, która trzymałaby robotników w ryzach. Tym ludziom trzeba było wszystko wyjaśnić od „a” do „z” i to najlepiej nie po angielsku. Chcąc nie chcąc Al musiał przyjąć rolę nadzorcy.

Zbliżało się południe, ociepliło się i w podmuchach wiatru czuć było nadciągającą wiosnę. Al zdjął kożuch i powiesił go w holu domu. Ładna pogoda powinna przyspieszyć tempo pracy. Wyszedł na zewnątrz. Robotnicy majstrowali przy oknach parteru. Jeden z nich wspiął się na drabinę, aby zdjąć ozdobiony rzeźbionymi kwiatami fryz znad okna na pierwszym piętrze. Pennant obserwował frapujący go motyw. Przypominał sobie krwawą plamę przy schodach wejściowych. Zerknął tam i zadrżał. Zamiast plamy widział teraz kawałek gruntu odsłonięty spod śniegu. Nie do pomyślenia było, żeby śnieg stopniał tylko w tym jednym miejscu. Zwłaszcza, że tę stronę ocieniał dom. Skóra mu ścierpła. Coraz bardziej zaczynał wierzyć, że z tym domem łączy się coś niepojętego.

Nagły krzyk gdzieś w górze wyrwał go z tych rozmyślań. Odruchowo podniósł głowę i zobaczył mężczyznę chwiejącego się na drabinie na wysokości pierwszego piętra. Robotnik balansował na wysokości, ale nie po to, by zachować równowagę, lecz aby zasłonić twarz przed niewidzialnym niebezpieczeństwem. Jego nogi uwięzione były między szczeblami

drabiny, ciało wygięte w nienaturalny łuk. Drabina zastygła na moment dokładnie w pionowej pozycji, jakby wahając się, czy opaść z powrotem bezpiecznie na ścianę domu, czy runąć w tył, miażdżąc stojącego na niej człowieka. Ciężar mężczyzny przeważał. Nienaturalnie powolnemu ruchowi w tył towarzyszył histeryczny krzyk mężczyzny, uwięzionego na wierzchołku. Głuchy łoskot.

Pennant chciał zasłonić oczy przed tym potwornym widokiem, cóż, kiedy ręce nie słuchały gorączkowych rozkazów wydawanych im przez mózg. Chrząst trzaskających kości i pękającego drzewa, skrwawione ciało w przedśmiertnych drgawkach, bulgot krwi, wypływającej z ust, zamiast błagania o pomoc. Al oczami wyobraźni zobaczył już to wszystko kilka sekund wcześniej. Teraz widok ten ukazał mu się po raz drugi, tyle, że był stokroć okrutniejszy.

Ciało mężczyzny, przygniecione ciężką drabiną do ziemi, było nienaturalnie powykręcane. Zmasakrowane kończyny, złamany kręgosłup, płynąca z ust krew. Nie było dla niego ratunku. Im szybciej umrze, tym lepiej dla niego i dla pozostałych, nadbiegających robotników. Al nie mógł przestać patrzeć w oszalałe ze strachu oczy ofiary. „Umrzyj, umrzyj wreszcie” - modlił się w duchu.

Robotnik jednak ciągle żył. Próbował powiedzieć coś do otaczających go kolegów. Zamiast słów wydobywał się z jego ust tylko potok krwi, niosącej kawałki połamanych zębów i pęcherze powietrza. Jedyne wymowa jego oczu była oczywista.



Koledzy otoczyli go ciasnym kręgiem. Tłum falował i huczał mieszanką głosów francuskich i niemieckich. Pennant nie rozumiał, co mówią, ale przeczuwał, że inni zrozumieli niemą wiadomość, przekazywaną przez umierającego.

Wreszcie skołał. Nagła cisza zaległa w tłumie. Czyniono znaki krzyża, modlono się, po czym wszystkie oczy zwróciły się na Pennanta. Widział on w nich nienawiść i oskarżenie: „Morderca! Ty wiedziałeś od początku, co jest w tym pokoju”.

Amerikanin musiał więc podjąć szybko jakąś decyzję. Nie mógł stać tak dłużej: blady i dyszący z półotwartymi ustami naprzeciwko rozjuszonego tłumu.

- Dla... Dlaczego on spadł? - zapytał.

Pomruk tłumu uświadomił mu, że nie była to właściwa odzywka.

- Co jest w tym domu? O czym pan nam nie powiedział?

- Nic. Zupełnie nic.

- Kłamstwo. Piotr coś widział. Coś, co nie należy już do naszego świata i czego żaden żyjący widzieć nie może.

Z hotelu zadzwonił do Zurychu do kierownika przedsiębiorstwa Chandu.

- Przykro nam, panie Pennant. Chcieliśmy skończyć tę pracę, lecz nie możemy w żaden sposób zmusić robotników. Obawiamy się strajku. Tak, tak. Wiem, że podpisaliśmy umowę, ale niestety, naprawdę nic nie możemy w tej sprawie zrobić. Proszę spróbować w firmie Dupins. To nieduża spółka,

pewnie będą zadowoleni z oferty.

Wybrał się osobiście do biura firmy. Zastał tam jedynie pomniejszego urzędnika, który poinformował go, że szef, pan Dupin, wyszedł na chwilę i powinien wkrótce wrócić. Z trudem rozumiał łamaną francuszczyznę mówiącego. Postanowił zaczekać.

Wkrótce czerwone volvo Dupina zaparkowało przed budynkiem. Niski, grubawy mężczyzna z dość ponurym wyrazem twarzy wszedł do pokoju. Sekretarz krótko zrelacjonował mu sprawę.

- Proszę do mego gabinetu - Dupin wskazał drogę.

Nie zaproponował nawet gościowi, aby usiadł. Pennant rozgościł się jednak sam.

- Więc to Chandu polecił panu naszą firmę? To dziwne. Oni z reguły tępią konkurencję.

- Jeden z robotników zginął dziś rano. Spadł z drabiny. Reszta się przestraszyła i odmówiła dalszej pracy.

- Dlaczego? Ci ludzie są świadomi ryzyka, jakie ponoszą. Takie wypadki zdarzają się każdego roku.

- Nasłuchali się plotek o Domu Kwiatów.

- La Maison des Fleurs?! Teraz to zupełnie co innego, panie Pennant.

- Chcę tylko, by rozebrano dom i ściągnięto na dół oraz by załadowano to wszystko w pociąg do Triestu.

- Nie byłoby problemu, gdyby chodziło o jakikolwiek inny dom!

- A czym on się różni od tysięcy innych, starych gmachów na świecie?

- Osobiście nie jestem przesądny - Dupin uśmiechnął się lekko - ale wie pan, tutejsi robotnicy wierzą w różne bzdury.

- Dobrze zapłacę.

Dupin przyjrzał mu się uważnie.

- Oczywiście. Nikt nie podjąłby większego ryzyka niż normalne za przeciętne wynagrodzenie.

- Chandu zażądał stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów - Pennant mówił wolno. Widział strumień pieniędzy, płynących teraz w drugą stronę. - Pan dostanie dwieście. To powinno wystarczyć do ściągnięcia ludzi.

- Hm... - Dupin wydał usta, próbując ukryć satysfakcję. Była to bardzo korzystna oferta, ale nie mógł się przyznać do tego tak od razu. - Nie wiem. Gdyby to był inny dom...

- Gdyby to był inny dom, nie płaciłbym tyle - Pennant stawał się coraz bardziej poirytowany.

- Jeżeli pan odmawia, ściągnę ludzi ze Stanów.

- Dlaczego tak się panu śpieszy?

- Mam zarezerwowany statek w Trieście na koniec maja. Czas to pieniądz.

- Proszę się uspokoić. Zadzwoń do pana wieczorem. Muszę się skontaktować z resztą zarządu. Mamy obecnie pewne prace rozbiórkowe w Brienz, ale tam wszystko idzie zgodnie z harmonogramem. Moglibyśmy ściągnąć stamtąd paru ludzi. Nie mogę jednak jeszcze panu niczego obiecywać. Dam panu odpowiedź koło dziesiątej.

Pennant wracał do hotelu piechotą. Szedł wolno, oglądając

wystawy sklepowe. Uderzyło go odbicie własnej, szarej ze zmęczenia twarzy.

Dupin zadzwonił o dziesiątej czterdzieści. Feralny dzień wreszcie zakończył się pomyślnie.

Następnego dnia rano na wzgórzu Reichenbach przybyło piętnastu robotników. Wydierżawiono od firmy Chandu ciężkie urządzenia, znajdujące się już na wzgórzu. Dupin osobiście ręczył, że do trzydziestego maja La Maison des Fleurs będzie w Trieście.

Wokół willi panowała teraz zupełnie inna atmosfera. Ludzie pracowali szybko i sprawnie. Było widać dobrą organizację i koordynację pracy. Pennant nie wiedział, jakie stawki zaproponował im Dupin. Musiały być jednak dostatecznie wysokie, bo ludzie się nie oszczędzali.

Wszystkie meble i sprzęty zapakowano w skrzynie i wysłano trzynastego kwietnia. Zewnętrzne ozdoby i rzeźbione fryzy pojechały w dwa dni później. Nie było też problemu z rozebraniem domu, zdjęciem krokwi i całego górnego piętra. Al był bardzo zadowolony z postępów pracy.

- To się nazywa dobry kawał roboty - chwalił Dupina. - Wszystko będzie w Trieście przed wyznaczoną datą. Aha, chciałbym jeszcze zabrać po kilka sztuk krzewów i roślin z ogrodu, aby odtworzyć naturalne otoczenie domu na Long Island.

- Oczywiście. To żaden problem. Proszę pokazać tylko, co pan chce zabrać. Moi ludzie wszystkiego dopilnują. - Dupin także był zadowolony.

Pennant przypomniał sobie pierwiosnek u podnóża schodów. Wziął łopatę i ruszył na poszukiwanie. Kwiat już dawno zwiędł, ale gdzieś w ziemi musiała być cebulka, z której wyrośnie w przyszłym roku. Wolno rozgrzebał ziemię. Wreszcie znalazł pojedynczą, niedużą bulwę, jakich wiele kupić można w każdym sklepie ogrodniczym. Włożył ją do plastikowej torebki razem z odrobiną ziemi i wrzucił do jednej ze skrzyń. Uderzył go obrzydliwy smród. Podobny był do tego, jaki czuje się w domach Nowego Jorku, w których ciągle psuje się kanalizacja. Rozpoznał ten odór. Czuł go tego dnia, kiedy widział upiora nad stawem. Pamiętał ten trupi zapach krainy umarłych.

Spojrzał na swoje spodnie. Skąd mogły się wziąć te mokre, cuchnące plamy? Domyślał się, że pewnie gdzieś tu pod ziemią pękła rura kanalizacyjna i ścieki wsiąkają w glebę, zamiast spływać w dół. Zapewne przykleknął właśnie w tym miejscu i pobrudził spodnie. Mimo, że to wyjaśnienie wydało mu się bardzo logiczne, nie mógł odpędzić od siebie powracającego uporczywie obrazu zjawy z ogrodu.

Był czwarty maja. Już tylko parter i fundamenty wraz ze wspierającymi je słupami pozostały do rozebrania. Jeszcze tydzień pracy i całość powinna być w drodze do Triestu. Wszystko zmierzało do pomyślnego końca.

Wielka koparka pracowała bardzo szybko. Zwały wywożonej ziemi i kamieni zalegały trawnik. Pennant upomniał operatora, by po wyciągnięciu słupów wszystko wyrównać.

Wreszcie drewniane bale były dostatecznie głęboko podkopane. Zakładano właśnie łańcuchy, aby wyciągnąć je za pomocą dźwigu. Nagle krzyk jednego z robotników przerwał pracę. Wszyscy zbiegli się wokół krzyczącego. Wśród brunatnej ziemi białe kości kilku ludzkich szkieletów.

- Co to jest?! - wrzasnął ktoś, choć dokładnie wiedział, co widzi.

Mężczyźni rozbiegli się pokrzykując. Nadszedł Pennant, zwabiony hałasem. Żołądek miał ściśnięty z niepokoju. Przeczuwał, że zdarzyło się coś złego.

- Proszę pana! - zawołał go brygadzysta.

Ktoś inny spuszczał się już na dno dołu z zamiarem upewnienia się, że się nie mylą.

- Trafiliśmy na grobowiec. Ludzie mieli rację, to diabelski dom!

- To spróchniałe kości sprzed stuleci! - Pennant prawie krzyknął, aby ukryć własne zmieszanie. - Pewnie był tu kiedyś zapomniany cmentarz.

- To nie cmentarz. To zbiorowa mogiła zamęczonych ofiar Reichenbacha.

- Wstrzymać pracę. Trzeba wezwać policję - Pennant drżącymi rękami sięgnął po cygaro.

Armand Heron skrzywił się, obserwując pracę koparki. Wydobyto już około tuzina szkieletów i ciągle wyłaniały się nowe. Dwóch innych policjantów układało wydobyte kościotrupy, składając je w rząd, jak ofiary na polu bitwy.

- Siedemnaście - zameldował jeden z nich.

- Panie Pennant - Heron zwrócił się do Amerykanina - legendy krążące o Reichenbachu, okazały się prawdziwe. Proszę

spojrzeć na to. Każdy z tych ludzi był przed śmiercią straszliwie torturowany. Niektórzy mają amputowane kończyny. Widać pan tego chłopca?

Pennant przypomniał sobie opowieść Weroniki i poczuł gorycz w ustach.

- Albo ten. Kości ma pogruchotane jakimś diabelskim przyrządem. Ten obok był chyba łamany kołem. Niektórzy noszą jeszcze kajdanki.

- To musiała być kobieta - Al zdecydował się coś powiedzieć.

- Możliwe. Człowiek, który to zrobił, musiał być opętany przez diabła. Nigdy nie pogodził się z porażką swego państwa. W ten sposób walczył z jego wrogami już po kapitulacji Niemiec. Być może żyją jeszcze gdzieś na świecie gestapowcy z podobną manią. Koniecznie więc należy osobiście obejrzeć te szczątki i zdecydować, czy trzeba wszcząć śledztwo, czy też nie.

- Jeszcze kilka dni i pozbędzie się pan tej kłopotliwej posiadłości Reichenbachów ze swego terenu. Trzydziestego maja dom odpływa do Stanów.

- Tak, panie Pennant. Nie zmieni to jednak niczego - zadowolony uśmiechnął się ponuro. - Mówiłem już to panu kiedyś, powtórzę jeszcze raz. Nawet za milion franków nie spędziłbym w tym domu ani jednej nocy. Okrucieństwa, które się tu działy, musiały zostawić po sobie ślad. Te ściany przesiąknięte są cierpieniem i śmiercią. Duchy ofiar i oprawcy pokutują uwięzione w nich. To jest diabelski dom. Nigdy nie pozbędzie się pan jego atmosfery.

Al Pennant wrócił wyczerpany do hotelu. Postawi ten dom na Long Island w zupełnie innej scenerii. Wszystko się zmieni. ZŁE MOCE powinny pozostać w miejscu, w którym się zrodziły. Jeśli jednak nie opuszczą La Maison des Fleurs, będzie czekała go ciężka walka o wyrwanie domu z ich pazurów.



## *Rozdział V*

### HORROR NA MORZU

Dave Giovanni nie przepadał za dalekomorskimi podróżami. Doszedł do takiego wniosku już drugiego dnia po wypłynięciu z Nowego Jorku. Mimo swoich osiemnastu lat nie wiedział jeszcze, co chciałby w życiu robić. Na razie szybko potrzebował pieniędzy. Jego ojciec nabył niedawno nowego mustanga (rocznik 1979) i wydawało się, że jest to szczyt jego ambicji. Dave miał upatrzonego VW beetve (1972), którego zamierzał nabyć zaraz po powrocie. Żywił nadzieję, że jego zarobek z tej podróży wystarczy mu na kupno wozu, a matka dołoży nieco pieniędzy na remont. Planów na dalszą przyszłość nie snuł. Jednego tylko był pewien: nigdy więcej nie będzie zarabiał na morzu, choćby mógł za to kupić mustanga.

Siedział na jakiejś paczce na rufie statku. Noc była duszna i parna. Irytowały go odgłosy pracy silników. Po dłuższym wsłuchiwaniu się stwierdził, że przypominają one trochę rżący głos silnika jego wymarzonego VW na próbnej jeździe. Mechanik orzekł, że któryś z filtrów jest niesprawny i wystarczy

go wymienić, by wszystko było w porządku. Może silnik tej starej balii też ma coś nie w porządku z filtrami. Miał dosyć tej pracy majtka. Zresztą nikt inny też nie był z niego zadowolony. Nie cierpiał ich wszystkich, od kapitana Stacey'a zaczynając, a na palaczach kończąc.

Zapalił ostatniego camela. Pustą paczkę wrzucił beztrąsko do Adriatyku. Nie zamierzał wracać na noc do swojej koi. W końcu to nie marynarka wojenna, może nocować gdzie mu się podoba. Przypomniawszy sobie ostatnią noc. Zejście na brzeg dało mu dobrą nauczkę zamiast oczekiwanej przyjemności.

Sallinger oraz dwóch innych zabrali go ze sobą do domu publicznego w Trieście. Pierwszy raz był w takim miejscu, i doznał wielkiej porażki. Ta młoda, włoska dziwka pokładała się ze śmiechu, kiedy jego wytrysk nastąpił tuż po rozpoczęciu pieszczot. To nie była jego wina. Po prostu nie mógł wytrzymać już dłużej. Nie mógł się też zdobyć na następny raz. Żałował pieniędzy wydanych na tak krótką przyjemność. Jedyne pocieszenie, że przynajmniej nie musi się obawiać jakiejś choroby.

Dla Sallingera i dwu pozostałych wyprawa do burdelu zaczęła zaledwie nocne zabawy. Poigrali sobie z panienkami, popili, a kiedy wrócili na pokład, uznali, że jeszcze nie mają dość. Dla odmiany nabrali apetytu na młodego chłopca leżącego na swojej koi. Wiedział, że nie ma sensu się bronić, bo zyska tylko parę guzów, a ci zboczeńcy dostaną go i tak. Przeżył koszmar i bał się, że może się on powtórzyć, jeśli ci zwyrodnialcy w tym zasmakowali.

Postanowił schodzić im z drogi, choć nie było to łatwe na małej powierzchni statku. Być może nawet teraz czekają niecierpliwie na niego pod pokładem z myślą o daniu upustu swym nienormalnym żądom.

Przyszła mu do głowy bardziej ponura perspektywa. A jeśli ci trzej nie siedzą beczynn timer, tylko wyruszyli na jego poszukiwanie? Łatwo mogą go odnaleźć i... aż bał się myśleć, co może się zdarzyć. Gwałt byłby zapewne przyjemnością po tym, co zrobią mu najpierw. Osłonił ręką ogień papierosa, aby nie zdradzać swej kryjówki.

Silniki zwiększyły obroty. Dave lubił, kiedy statek przyspieszał. Droga do domu wydawała mu się wtedy krótsza. Próbował ułożyć się wygodnie. Miał wiele rzeczy do przemyślenia, na przykład Włochy. Zupełnie mu się ten kraj nie podobał. Kilka godzin na brzegu wystarczyło do przekonania się o tym. Dużo bardziej wolał Nowy Jork i jego mieszkańców, mimo że miewali czasem zwariowane pomysły, jak ten Pennant. Facet musi mieć nierówno pod sufitem, żeby kupować stary, drewniany dom i wieźć go tyle mil do Stanów. Jakby na miejscu nie było dostatecznie dużo domów do kupienia. Zapewne znalazłaby się i taka drewniana ruina, skoro gość w czymś takim gustuje. Jeszcze bardziej dziwiło go, dlaczego ten człowiek chce przewieźć do Stanów te krzaki i rośliny zapakowane w drewnianą skrzynię. Zupełnie nie rozumiał pasji ogrodnictwa. Po co hodować jakieś rośliny, dbać o nie i podlewać, skoro można kupić wszystkie potrzebne warzywa w sklepie. Umyte, zapakowane i nawet pokrojone.

Wyczuł jakieś poruszenie gdzieś z tyłu między kontenerami. Serce zaczęło mu walić prawie w rytm pracy silnika. Obliznął nagle spierzchnięte usta. Nie było zbyt wiele kryjówek na pokładzie. Większość miejsca zajmowały ogromne kontenery. Diabli by wzięli tego szalonego faceta z jego idiotycznymi pomysłami. Kolejny ruch. Zamarł. To na pewno Sallinger go szuka, chcąc pofolgować swoim zboczonym popędom. Wyteżył wzrok, usiłując dostrzec coś w ciemnościach. Dojrzał zbliżającą się do niego pochyloną dziecięcą postać.

- Pomóż mi! Ukryj mnie przed NIM - nie był to ludzki głos.

- Tutaj. Chodź tutaj - zawołał cicho.

Postać podbiegła bliżej i przykucnęła koło niego. Dopiero teraz zobaczył twarz dziecka. „Matko Boska” - wyszeptał zbiełałymi wargami. Nie wierzył własnym oczom. Zmasakrowana, skrwawiona twarz, na głowie poodcinane płyty skóry z włosami, resztki ubrania. Całe ciało posiniaczone i wynędzniałe.

- Kto...? - Giovanni nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Jego przerażenie sięgnęło zenitu.

- Ukryj mnie, błagam - chłopiec rozglądał się dookoła dziko błyszczącymi oczami. Zatrzymał wzrok na chwilę na wąskiej szczelinie między dwoma kontenerami. Młody Włoch też się nad nią wcześniej zastanawiał, ale wydała mu się zbyt wąska na schronienie.

- Nie pozwól MU mnie odnaleźć.

„Komu? Dlaczego? Kim jesteś?” - pytania tłukły się w mózgu Dave'a, nie mogąc znaleźć ujścia. Przerazony nie mógł

oderwać oczu od zmalretowanej postaci. Instynktownie wyczuł obecność trzeciej osoby na pokładzie. W ciemnościach za jego plecami stał mężczyzna. Księżyc wyjrzał zza chmur, oświetlając jego postać. Szok był tak potężny, że doprowadziłby do obłędu każdego żywego człowieka. Zamiast twarzy zwiślały strzępy gnijącego mięsa, w którym wily się białawe larwy. Gęsta maź ciekła z ust na ciemny mundur, a zapadnięte oczodoły wydawały się puste. I ten tłumiący dech w piersiach zapach, zapach ZŁA i ŚMIERCI.

- Kapitanie Stacey? - zdołał wydobyć z siebie głos. Nadzieja, że może to ktoś z załogi przebrał się dla kawału, była nierealna. Modlił się, żeby to był Sallinger.

- Zrobię wszystko, co pan zechce kapitanie... ja się nie ukrywam... po prostu chciałem trochę odpocząć - błagał żalonym szeptem.

- Gdzie jest chłopak?

„O Boże! To o tego małego mu chodzi, nie o mnie. Nie zrobi mi krzywdy” - myśli jak oszalałe tłukły mu się po głowie. Nie mogąc oderwać wzroku od twarzy nieznanego, Dave z największym trudem wskazał szczelinę między kontenerami.

- Tam jest. Weź go. Nie rób mi krzywdy.

- Kłamiesz, nikogo tam nie ma.

- Jest tam. Przysięgam!

Mężczyzna podszedł bliżej. W otworach po nozdrzach pojawiły się bąbelki posoki. Uniósł, świecąc nagimi kośćmi, rękę z batem.

- Gdzie chłopak?
- Tam. Przysięgam na wszystko.
- Zostaniesz ukarany zamiast niego. Ty, kłamco!

Umysł Dave'a odmawiał już posłuszeństwa. Nie wiedział, jak to się stało, że został zawieszony za nadgarstki na jakiejś żerdzi tak, że ledwo dotykał ziemi stopami. Nie wiedział kto i kiedy rozebrał go i skrępował za nogi.

- To ty jesteś tym, którego szukałem. Nie oszukasz mnie.
- Nie, to pomyłka! Chłopak, którego szukasz jest tam! Puść mnie, nie zrobiłem nic złego!
- Zapłacisz za zbrodnie swoich rodziców.

Szaleństwo. Nie mógł przypomnieć sobie, co takiego mógł zrobić jego ojciec czy matka. To musi być zły sen. Zamknął oczy. Łudził się, że minie, gdy je otworzy. Nie, nic się nie zmieniło. Ciągle wisiał nagi naprzeciw oprawcy. Poczul pierwsze uderzenie w okolicach nerek. Kolejne na jądrach. Dolne części ciała wydawały mu się sparaliżowane. Posypały się następne uderzenia. Jego ciało było tak perfekcyjnie naciągnięte, że nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. Pozostawał wystawiony na uderzenia w dokładnie tej samej pozycji. Zmaltretowane ciało nie czuło bólu, gdy oprawca odrzucił na bok bat. Zimny, stalowy przedmiot błysnął mu w rękę.

- Zbyt mało krzyczysz. Chyba usta masz zbyt wąskie. - Przed oczami mającym mu się sadystyczny uśmiech oprawcy. Mężczyzna trzymał w ręku brzytwę.

- Matko Boża, ratuj! - Dave zacisnął usta w nadziei, że przeszkodzi w ten sposób zbrodniarzowi. Poczłł chłód stali między wargami. Ostrze przesuwalo się wolno w kierunku kości policzkowych, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Ciepły strumień krwi spływał mu do gardła. Na moment wrócił mu głos. Zaczłł krzyczeć. Ktoś pod pokładem musi go usłyszeć. Jednak nikt nie nadchodził. W powietrzu unosiła się wciąż dusząca, trupia woń, wywołująca mdłości.

Ostrze brzytwy zaczęło zagłębiać się w skórę głowy tuż nad kośćmi czaszki. Kilka wprawnych ruchów i skrwawiony skalp leżał u jego stóp. Oszałały z bólu nie poczuł, kiedy został rozwiązany. Bezwładnie zsunął się na podłogę. „Dobij mnie” - błagał w myślach.

- Sam umrzesz... niedługo - cyniczny głos dobiegał go jak z zaświatów. Czerwone plamy migały mu przed oczami, ból pulsował w porozrywanych tkankach. Poczłł, że leci, spada. Chłód złagodził na chwilę ból. Chciał zaczerpnąć powietrza. Zamiast tego, płuca wypełniły mu się płynem. Powierzchnia wody zamknęła się gładko nad jego ciałem. Przez ułamek sekundy zamajaczyła mu sadystycznie uśmiechnięta twarz oprawcy wychylająca się przez burtę. Tonał.

Kapitan Stacey nadał przez radiostację komunikat do bazy na łądzie o zaginięciu jednego z członków załogi. Podejrzewano, że wypadł za burtę i utonął. Poszukiwania helikopterem nie przyniosły żadnych rezultatów.

Stacey zapisał w dzienniku pokładowym zaginięcie Dave'a Giovanni. Statek ruszył w dalszą drogę na najwyższych obrotach

silnika. Musieli nadrobić stracony czas.

- Spodziewam się, że zjawisz się jeszcze przed końcem roku? - rzekł Al, nalewając whisky do dwóch wysokich szklanek i podając jedną z nich Parlane'owi. Wizyta Parlane'a w La Maison des Fleurs na Long Island była kolejnym triumfem Pennanta. „Dobij go jeszcze. Taka okazja może się więcej nie powtórzyć” - podszeptywało mu coś w duchu.

- Nie przyjechałem specjalnie - Parlane wziął podaną mu szklankę i spróbował. Wyśmienity Johnny Walker. Było to coś, w czym Amerykanie zdecydowanie przewyższali Anglię. - Byłem w Brooklynie z zamiarem dokończenia transakcji. Przeczytałem w gazecie, że postawiłeś już ten dom na Long Island, więc wpadłem. Widzę, że nie tracisz czasu.

Pennant pochwycił spojrzenia Parlane'a na Weronikę. Wyglądały na taksujące, a nawet na pożądliwe.

- Mówiłem ci jeszcze w Szwajcarii, że zamierzamy tu spędzić Boże Narodzenie. Ściągnij żonę z Anglii, spędzimy święta razem.

- Obawiam się, że Anthea nie jest zwolenniczką przyjęć w tej zachwycającej atmosferze domu Reichenbachów. Zwłaszcza od czasów ostatniej fety - Bruce uśmiechnął się trochę zbyt zgryźliwie.

- À propos. Słyszałeś, że Wallace Quilmer ożenił się ponownie? Też nie tracił czasu.



- To nie jest zabawne - wtrąciła Weronika. Po raz kolejny rzuciła ukradkowe spojrzenie na Parlane'a. Pragnęła, aby został do świąt. Oczywiście, najlepiej bez żony.

- Słyszałem, że miałeś trochę niepowodzeń od czasu naszego ostatniego spotkania? - zagadnął Parlane. - Brytyjskie gazety pisały, że odkryto zbiorowy grób podczas rozbiórki tego domu?

- Tak. Pochodził z jakichś zamierzchłych czasów - Penant musiał grać przed własną żoną. - Pewnie był tam wcześniej zanim zbudowano Dom Kwiatów i nie ma z nim nic wspólnego. Zresztą, ktoś to może wiedzieć, jakie to ma teraz znaczenie. Rozeszły się jakieś głupie plotki. Robotnik spadł z drabiny i się zabił, a jego koledzy uznali, że to sprawka złych mocy. Jakiś dzieciuch wyskoczył za burtę statku, wiozącego ten dom. Tyle szumu o drobiazgi.

- Może to fatum, Al?

- Nie wierzę w takie bzdury. Zresztą teraz dom stoi na Long Island w jednym z najlepszych miejsc i jeśli COŚ nawet w nim było, to to COŚ z pewnością zostało w Szwajcarii.

„Mam nadzieję” - pomyślała Weronika. Nic szczególnego się nie zdarzyło bowiem od kiedy się tu wprowadzili. Nawet Tod jakby się uspokoił. Modliła się co wieczór, aby tak było dalej.

- Posłuchaj - Parlane podszedł do okna. Widok był rzeczywiście ładny. Słońce na błękitnym niebie dawało złudzenie lata. Być może to skłoniło go do dalszych słów: Pamiętasz moją ofertę z Szwajcarii? Dołożę jeszcze sto tysięcy dolarów.

Będziesz mógł zbudować kilka nowoczesnych domów i...

- Na razie nie mam zamiaru tego sprzedawać za żadną cenę.

- Cóż, trudno - Parlane uśmiechnął się lekko. - Gdybyś kiedykolwiek zmienił zdanie...

- Nic z tego. Pogadaj z prezydentem. Prędzej kupisz cały Biały Dom niż to. A tak przy okazji, może zostaniesz na noc? Warunki mamy dużo bardziej komfortowe niż w Szwajcarii.

- Dziękuję, chętnie skorzystam. Odlatuję jutro rano i muszę przed odjazdem odbyć jeszcze jedną rozmowę.

- Zazwyczaj wstajemy o siódmej. Dobranoc.

Sypialnia wyglądała dokładnie tak samo jak ostatnio, kiedy Parlane w niej nocował. Przy zaciągniętych zasłonach szum Atlantyku za oknem można było uznać za zawrodoenie wiatru na wzgórzu Reichenbach.

Rozbierał się powoli. Budowniczowie spisali się świetnie, dom nie ucierpiał ani trochę przy przenoszeniu. Położył się do łóżka i zgasił światło. Pomyślał, że mimo wszystko atmosfera w tym domu się nie zmieniła. Al będzie musiał zapewnić sobie ciągle nowe dostawy odświeżonego powietrza, aby pozbyć się tego przykrego zapachu. A może ten nastrój nierozdzielnie związał się z domem? Ciekawe czy coś by się zmieniło, gdyby przeniósł go do Anglii? Pokój wydawał mu się zbyt chłodny, mimo centralnego ogrzewania, pracującego gdzieś pod dębową boazerią.

Al nie chce sprzedać domu. Przynajmniej nie teraz i nie w ciągu najbliższego roku czy dwóch. Parlane nie wiedział, czy za tych parę lat jego interesy będą szły na tyle dobrze, żeby mógł pozwolić sobie na kupno tej willi. Zastanawiał się też, czy Anthea chciałaby zamieszkać w tym domu. Oczywiście w Anglii. Żaden inny kraj nie mógł się przecież równać z Anglią, nawet tętniące życiem Stany Zjednoczone. Ameryka ma tylko teraźniejszość i przyszłość, ale żadnej historii. Pod względem tradycji Anglia zawsze bila ją na głowę, choć niektórzy ludzie próbowali tego nie dostrzegać. Chyba jednak wielu Amerykanów dotknął kompleks braku korzeni i stąd ich zamiłowanie do zabytkowych budowli. Przykre wspomnienia ożyły na nowo. Niedawno współzawodniczyli z Pennantem o kupno zabytkowego pałacyku z epoki elżbietąńskiej. Obaj grali nie fair, podbijając stawki i dając łapówki pośrednikom. Wygrał Amerykanin i oczywiście przywiózł swój nabytek do Stanów.

Leżał wsłuchując się w szum Atlantyku w oddali. To była jedyna rzecz, której nie można kupić i wywieźć, niezmienna w swym trwaniu.

Nagle przez monotony szum oceanu przedarł się ludzki płacz. Najwyraźniej dochodził z wyższego piętra. To dziwne, ponieważ wyższe kondygnacje nie były zamieszkane. Usiadł na łóżku nasłuchując. „Pomóż mi... ukryj mnie przed nim...” - wyraźnie dobiegał go błagalny szept, a po nim ciche pochlipywanie.

Wyskoczył z łóżka, narzucił szlafrok na plecy i podbiegł w kierunku drzwi. Namacał włącznik światła, nacisnął... ciemności dalej zalegały pokój. Nacisnął jeszcze raz z tym samym

efektem. „To podobne do Ala - wydaje miliony, a zapomina zmienić żarówkę”.

Placz urwał się tak nagle, jak się pojawił. Znowu słyhać było tylko przytłumiony szum Atlantyku. Bruce stał jeszcze chwilę przy drzwiach. Czyżby się przesłyszał? Niemożliwe, głos dobiegał go zbyt wyraźnie. To musiał być Tod, którego pewnie męczył kolejny koszmar sen. Jeśli majaki chłopca będą się powtarzały, skłoni to w końcu Pennanta do sprzedaży domu. Nie, nie wolno mu tak myśleć, to podle samolubstwo.

Nie wiadomo dlaczego Bruce spróbował zapalić światło jeszcze raz. Ku jego zdumieniu w drewnianym abażurze zablýsło światło. „To chyba przemęczenie” - potrząsnął głową w zamyśleniu i wrócił do łóżka.

Parlane zszedł na śniadanie o siódmej trzydzieści. Zaskoczył go lekko widok Weroniki i Toda siedzących już za stołem. Przyjrzał się uważnie chłopcu, starając się wywnioskować z jego twarzy, czy coś mu się nie przytrafiło tej nocy.

- Dzień dobry! To miło widzieć młodego człowieka wstającego o tak wczesnej porze. Muszę to powiedzieć Richardowi. On śpi zdecydowanie zbyt długo.

- Dzień dobry, panie Parlane - Tod uśmiechnął się z ustami pełnymi grejpfruta. - Dobrze pan spał?

- Doskonale - odrzekł Parlane, zastanawiając się, dlaczego na wspomnienie dzisiejszej nocy przebiega go zimny dreszcz.

## *Rozdział VI*

### PRZEŚLADOWANY

Tod wiedział, że mimo przeprowadzki nic się nie zmieniło. ONI przybyli na Long Island razem z Domem Kwiatów. Słyszał czasem ich wołanie o pomoc podczas zimowych nocy. Kilka razy rozpoznał też gardłowy głos tego człowieka z rozkładającą się twarzą. Bał się tych głosów, ale osobiście duchy go nie prześladowały. Toczyły swoje życie na górnych piętrach i na strychu, jakby celowo schodząc ludziom z drogi.

Kiedyś słyszał też płacz i błaganie chłopca o litość, potem przekleństwa rzucane chrapliwym głosem i świst bicia. Po raz kolejny usiłował przemyśleć całą sprawę. Musieli istnieć oprawcy zadający cierpienie i ich bezbronne ofiary. Wydawało się, że to wszystko nie ma końca, dusze są uwięzione w tym domu jak w pułapce, bez możliwości ucieczki. Toczyliby swoje rozgrywki tylko między sobą, gdyby ludzie nie zakłócali ich egzystencji. Kupno i przewiezienie domu do Stanów musiało rozwścieżyć kata i dlatego zaczął on interweniować w sprawy żywych. Czy nie można byłoby rozwiązać jakoś tego problemu

i uwolnić pokutujące dusze z ich szatańskich więzów? - Tod cieszył się z tego, że znowu chodzi do szkoły. Ojciec chciał mu znaleźć prywatnego nauczyciela, jednakże człowiek, który się zgłosił, po obejrzeniu Domu Kwiatów odmówił. Twierdził bowiem, że ten dom wywołuje w nim nieokreślone uczucie zagrożenia. Tod rozumiał go doskonale, Al Pennant niestety, nie. Na razie chłopak zadowalał się tym, że choć kilka godzin dziennie może spędzać poza tym odpychającym miejscem.

Wiosna zaczęła się w tym roku wcześniej, śnieg prawie stopniał. Rośliny i krzewy przywiezione ze Szwajcarii zaczęły puszczać pąki w sprzyjającym klimacie.

Tod celowo jadał wcześniej, razem z rodzicami, by mieć czas na spokojne dojście do szkoły. Wyszedł na werandę i spoglądał na nieduży ogródek. Już uprzednio zauważył dorodny pierwiosnek odcinający się kremową bielą od reszty otoczenia. Ojciec zasadził go osobiście tuż obok ścieżki wiodącej do bramy. Była to rzecz niespotykana, gdyż Pennant nigdy niczego nie robił samodzielnie wokół domu.

Chłopiec wyteżył wzrok, chwytając się balustrady drżącymi palcami. Roślina otoczona była jaskrawym purpurowym kręgiem. Nie wiadomo, skąd resztki śniegu uzyskały krwawą barwę.

- Tato! - wrzasnął. - Tato!

Al Pennant domyślił się, że dzieje się coś złego. W głosie syna brzmiała trwoga, niespotykana od czasu powrotu ze

Szwajcarii. Zbiegł na dół, przeskakując po kilka stopni. Resztki kremu do golenia stanowiły kontrast z nabiegłymi krwią policzkami.

- Co się stało? - wyskoczył na werandę. Jego wzrok pobiegł za spojrzeniem syna.

- Krew!

- Nie, to nie jest krew - odepchnął chłopca na bok. Sam zbiegł po schodach do ogrodu. Pierwiosnek otaczała świeża czerwona plama. Z ociąganiem nabrał odrobinę zabarwionego śniegu na palec i podniósł do ust. Skrzywił się z obrzydzeniem i splunął. Nie mógł się mylić. To była krew.

- Tato?! - Tod nadbiegł z tyłu. - To krew? Prawda?

- Nie - unikał wzroku syna, chcąc ukryć kłamstwo. - To jakiś osad - nie był pewien, czy chłopiec mu uwierzył. - Za bardzo ulegasz swojej wyobraźni. Nie czas już do szkoły?

Al odwrócił się i wszedł po schodach do domu, nie czekając na odpowiedź. Wrócił do przerwane go lenia. Zaklął cicho, gdy ostrze żyletki weszło zbyt głęboko. Poczul się nieswojo, widząc w lustrze kropelkę krwi, spływającą mu po policzku. Ciągłe jeszcze drżały mu ręce. „Będę musiał kupić maszynkę elektryczną” - pomyślał.

Kwadrans później Tod ostrożnie uchylił frontowe drzwi. Wyrzał niepewnie na zewnątrz, gotów cofnąć się natychmiast z powrotem w razie niebezpieczeństwa. Krwawa plama zniknęła. Ciągłe niepewny zszedł po schodach. Był przerażony nie

tylę tym, co widział, ale tym, że ojciec też zaczął się bać, ZŁA SIŁA wydawała się być coraz bardziej rozwścieczona. Jej narastająca wrogość manifestowała się w coraz głośniejszych i uporczywych hałasach. Wydawało się, że incydent z pierwiosnkiem obudził ją z zimowego letargu. Tod słyszał co noc jęki i płacz. Wrócił jego dawny lęk przed pójściem do łóżka. Koszmar zaczynał się z chwilą, gdy matka całowała go na dobranoc i gasiła światło. Ranek przynosił ocalenie. Wiedział, że pewnej nocy nie uniknie spotkania z którymś z NICH i oczekiwiał tego z przerażeniem.

- Mamo! - przytrzymał rękę odchodzącej Weroniki. - Mamo, czy ty też ICH słyszysz w nocy?

- Tak - przymknęła oczy.

Przyznanie się do tego, co dręczyło ją już od dawna, przyniosło pewną ulgę.

- Słyszałam ICH wczoraj i przedwczoraj.

- Tata mimo to nie chce sprzedać tego domu?

- Nie. Mówiłam mu o tych głosach, ale mi nie wierzy. Twierdzi, że to moja wyobraźnia. Wścieka się, gdy mu o tym wspominam.

- Mamo, nie moglibyśmy stąd razem wyjechać? - wydawało się, że czytał w jej myślach.

- Zastanawiałam się już nad tym.

- Moglibyśmy pojechać do dziadków - po raz drugi była zaskoczona zgodnością ich myśli. Ten zamiar nurtował ją już od kilku dni. Byliby tam wreszcie bezpieczni i może to skłoniłoby Ala do pozbycia się tego domu.

- Nie obawiaj się Tod - wyswobodziła się z jego uścisku. - Jeżeli ONI nie przestaną, pojedziemy do dziadków bez względu



na to, czy ojcu się to podoba, czy też nie.

Wyszła z pokoju Toda zlaną zimnym potem. Nie mogła już dłużej odkładać decyzji. Musi się wreszcie sprzeciwić Ałowi.

Po wyjściu matki chłopiec zaczął zastanawiać się nad znaczeniem epizodu z pierwiosnkiem. Dopatrywał się jakiegoś powiązania między kwiatem, tym domem i resztą ogrodu. Przypomniawszy sobie drzewa i krzewy, które zdawały się żyć własnym życiem. Widział jak pożądliwie wyciągają się w jego kierunku: „Chodź do nas Tod. Podejdź bliżej. Chcemy cię dopaść i zabić! Ostrzegaliśmy was. Wszyscy zginiecie”.

Odruchowo naciągnął kołdrę na głowę. Oczekiwał w napięciu, aż któryś z NICH wejdzie do pokoju, aby się z nim rozprawić. Nastąpiło to jednak dopiero tydzień później.

Wyjątkowo głośne jęki i skomlenia wypełniały ciemności nocy. Tod przeczuwał, że ktoś się zjawi, lecz nie spodziewał się, że będzie to młoda dziewczyna.

Zjawa stanęła obok jego łóżka. Resztki białej sukienki okrywały jej drobne ciało. Musiała być kiedyś ładna. Teraz jej twarz pokrywała sieć szram i blizn. Odcięta czymś ostrym dolna warga odsłaniała spróchniałe dziąsła z resztkami zębów. Grudki krwi zaschły w kępkach jasnych włosów. Widok był tym bardziej odrażający, że świadczył o zbrodni, jaką popełniono nie tylko wbrew życiu, ale wbrew urodzie oraz młodości.

- Skazaliście nas na wygnanie, jakbyśmy zaznali zbyt mało cierpień. Teraz jest jeszcze gorzej, po stokroć gorzej.

Tod próbował jej wszystko wytłumaczyć. Mamrotał coś z nadzieją, że go rozumie. Oni z matką niedługo opuszczą ten dom. Ojciec na pewno go wtedy sprzeda.

- To nam nie pomoże w niczym. Ktoś inny kupi ten dom. Moglibyśmy zaznać spokoju tylko w naszym dawnym miejscu, na wzgórzu Reichenbach.

Najbardziej przerażały go jej oczy. Były to oczy starej, znużonej życiem kobiety, które zła siła umieściła w oczodołach dziewczyny.

- Musisz zmusić ojca do odwiezienia tego domu z powrotem.

- Porozmawiam z nim. Przyrzekam.

Odeszła. Leżał w ciemnościach drżąc na całym ciele. Oszukał ją. Bał się jakiegokolwiek rozmowy z ojcem. Na pewno wyszłoby go, a jeśli będzie obstawał przy swoim, to zyska najwyższą lanie. Zupełnie nic nie mógł zrobić. O Boże! Gdyby mógł stąd uciec. Tysiące dzieci uciekają z domów z dużo bardziej błahych przyczyn. Zaczął myśleć dokąd mógłby uciec. Dziadkowie z pewnością odesłaliby go z powrotem. Zaczęłyby go też szukać policja. Wiele słyszał o odnalezieniu zaginionych dzieci, często martwych lub okaleczonych przez złoczyńców.

Obliział spieczone wargi. Nie bał się własnej śmierci. Bał się tych żywych trupów. Widział kiedyś nocny film w telewizji o stworach, które wychodziły z ogrodów i wyły w świetle księżyca.

Było to wręcz zabawne w porównaniu z tym, co dzieje się w La Maison des Fleurs. Tu trudno ocalić zdrowe zmysły po spotkaniu z gestapowcem o gnijącej twarzy.

Zapadł wreszcie w męczący, duszny sen.

Kiedy Tod wrócił następnego dnia ze szkoły, rodziców nie było w domu. Matka zostawiła mu kartkę na stole, że musieli wyjechać do miasta i żeby wziął sobie hamburgera z piekarnika. Mieli wrócić przed szóstą.

Tod westchnął. Rodzice wybierali się zapewne na jakieś przyjęcie lub ktoś miał wkrótce ich odwiedzić. Ojciec chciał, żeby matka była jak zwykle najmodniej ubrana w stroje, które oczywiście on sam wybierze. Wyobraził sobie ojca, który w kłębach dymu z cygara niedbale podpisuje czek.

Tod miał nadzieję, że ktoś zamierza ich odwiedzić i być może zostać przez kilka dni. To trochę rozładowałoby atmosferę tego domu. Wolno żuł hamburgera i popijał colą. Ciągle jednak prześladował go obraz tej dziewczyny i strach przed nadejściem nocy. Od wczorajszego wieczoru nie miał jeszcze okazji porozmawiać z ojcem, zresztą pewnie i tak by się na to nie zdobył. Musiał jednak dotrzymać obietnicy. Postanowił, że spróbuje coś napomknąć ojcu, gdy ten tylko wróci, wątpił jednak, czy odniesie to jakikolwiek skutek.

Poszedł do swojego pokoju, aby przebrać się ze szkolnego mundurka. Popołudnie było ciepłe i słoneczne. Postanowił pójść na plażę, choć z reguły wolał spędzać czas w domu z książką w

ręce. Ogród go przerażał. W falujących gałęziach drzew i krzewów widział złowieszcze macki, wyciągające się w jego stronę, jak gdyby chciały go pochwycić i zadusić.

Plaża znajdowała się zaledwie kilka kroków od domu. Rodzice nie zabraniali mu tam chodzić, pod warunkiem jednak, że nie będzie zbliżał się do samej wody. Prąd morski był tu bowiem silny, a i czasem zdarzały się rekiny, wylegające się w płytkiej wodzie. Chciał zabrać ze sobą space-hoppera - zabawkę podarowaną mu przez Parlane'a na gwiazdkę. Stanowiła ona balon z grubej gumy, wypełniony gazem lżejszym od powietrza i była ozdobiona rysunkiem przedstawiającym łeb potwora. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie może leżeć ten balon. Pewnie go mama gdzieś schowała podczas porządków. Postanowił sprawdzić najpierw w pokoiku obok sypialni rodziców, gdzie mama urządziła tymczasową rupieciarnię. Gdyby go jednak tam nie znalazł, zamierzał poszukać w szopie w ogrodzie.

Otworzył drzwi magazynku i zajrzał do środka. Był to ten sam pokój, w którym Weronika widziała człowieka z gnijącą twarzą. Obecnie zavalony był jakimiś pudłami i bezużytecznymi sprzętami domowymi. Wszystko to zgromadzono w nieładzie tuż przy drzwiach wejściowych, jak gdyby gospodyni bała się wejść dalej.

Tod zawahał się na progu. Obliznął spierzchnięte wargi i nerwowo rozejrzał się dookoła. Czuł niepokój. Nie lubił tego pokoju, podobnie jak nie lubił strychu.

Drewniane krokwie skrzypiały tam złowieszczo, pajęczyny wisiały prawie do podłogi, przypominając poszarpane szmaty.

Słońce wypełniało pokój. Ciepłe promienie wydawały się zachęcać: „Wejdz do środka Tod, chodź, nie bój się”. Przekroczył próg wzbijając kłęby kurzu. Balon z wymalowaną tarczą tkwił w jednym z górnych rogów pokoju, między starym kredensem a ścianą. Aby go osiągnąć trzeba było pokonać barykadę z paczek i wspiąć się na kredens. Zaczął się więc przedzierać przez zwały pudeł i sprzętów. Wreszcie zziąjany i zakurzony stanął przed kredensem. Od drzwi wejściowych dzieliła go masa różnych sprzętów i rupieci. Rozejrzał się nerwowo dookoła i przez moment wydawało mu się, że dostrzega jakąś postać w kącie. Wyteżył wzrok, na szczęście było to tylko złudzenie. Zawahał się. Właściwie równie dobrze mógł wziąć na plażę piłkę czy coś innego. Jakiś głos wewnętrzny podszeptował mu: „Jesteś prawie u celu, dlaczego teraz miałbyś zrezygnować”. Zerknął na zabawkę. Wielka piłka wydawała się spoglądać na niego wylupiającymi ślepiami i szczerzyć zęby: „Chodź, weź mnie... jeżeli potrafisz”.

Nigdy przedtem nie przyglądał się jej dokładnie. Traktował ją jak zwykłą gumową zabawkę masowej produkcji. Teraz w scenerii tego pokoju nabrała ona specyficznych, indywidualnych rysów. Zdawała się żyć i go obserwować.

Zadrzał i omal nie spadł z chwiejnej sterty sprzętów. Z przerażeniem zauważył, że drzwi się zatrzęsnęły. Przeciąg? A

może ktoś jest na korytarzu lub nawet tutaj? Rozejrzał się po raz kolejny. Z góry miał dobry widok na ogród za oknem. Gałęzie wydawały się znów wyciągać ku niemu. Nie zauważył, kiedy zapadł zmrok. Czerwona smuga na niebie wskazywała punkt, w którym zaszło słońce. Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma. To niemożliwe. Wydawało się, że spędził tu zaledwie kilka minut. Ciągłe czuł na sobie uważne spojrzenie malowanych oczu. Toczył ze sobą walkę: „To tylko gumowa zabawka. Ale ona żyje, oddycha. Bzdura, nie zrobi mi nic złego. Ciągłe mi się przygląda”. Zwyciężył strach. Zeskoczył z kredensu. Pod stopami wyczuł połamane karnisze. Nie udało mu się utrzymać równowagi i upadł twarzą do podłogi, wzbijając kłęby kurzu. Zakrztusił się. Ciemności były już dużo głębsze i z trudem dawało się rozpoznać zarys przedmiotów.

Drzwi znajdowały się w odległości zaledwie kilku kroków od niego. Przekonany był, że ktoś zamknął je na klucz i nie uda mu się stąd wydostać. Usłyszał za sobą zbliżający się szelest. Z przerażeniem zobaczył nadlatujący balon z wyłupiastymi oczami. Więc jednak TO żyło! Zerwał się i skoczył do drzwi. Napał na nie całym ciałem, wypadł z impetem na korytarz. Puls walił mu jak oszalały. Szum ciągle się zbliżał. Po omacku rzucił się w kierunku schodów. Boleśnie uderzył się o drewnianą balustradę. Droga ucieczki! Musisz zbiec po schodach! Potknął się i przewrócił. Uciekać! Nie może się zatrzymać! Nagle uświadomił sobie, że wbiega schodami na górę zamiast w dół.

Jajowaty potwór był coraz bliżej. Może wbiec do któregoś z pokoi i zatrzasnąć za sobą drzwi? Nie. Tam może być jeszcze coś gorszego. Pozostawała tylko droga w górę. Schody skrzyślały i pojękiwały pod jego ciężarem. Gdzieś trzasnęły drzwi. Bał się nawet obejrzeć za siebie. Tuż obok słyszał szept: „Zaczekaj, nie uciekaj, dogonię cię i tak!”

Wreszcie czwarte piętro. Przystanął ciężko dysząc. Zamknął oczy i zatkał uszy rękami. Nie chciał słyszeć tego głosu i widzieć malowanej twarzy potwora. Serce łomotało mu jak oszalałe. Czuł krew pulsującą w policzkach. Uciekać, uciekać! Ale dokąd?! Strych!

Pionowo ustawiona drabina prowadziła do kwadratowej kłapy w suficie. Zaczął się wspinać. Tutaj prześladowca już go nie doścignie. Zatrzaśnie za sobą klapę i zaczeka na rodziców. O Boże! Dlaczego ich jeszcze nie ma?

Jedną ręką trzymał się drabiny, drugą próbował otworzyć klapę. Nie ustępowała. Drżącymi palcami odszukał zasuwę. Wpełził do połowy na strych. Dobiegły go ICH głosy, jęki i płacz. Mężczyzna jęczał chrapliwie w niezrozumiałym języku. „Chodź do nas, Tod. Już za późno się cofnąć. ON chce mieć i ciebie!” Wiedział przecież, że ICH tu zastanie. To dusza któregoś z nich ożywiła space-hoppera, żeby go tu zwabić. Zszedł szczebel niżej i spojrzał w dół. U podnóża drabiny przykucnął rozdęty gumowy potwór. Droga powrotna była odcięta. „Nie dotrzymałeś obietnicy. Nie przekonałeś ojca, żeby odwiózł nas z powrotem do Szwajcarii”. Dopiero teraz dostrzegł kilkanaście

postaci w rogu strychu, głównie mężczyźni, kilka kobiet i dzieci. „Chodź do nas, sprawdź na własnej skórze, co to znaczy być w ciągłym zawieszeniu między życiem a śmiercią i wiecznie znosić mękę ciała i duszy”.

Przyłgął drżącym ciałem do drabiny. Śmierć osaczyła go z dołu i z góry. Nie było ratunku, chociaż... Spojrzał jeszcze niżej. Studnia klatki schodowej, otoczona spiralą drewnianej poręczy, wiodła aż do parteru. To było inne wyjście. Nie było czasu na przemyślenie tego kroku. Dłonie wypuściły szczebel. Nogami odepchnął się od drabiny. Długa chwila lotu jak nurkowanie w basenie. Wrywkowe obrazy z życia przelatywały mu przed oczami z szybkością błyskawicy. Spadające ciało objęło się o balustradę. Ułamki sekund ciągnęły się w nieskończoność. Zduszony krzyk wydarł mu się z piersi. Oszukał ich wszystkich, wymknął im się na zawsze. Głuche uderzenie o posadzkę. Miejsce bólu pomału zaczęły zastępować ciemność i cisza.

Porucznik Kiernan dodał gazu zaraz po usłyszeniu rozkazu przez radio. Uczynił to bynajmniej nie dlatego, że sprawa była pilna. Chciał po prostu urozmaicić sobie monotony patrol. Praktycznie nie miał nic do roboty w swoim rewirze Long Island. W sezonie zdarzały się alarmy o krążących w pobliżu plaży rekinach. Zawsze okazywały się fałszywe. Jakaś idiotyczna firma naprodukowała plastikowych, pływających zabawek w kształcie płetwy rekina. Unosiły się one na wodzie gna-  
ne podmuchami wiatru i przypominały do złudzenia płetwy



rekinów. Mieszczuchy, moczące się w wodzie, wpadały w panikę, wyskakiwały z wrzaskiem na brzeg i kłębiły się tam jak przerażone owce w stadzie. Poszukiwacze sensacji ustawiali aparaty fotograficzne w nadziei zrobienia zdjęcia, które trafi na pierwsze strony gazet. Kolejny głupi żartowniś śmiał się w kulak w swoim grajdole.

Tym razem nie chodziło o rekina ani plastikowego, ani żywego. Zabił się jakiś dzieciak w tym niedawno postawionym domu. Pomyślał, że ten Pennant to musi być maniak. Jak inaczej wyjaśnić fakt, że ktoś kupuje starą, drewnianą chałupę i wiezie ją przez ocean?

Była już jedenasta, kiedy Kiernan przyjechał do Domu Kwiatów. Przez chwilę nie wyłączył silnika, pozwalając mu narobić trochę hałasu. Chciał zasygnalizować gospodarzom swoje przybycie. Pozostała mu niechęć do pukania lub dzwonienia z czasów, gdy był domokrążnym sprzedawcą w Brooklynie.

Przed domem stały jeszcze dwa samochody: Chevrolet Pennanta i pontiac doktora Savage. Dobrze, że lekarz był na miejscu. Pozostało mu tylko rutynowe spisanie raportu. Nie będzie musiał oglądać żadnych widoków. Najbardziej nie znosił wezwań do wypadków samochodowych. Pół biedy, kiedy wszystkie ofiary były już martwe. Najgorsze było udzielanie pierwszej pomocy zmasakrowanym ludziom uwięzionym w zmiażdżonych szczątkach samochodów. Przypomniawszy sobie pokrzwionego mężczyznę, kłęzącego przy wraku samochodu. Trzymał on oderwaną głowę żony w ramionach. Kobieta

wyleciała przez przednią szybę przy gwałtownym zderzeniu i kawałki jej ciała rozprysnęły się w promieniu kilku metrów. Splunął z obrzydzenia. Wpadł mu kiedyś w ręce beznadziejny horror. Rzecz była o facecie, który zjawiał się w miejscach wypadków i zbierał do plastikowego worka poodrywane ludzkie członki, aby je później zamarynować w piwnicy. Było to żałośnie śmieszne. Facet, który to napisał, pewnie nigdy nie widział prawdziwego wypadku. Narobiłby w gacie ze strachu i wstrętu.

Wyszedł z samochodu, spoglądając w oświetlone okna parteru. Martwi ludzie nie byli groźni. W drzwiach stanął wysoki, siwawy doktor Savage. Zlustrował go uważnie spoza okularów.

- Dobry wieczór, poruczniku - wpuścił go do środka. - Nie ruszałem zwłok. Chłopak spadł z czwartego piętra. Wypadek. Dzieciak był sam w domu.

Kiernan już stąd widział ciało: rozrzucone nogi, powykręcane ręce, nienaturalnie odwrócona głowa z martwymi oczami utkwionymi w sufit. Spojrzał w górę klatki schodowej. O Boże! Jak to się mogło stać, że dzieciak spadł z takiej wysokości?

- Rozległe obrażenia - zawyrokował doktor.

Porucznik skinał głową. Raport policyjny będzie krótki.

- Muszę jeszcze porozmawiać z rodzicami - nie było to przyjemne zadanie, ale należało do rutynowych czynności.

- Matka jest w sypialni. Musiałem jej dać środki uspokajające. Obawiam się, że nie jest w najlepszym stanie do rozmów.

- Mimo wszystko muszę z nią porozmawiać.
- Pierwsze piętro. Drugie drzwi na lewo.

Porucznik wchodząc po schodach rozglądał się z zainteresowaniem. W powietrzu unosił się wstrętny zapach, jakby ktoś nie spuścił wody w ubikacji i to dobrych kilka dni temu. Pewnie dzieciak spadając narobił w spodnie.

Pchnął drzwi i wszedł do sypialni. Znał z widzenia tę trupioblądą kobietę, leżącą na łóżku i ponurego mężczyznę, siedzącego w fotelu. Uchylił czapki w zdawkowym powitaniu.

- Przykro mi bardzo... - wygłosił rutynowe zdanie, choć śmierć obcego człowieka była mu absolutnie obojętna.

- To się musiało zdarzyć! - wybuchnęła nagle Weronika - Al nie chciał mnie słuchać, gdy go ostrzegałam i nadal mi nie wierzy. Twierdzi, że to był wypadek! - histeria brzmiała w jej głosie: - To ONI! To ONI zepchnęli Toda!

- Jacy ONI, proszę pani?

- Duchy uwięzione w tym domu.

- Taak - tej kobiecie rzeczywiście odbiło. - Z duchami uporamy się później. Teraz chciałbym znać kilka faktów.

- Ciekawe, jak chce się pan z nimi uporać?! - wrzasnęła Weronika. - Aresztuje JE pan i zamknie na klucz?! - Jest pan równie głupi jak on! - po nagłym wybuchu głos jej się załamał. - Al widział jednego z NICH i ciągle nie wierzy. Wszyscy umrzemy.

- To prawda. Nikt nie jest nieśmiertelny. Prędzej czy

później każdego czeka koniec. Gdzie państwo byliście, kiedy to się zdarzyło? - policjant zwrócił się teraz do Ala.

- W mieście. Na zakupach. Coś się zepsuło w samochodzie i zeszło nam trochę czasu.

- Mógłby pan powiedzieć dokładniej, co się zepsuło?

- Nie wiem. Mechanik przejrzał wóz i niczego nie znalazł. Samochód ruszył tak samo nagle, jak zgasł.

- Często zostawiali państwo syna samego w domu?

- Nigdy, gdyby nie ten samochód wrócilibyśmy przed szkołą!

- Czy chłopiec często wspinał się na te schody? Mnóstwo dzieci miewa wypadki, zjeżdżając po poręczach.

- Nie. Tod był spokojnym i trochę zastraszonego dzieckiem. Wolał czytać książki.

- Zastraszony! - przerwał im krzyk Weroniki. - To był inteligentny, wrażliwy chłopak. Osiągnąłby w życiu wszystko, gdyby...

- Tak, tak, zapewne - Kiernan zapisywał coś w notatniku. Wszystko było proste i oczywiste. Raport zajmie najwyżej pół strony. Pozostało jeszcze tylko obejrzeć dokładnie miejsce wypadku.

- Gdybyście państwo mnie potrzebowali, to proszę zadzwonić - porucznik wygłosił kolejną rutynową formułę już przy drzwiach. Oczywiście miał nadzieję, że nikt mu już nie będzie zawracał głowy tą sprawą.

„Dobrze, że Sally nigdy nie chciała mieć dzieci. Coś takiego

zawsze mogłoby się zdarzyć” - myślał sobie porucznik, wdrapując się po skrzypiących, drewnianych schodach. Dysząc ciężko, dobrnął wreszcie do czwartego piętra. Przydałoby się zrzucić parę zbędnych kilogramów. Nie mógł zrozumieć, dlaczego komukolwiek zależało na mieszkaniu w takim domu? Jego uwagę zwrócił kawałek jaskrawopomarańczowego materiału w rogu półpiętra. Podniósł go i obejrzał. Niemile wrażenie robiły wymalowane na nim wylupiate ślepie. Ach, to jedna z tych nowoczesnych zabawek. Zdziwiony odrzucił sflaczały kawałek gumy. Wydawało mu się, że trudno byłoby rozerwać taką solidną powłokę.

Obrzydliwy odór towarzyszył mu przy schodzeniu ze schodów. „O Boże! Powinni coś zrobić z tą kanalizacją. Przecież nie sposób żyć w takim smrodzie” - pomyślał.

## *Rozdział VII*

### **POGRZEB**

Weronice wydało się, że już raz była na tym pogrzebie. Ceremonia powinna była odbyć się i zakończyć już dawno. Ta sama trumna, jakby wyciągnięta z powrotem z grobu, grabarze czekający na rozpoczęcie uroczystości. Ojciec O'Rourke mruczący modlitwy, z książką do nabożeństwa w grubych różowych palcach. Co on tu robi? Powinien być w Nowym Jorku. Może Al sprowadził go specjalnie? A może oni wszyscy są w Nowym Jorku? Kiedyś chciała, aby Tod był pochowany tutaj, ale nie mogła sobie przypomnieć, czy Al na to przystał, czy nie. Ostatnie słowo jak zwykle należało do niego.

Gromada ludzi stała wokół głębokiego dołu. Grabarze ospale założyli liny na trumnę. „O Boże, dajcie wreszcie spokój memu dziecku. Niech spocznie w pokoju”.

Morze nieznajomych twarzy wokół. Rozpoznała tylko ojca O'Rourke, nie była jednak pewna czy to on. Kręciło jej się w głowie od zapachu świeżo rozkopanej ziemi. Zaczęła osuwać

się zemdlona, ale podtrzymały ją czyjeś silne ręce. „Al? Zresztą co za różnica. Wrzucicie i mnie do tego grobu. Niech zakończy się raz na zawsze ten koszmar”.

Zaczęto pomału opuszczać trumnę. Przyglądała się temu z niedowierzaniem. Niemożliwe, żeby Tod był wewnątrz. Chłopiec pewno czyta w domu albo bawi się... space-hopperem. Policja doszła do wniosku, że chłopiec usiłował złapać wymykający się balon, przechylił się przez balustradę i ... Nie, on nie spadł. To ONI go zepchnęli!

Obrzydliwa sztuczna trawa. Po co zakrywać świeżą, brunatną ziemię, skoro wszyscy i tak wiedzą, jak w rzeczywistości wygląda. Świadome oszukiwanie się. Skąd ten dorodny kremowy kwiat obok grobu, tuż obok stóp duchownego? Pierwiosnek. Dokładnie taki, jaki widział Tod ostatniej wiosny w ogrodzie na tle krwawej plamy.

Trumna wreszcie sięgnęła dna. Ludzie zbliżyli się tłumnie rzucając grudki ziemi. Ktoś składał kondolencje. Gdzie jest Al? Skąd wzięło się tutaj tyle obcych twarzy?

Ojciec O'Rourke podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy. To nie jest ojciec O'Rourke. Białawe kości policzkowe, błyszczące spod gnijącego mięsa policzków. Bruzdy na czole, cała twarz wykrzywiona w potwornym grymasie. Upuszczona książka do nabożeństwa na świeżej ziemi. To nie pogrzeb. To ekshumacja starej zbiorowej mogiły.

Ktoś próbuje wydostać się z dołu. Dziecinne ręce chwytają się kurczowo osypującego się brzegu. Tod! Synku! Ty żyjesz!

- Pomóżcie mi! - czyjś mocny uchwyt nie pozwalał jej biec na pomoc. Zaczęła wyrwać się gorączkowo. Dłonie jej natrafiły na rozlazłą masę gnijącego mięsa. Poczula silne uderzenie i upadła na ziemię. Chłopcu udało się prawie wydobyć, ale to nie mógł być jej syn. Zmasakrowana twarzą nosiła już ślady rozkładu, podarte ubranie przesiąknięte było krwią. Jęk, błaganie.

Człowiek z gnijącą twarzą ubrany w habit, trzyma w ręku bat. Podnosi ramię. Kolejna czerwona bruzda znaczy twarz dziecka. Lawina ciosów. Wreszcie bezwładne ciało osuwa się z powrotem do grobu. Nikt z tłumu nie próbował nawet protestować. Wszyscy stali skamieniali ze strachu.

Weronika czuła wściekłość zamiast strachu. Wyswobodziła się wreszcie z uścisku i rzuciła z zaciśniętymi pięściami w kierunku oprawcy. Nie dbała o to, co może się z nią stać. Dalsza vegetacja nie miała sensu.

Uderzyła mężczyznę w twarz i dłoń oblepiła jej cuchnąca maź. Złapał ją za nadgarstki i z niebywałą siłą powalił na ziemię. Poczula na sobie jego przytłaczający ciężar. Zabij mnie jeśli chcesz. Tak jak zabiłeś Toda!

- Weronika! - znajomy głos dobiegł ją z zaświatów.

Przez dłuższą chwilę nie mogła dociec skąd on dochodzi.

- Al? - rozpoznała wreszcie pochyloną nad sobą twarz męża. Zniknął gdzieś cmentarz, tłum ludzi i Reichenbach przebrany za księdza. Leżała we własnej sypialni w pościeli



wilgotnej od potu. Twarzą męża była zatroskana i smutna.

- Al? - próbowała zebrać myśli. - Pogrzeb... dlaczego?

- Pogrzeb odbył się już tydzień temu - Pennant mówił ci-cho i uspokajająco. Na policzku krwawiło mu zadrapanie od jej paznokci.

- Jesteśmy teraz w domu. To tylko twój kolejny, kosz-marny sen.

- Nie, to wszystko prawda - wymamrotała. - Ci wszyscy ludzie tam byli .... i Reichenbach.

- Oni nie istnieją. To tylko twoja wyobraźnia - Pennant zaczął tracić cierpliwość.

- Nie! - usiadła gwałtownie na łóżku. W lustrze na ścianie zobaczyła odbicie własnej postarzałej twarzy. Zlepione potem włosy, podkrążone oczy i zapadnięte policzki w niczym nie przypominały dawnej pięknej Weroniki.

- Al, błagam, zrozum, że to ONI zabili Toda i zabiją nas, jeżeli nie opuścimy jak najszybciej tego domu. Musisz odwieźć ten dom na miejsce. ONI są zdolni do wszystkiego, gdy ktoś ingeruje w ICH istnienie. Zjednoczyli się przeciwko nam, mają teraz olbrzymią MOC! Sprzedaj ten dom!

- Zadzwoń rano po doktora Savage - Al wziął brązową buteleczkę z nocnego stolika. Podał jej na dłoni trzy białe ta-bletki. - Połknij to, szybciej uśniesz.

Spoglądała szeroko rozwartymi oczami na butelkę. Jak mogła nie wpaść na to wcześniej? Sposób na wyzwolenie się z tego koszmaru i bycie z Todem.

Połknęła spieszenie podane jej tabletki i położyła się.

- Zgaś światło, Al.

- Nie chcesz, żeby paliło się dopóki nie zaśniesz? - przyjrzał się jej uważnie. Uspokoila się zbyt szybko. Lek nie mógł jeszcze zacząć działać. Nie ufał jej, ale nie uznał za konieczne postąpić inaczej.

- W porządku - pokój pogrążył się w ciemnościach. - Obudź mnie, gdybyś czegoś potrzebowała.

Zapadła cisza. Weronika nasłuchiwała miarowego pochrapywania męża, walcząc z ogarniającą ją sennością. Nie wolno jej było teraz zasnąć. Nie wolno. Jeszcze odrobina wysiłku i będzie po wszystkim. To jedyna szansa. Namacała obły kształt na stoliku. Przytuliła zimną buteleczkę do swego rozpalonego policzka. Doktor Savage przepisał jej te tabletki dzień po pogrzebie Toda, kiedy nerwy całkiem odmówiły jej posłuszeństwa. Czerwony napis na etykietce: „Stosować ściśle według zaleceń lekarza. Przedawkowanie może zakończyć się śmiercią”. Oby! Oby zakończyło się śmiercią jak najszybciej!

Wieczko było zbyt mocno dokręcone. Al zrobił wszystko z przesadną dokładnością. Spróbowała odkręcić jeszcze raz. Oblał ją zimny pot z wysiłku. Wreszcie zamknięcie ustąpiło. Nerwowo zaczęła wysypywać zawartość butelki do ust. Bała się, że nie zdąży. Czula obecność Reichenbacha gdzieś w pobliżu, choć go nie widziała. Odór zgnilizny, początkowo ledwie wyczuwalny, teraz wzmagął się i dławił.

- Przyszedłeś za późno! - roześmiała się histerycznie. - Zbyt późno. Wymknęłam ci się. Umieram. Nie masz już władzy

nade mną. Połączymy się z Todem niedługo ... - ostatnie tabletki potoczyły się po pościeli.

- Tod nie umarł. Stał się jednym z nas. Będzie teraz cierpiał wiecznie.

- Nie, to niemożliwe. Co zrobiliście memu synowi?!

- Tod nie kocha ani ciebie, ani Ala. Nienawidzi was obojga.

Ogarnęła ją bezradność. Więc wszystko na darmo? Nigdy nie złączy się z Todem? Jej dziecko będzie torturowane ponad wszelką ludzką miarę! Zaczęła się chaotycznie modlić. Butelka wysunęła się jej z rąk, rozsypując resztę swej zawartości.

- Weronika! Ty, idiotko, jak mogłaś to zrobić?! - to był głos Ala, ale dłonie, uderzające ją po twarzy, należały do Reichenbacha.

- Uwolnij mego syna. Pozwól mu umrzeć w spokoju. Weź w zamian moją duszę! - ciemność wirowała jej przed oczami. Czyjś ciężar wgniatał jej ciało w materac.

- Zamknij się! - oślepiła ją nagła jasność. Na moment odzyskała wzrok. Znajomy dźwięk telefonu, sygnał karetki. Ciężko dyszący i blady Al pochylony nad nią. Próbowwała mu coś wytłumaczyć, lecz głos nie poddawał się jej woli. Dobięły ją fragmenty spiesznej, nerwowej rozmowy. To Al wszystko zaplanował z góry. Udawał, że śpi, kiedy ona brała tabletki. Musiał być w zмовie z Reichenbachem. Umowa przecież była prosta: „Pozbądź się żony i syna, wtedy tylko my dwaj będziemy

władać tym domem”. Nie miała pretensji, że przyczynił się do jej śmierci, ale czym zawinił Tod?

Resztki świadomości mówiły jej, że niesiona na noszach dotarła do małego, jasno oświetlonego pokoju. Wokół słyszała podniecone głosy j krzątanie. To wszystko było jej już obojętne. Chciała tylko być z Todem, nawet znosić męki i tortury, byle z nim.

Al Pennant siedział samotnie w pokoju. Doktor Savage zostawił mu jakieś tabletki i receptę na nowe. Nie zamierzał ani brać tych, ani kupować nowych, i tak by mu nie pomogły. Świetny facet z tego Savage'a. Nie reprezentował sobą nic oprócz doskonałego opanowania swojej profesji.

- Musimy zabrać pańską żonę na jakiś czas do szpitala, panie Pennant - nie miał nawet odwagi powiedzieć mu, że to ostatnia podróż Weroniki.

Pogrążony we własnych myślach nie zauważył, kiedy minęła noc. Pokój od dawna wypełniało jasne światło poranka. Był wyczerpany i pozbawiony wszelkich sił. Zatracił zdolność logicznego rozumowania. Obwinił za wszystko Weronikę i nienawidził jej. Miał ochotę bić ją i torturować. Przewidywał, że będzie chciała się otruć. Leżał obok niej nasłuchując, jak połyka gorączkowo tabletki. Nawet jeżeli uda się im ocalić jej życie, to nikt i nic nie przywróci jej zdrowych zmysłów. Zataczając się podszedł do telefonu. Podniósł słuchawkę i wykręcił kilka cyfr. Zamówił połączenie z Wielką Brytanią.

- Nazywa się ... Parlane, Bruce Parlane. Tak.

Rozmowa prywatna. Opadł na najbliższy fotel. Szczerze nienawidził tego faceta. Często rywalizował z nim w różnych transakcjach i żaden z nich nie grał fair. Cholera! Będzie miał swój upragniony Dom Kwiatów razem z tymi piekielnymi pierwiosnkami. Osobiście tego dopilnuje. Od tej pory krwawe ślady i ten obrzydliwy smród są wyłącznie problemem Parlana. Ostro zadzwęczał telefon.

- Rozmowa ze Stratford - oznajmił mu kobiecy głos. - Pan Parlana przy telefonie.

*CZEŚĆ DRUGA*

*RUSTY*

## *Rozdział VIII*

### OGRÓD CISZY

- Myślisz, że to mądre? - oczy Anthei Parlane zwężyły się. Spojrzała na wyładowywane z samochodu meble, które z trudem wnoszono po długich, drewnianych schodach prowadzących do drzwi frontowych.

- Od dawna miałas zastrzeżenia - Bruce spojrzął na nią. Słońce padało ukośnie przez gałęzie sosen, rosnących na trawniku. Długo jej ostatnio nie widział. Dekolt bluzki podkreślał doskonale jej małe piersi, a spodnie opinały zgrabne biodra. Walijska kombinacja niebieskich oczu i ciemnych włosów dopełniała obrazu. Dużo stracił, będąc ostatnie dwanaście miesięcy w Stanach, gdzie zajmował się kupnem i przewozem La Maison des Fleurs.

- Właśnie o to chodzi - zmarszczyła czoło. - Nigdy nie myślałam o całej sprawie dopóki ... nie usłyszałam o śmierci Weroniki.

- To był cios - odwrócił się, żeby nie widziała wyrazu jego oczu.

- Ostatnie dziesięć miesięcy wytrwała w Pera Hill, ale stopniowo jej stan się pogarszał. Po śmierci Toda nigdy nie przyszła do siebie.

Anthea rozumiała. Czułaby to samo, gdyby cokolwiek stało się z Rustym. Nie chciałaby żyć. Tragiczna legenda Domu Kwiatów, którą obrastał od lat osiemdziesiątych nie pozostawiła jednak żadnych wątpliwości co do śmierci Toda i Weroniki.

- Lepiej już pójdziemy - powiedział Bruce. Zapłaciłem Alowi i dajmy już temu spokój. Jeśli nam się nie spodoba, zawsze możemy to sprzedać.

Zamilkł. Obserwując robotników, wnoszących ostatnie meble, myślał o tej nocy sprzed dwóch lat tuż przed Bożym Narodzeniem. Chodziło oczywiście o Toda. Ta sprawa do dziś nie dawała mu spokoju. Pamiętał to, nie wiadomo czemu, niedające się zapalić światło. Ale było jeszcze coś, co go dręczyło. Ta zabawka, którą dał Todowi na gwiazdkę. Może gdyby tego nie zrobił, wszystko byłoby inaczej. Tod mógł przecież zginąć, zjeżdżając po poręczy schodów, mógł wpaść pod samochód, utonąć w morzu. Bruce przerwał te idiotyczne rozważania i z trudem wrócił do rzeczywistości.

Przez trawnik przetoczyła się piłka, za którą przybiegł rudowłosy chłopiec w niebieskim dresie. Złapał piłkę i zobaczył obserwujących go rodziców. Uśmiechnął się. Na twarzy miał masę piegów zupełnie jak Anthea i takie same niebieskie oczy. Miał dwanaście lat i był uderzająco podobny do matki.

- Hej, tato - Rusty podszedł do nich, bawiąc się ciągle piłką - Czy możemy już wejść?



- Za chwilę - Parlane uśmiechnął się i zdał sobie sprawę z tego, że porównuje swojego syna z Todem Pennantem. To go przygnębiło. Musiał się otrząsnąć z tej depresji. Oczywiście pojął, że to zwykła reakcja po tym, co się stało, ale było mu nieprzyjemnie. Dom jeszcze pogłębił to uczucie. Może powinien go sprzedać i pozbyć się całego kłopotu.

Willa La Maison des Fleurs wyglądała jak dawniej. Dwie ostatnie przeprowadzki nic w niej nie zmieniły. Było tak dlatego, że zajmujące się nią firmy znały się na swej pracy. Ich eksperci potrafili ukryć wady i zachować dobry wygląd domu.

Rusty był zajęty swoimi odkryciami. Tyle pokoi, ekscytujących zakamarków i przejść, jego własny pokój... Przerwał i wpatrywał się przez okno w rozciągającą się poniżej soczystą zielenią Warwickshire. Opanował go smutek, ale nie znał jego przyczyn.

Wrócił na schody. Jego matka stała u ich podnóża i patrzyła w górę. Na jej twarzy rysowało się zmartwienie, które próbowała pokryć uśmiechem. Nie zdążyła go jednak oszukać.

- Co się dzieje, mamó? - zapytał, - Nie podoba ci się ten dom, prawda? - zszedł kilka stopni.

- Nie wiem, Richard - nie lubiła pytań w tym stylu, ale sama też często tak je formułowała. - Myślę, że to... coś innego. Coś do czego się jeszcze nie przyzwyczailiśmy.

- W którym pokoju spał Tod, mamó?

- Naprawdę nie wiem. Nigdy o tym nie myślałam.

- On spał w moim pokoju.

- Skąd wiesz, Richard?  
- Byłem tam przed chwilą i czułem, że to jest jego pokój.  
- Wyobrażasz sobie nie wiadomo co.  
- Nie. Ja to wiem. Lubilem Toda. Pamiętasz jak Pennantowie przyjechali do nas i wszyscy popłynęliśmy łódką w dół rzeki.

- Tak - przytaknęła wpatrując się ciągle w deski podłogi.

To były właśnie te schody, z których Tod spadł i się zabił. Było to jedyne miejsce, gdzie mógł się zatrzymać. Rozglądała się, ale na szczęście nie było żadnych śladów, żadnych plam krwi. Prawdopodobnie je posprząтали. To była straszna myśl, lecz wiedziała, że nie pozbędzie się jej, dopóki będą tu mieszkali.

- Wydaje się, że wszystko jest w porządku – Bruce wyszedł z jednego z pokoi i spojrzał w dół przez balustradę na żonę i syna. - Wszyscy gotowi do zamieszkania? - Oboje przytaknęli. Na zewnątrz zachodziło już słońce i od Cotswolds powoli zakradał się zmierzch. Nagle wszystko pogrążyło się w ponurym nastroju, nieprzerazającym, ale monotonnie nudnym i przygnębiającym. Dom było czuć wilgocią i stęchlizną.

Lato przeszło w jesień. Chłodne wschodnie wiatry przyniosły zimę miesiąc wcześniej. Na początku listopada spadł śnieg, pokrywając białą środkową Anglię. Lęk Anthei ustąpił. Dotychczas nie zdarzyło się nic nieoczekiwanego. Dom robił wrażenie, jeśli nie przyjacielskiego, to przynajmniej mniej wrogiego. Anthea przestała się bać ciemnych pokoi i spała dużo lepiej.

Śnieg stopniał i spadł znowu dwa tygodnie później. Tym razem było go więcej. Wąskie uliczki między Newbold i Arm-scote stały się nieprzejezdne z powodu zasp. W poniedziałek rano było już tak źle, że Rusty nie poszedł do szkoły. Musiał się uporać z zadanymi przez ojca ćwiczeniami i gdy tylko je skończył, wyszedł na dwór.

Był ostry mróz. Trochę żałował, że nie mógł pójść do szkoły. Było naprawdę dobrze, gdy mieszkali na przedmieściach Stratford. Tam byli jego koledzy. Razem włóczyli się po ulicach albo bawili się nad rzeką za teatrem. Teraz był sam. W okolicy było kilka farm, jednakże nie mieszkał na nich nikt w jego wieku. Pocieszał się, że na gwiazdkę dostanie rower i będzie mógł jeździć do miasta, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Niestety do świąt było jeszcze daleko. Założył buty i wyszedł na spacer. Stał na skraju ogrodu. Wąski i długi pas ziemi opadał łagodnie aż do strumyka płynącego w dole.

Bruce Parlane kupił ten skrawek ziemi od sąsiadujących z nim farmerów i po wielu kłopotach z władzami zdołał uzyskać zgodę na postawienie tutaj La Maison des Fleurs. Mimo wcześniejszych oporów wszyscy byli teraz zadowoleni. Willa doskonale komponowała z otoczeniem i dodawała mu uroku.

Rusty spojrzął na dom. Świeży śnieg pokrywał roślinne ozdoby willi. Najwspanialsze były pierwiosniki. Do dziś kwiaty te nie zwracały jego uwagi. Teraz zrobiły na nim ogromne

wrażenie. Część ogrodu, leżąca niżej, była wciąż zaniedbana. Uskładano tam górę zeszlórocznych, suchych krzewów, które pokryła teraz czapa śniegu. Rusty wdrapał się na nią, zapadając się po kolana. Oddychał głęboko wyjątkowo gęstym powietrzem i długo patrzył na wijący się wśród białych pól potok. Wokół było pięknie i bardzo cicho. Nagle tuż obok siatki ogradzającej posiadłość Rusty zauważył stojącego chłopca, który patrzył wprost na niego.

- Cześć - zawołał, próbując zeskoczyć ze wzgórzka, ale spadł się tylko po uda w zaspę. Nieznajomy nie odpowiedział i dalej uporczywie wpatrywał się w Rusty'ego. Wreszcie udało mu się wydostać i stanąć na ziemi. Wtem, nie wiedzieć czemu, przeszedł go dreszcz.

- Cześć - powtórzył Rusty i zbliżył się do nieznajomego. Był on ubrany w drelichowe spodnie i ciepły sweter. Jasne włosy i śmiertelnie blada twarz zlewały się z bielą śniegu. Wyglądał bardzo kiepsko. Chyba jest chory, pomyślał Rusty, gdy nieznajomy rozglądał się dokoła. Robił wrażenie, jakby chciał stąd uciec, ale nie wiedział jak lub nie miał siły przedostać się przez ogrodzenie.

Chłopiec wciąż milczał i Rusty'emu zaczęło się robić nie-swojo.

- Czy chciałbyś, pójść ze mną wzdłuż potoku - spytał i poczuł, że zaschło mu w gardle. – Niedawno się tu przeprowadzi-  
liśmy i nie znam okolicy.

Nieznajomy nie odpowiedział. Odwrócił się i ruszył w róg

ogrodzenia, gdzie rosły krzaki rododendronu. Do diabła! Mógł przynajmniej z grzeczności coś odpowiedzieć! Rusty był poirytowany i choć obserwował odchodzącego, nie spostrzegł jak na jego włosach zaczęły powstawać cienkie sople.

Niebo zaciągnęło się chmurami i zaczął prosić śnieg. Rusty odruchowo spojrział w górę i gdy ponownie rozejrzał się dookoła, nieznajomego już nie było. „Pewnie ukrył się w krzakach” - pomyślał. Może traktował to jako zabawę, ale dla Rusty'ego to już było zbyt wiele. Nie dość, że wszedł na teren prywatny, to jeszcze zachowywał się jak dziwak.

Rusty wściekł się. Mógł w każdej chwili pójść po kogoś, kto zrobiłby z intruzem porządek, wołał jednakże to załatwić sam. Podszedł do gęstych, prawie dwumetrowych krzewów. Był to raczej mały, mroczny i tajemniczy las. To doskonale miejsce do zabawy latem - budziło w nim przerażenie.

Nie mógł sobie w żaden sposób wytłumaczyć paralizującego go strachu. Dziwne zachowanie obcego nie dawało przecież jeszcze podstaw do obaw. Ale gdzież on się, u diabła, podział? W miejscu gdzie zniknął obciążone śniegiem gałęzie tworzyły przeszkodę nie do przebycia i ku zdumieniu Rusty'ego były nietknięte. Rozejrzał się w koło, lecz nie znalazł żadnych śladów.

- No, wylaź! - krzyknął zdumiony drzeniem własnego głosu.

Zaległa cisza. Rusty nerwowo oblizał wargi. Chciał zajrzeć do środka, ale zrezygnował. Skoro nie było śladów, to i nie

mogło tam być nieznanego. To było oczywiste. Gdzie zatem się skrył? Nie było tu innego miejsca, w którym zdołałby się schować. „Jednak gdzieś muszą być ślady!” - pomyślał nagle Rusty. Trzeba je tylko znaleźć i iść za nimi. Zaczął się dokładnie rozglądać wokół siebie.

Widział tylko przecinające się z sobą ślady własnych butów. To było śmieszne. Nagle wśród gałęzi mignęły mu włosy nieznanego i znów poczuł, że jest obserwowany. Ale przecież nie było tu innych śladów poza tymi, które sam pozostawił!

Obcy był w krzakach a Rusty tłumaczył sobie, że to niemożliwe. Rozejrzał się jeszcze raz dookoła, ale ponownie nic nie znalazł. Śnieg był nienaruszony.

Zbyt przerażony postanowił nie pozostawać dłużej w tym miejscu. Odwrócił się, by iść do domu, gdy nagle uderzyła go w policzek gałązka jodły. Rusty krzyknął. Pewien był, że jej nie dotknął.

Przeraził się, chciał biec, ale potknął się i zapadł w śnieg, który sięgał mu do ucha. Coś złapało jego stopę i skrzęcając ją boleśnie w kostce, zaczęło go wciągać w dół.

Wrzasnął przeraźliwie, czując, jak stalowa dłoń zaciska się coraz mocniej, nie dając szans na ucieczkę.

Wyrwał się ostatkiem sił. W kostce czuł ostry, rwący ból. Nie oglądając się za siebie, zaczął uciekać. Mocno utykał, serce biło mu jak szalone, a w uszach czuł jednostajny huk. W każdej chwili to coś mogło go złapać znowu i zaciągnąć w krzaki. Mimo bólu musiał biec dalej. Zaczepił rękawem o gałęzie

krzaków i poczuł jak ostre kolce wbijają mu się w rękę. Zignorował jednak ból i wyszarpnął się z pułapki. Zdołał dobiec do tej części ogrodu, z której widać było dom. Musiał do niego dotrzeć.

Bez tchu dopadł do schodów. Zaczął się po nich wspinać, trzymając się kurczowo balustrady. Ból w kostce był nie do zniesienia. Ramię krwawiło obficie. Czuł, że płuca pękną mu zaraz z bólu.

- Rusty, co się stało? Skaleczyłeś się? - Anthea otworzyła drzwi i patrzyła na niego z przerażeniem. Nie widziała jeszcze syna w takim stanie.

- Nie wiem - wykrztusił, nie mogąc powstrzymać łez.

Ugięły się pod nim kolana i wpadł w objęcia matki.

- Ależ ty wyglądasz - objęła go mocno - chodźmy do kuchni, muszę cię dokładnie obejrzeć.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że jest ocalony. Położył się na starej kanapie i zamknął oczy. Zacisnął z bólu zęby, gdy zaczęła przemywać jego poranioną kolcami rękę, a ciasno zabandażowana kostka zaczęła boleć jeszcze bardziej.

- Będziesz żył - próbowała zbagatelizować wypadek, ale nie zmieniało to faktu, że jej syn był w ciężkim szoku. - A teraz mam nadzieję, że powiesz mi wszystko. Czy znowu chodziłeś po drzewach?

Spojrzał na nią i o mało się z nią nie zgodził. Teraz, w ciepłe kuchni, to wszystko wyglądało niewiarygodnie. Poczuł się bardzo głupio. Ale przecież to wszystko naprawdę się stało.

- W dole ogrodu spotkałem chłopca - zaczął, oblizując drżące usta. - Nie odpowiadał, gdy go wołałem i schował się w krzakach. Ale gdy zacząłem go szukać, zniknął i nie zostawił na śniegu żadnych śladów.

- Pewnie się ukrył.

- Ale wówczas powinny pozostać jego ślady.

- Może je zatarłeś swoimi lub zasypała je zadymka, która się wtedy zaczęła?

- Nie - to już było zbyt proste i niewiarygodne wytłumaczenie. Jeszcze parę lat temu pewnie by w nie uwierzył, ale teraz był już zbyt duży.

- Przestraszyłem się i uciekłem mamie, ale czułem jakby drzewa i krzaki próbowały mnie zatrzymać.

- To był tylko twój strach.

„Może zatem miała rację” - pomyślał. - Krzaki nie robią takich rzeczy, chyba że w jakichś bajkach.

- No, już dobrze. Napij się herbaty i zapomnij o tym - wstała i podeszła do kuchenki, na której gotowała się woda. - Musisz teraz odpocząć. Nie wychodź więcej. Najlepiej pobaw się u siebie w pokoju. - Na jej piegowatej twarzy malowało się zamyślenie, gdy napełniała czajniczek. - A, i jeszcze coś, Rusty, nie baw się więcej w dole ogrodu. Przynajmniej na razie.

- Dlaczego mamie? - patrzył na nią z napięciem - czy myślisz, że tam w dole było coś podejrzanego?

- Nie, oczywiście, że nie - odwróciła się, żeby nie widział wyrazu jej twarzy. - Wszystko w porządku, lecz to trochę niebezpieczne. W tych krzakach żyją króliki. Możesz się któregoś



przestraszyć i znowu zrobisz sobie krzywdę. To nie potrwa długo. Za kilka miesięcy przyjdzie wiosna i uporządkujemy cały ogród.

Rusty nie słuchał. Wpatrywał się uporczywie w ścianę. Przed oczami miał obraz nieznanego chłopca. Ta blada twarz, która mli coś przypominała, te rozwichrzone włosy i złe oczy. Jego ciało było zbyt wątłe ... tak, to mu wreszcie przypomniało. Ale nie wydawało się możliwe. On był podobny do Toda Pennanta!

- O Boże!

Anthea drgnęła i rozlała trochę herbaty na spodek.

- Co się stało?

- Ten chłopiec w ogrodzie był podobny do Toda.

- Nie bądź niepoważny, przecież jego już dawno nie ma.

- On nie żyje. Dlaczego tego nie powiesz, mamó? Po co to upiększać i zachowywać się jak gdyby nigdy nic? Przecież wiemy, co się z nim stało. Zupełnie zwariował na punkcie tego space-hoppera, którego dostał od taty.

- Rusty, nie można tak mówić!

- Dlaczego? Przecież to prawda.

Westchnęła i postawiła jego herbatę na stole.

- W każdym razie nie mogłeś widzieć Toda i nie myśl już o głupstwach. Jeżeli się zastanowić, to wszystko można jakoś wytłumaczyć.

Mimo wszystko Anthea była niespokojna. Ulżyło jej trochę, gdy Rusty utykając, poszedł się bawić do swego pokoju. To podobieństwo tajemniczego chłopca do Toda Pennanta nie

było chyba niczym poważnym. Jego śmierć zrobiła na Rustym zbyt duże wrażenie i nie należało mu wtedy pokazywać jego pokoju. Nie powinni chyba w ogóle kupować tego domu. Ale był to nie tylko kaprys Bruce'a, ona też bardzo tego chciała. Ta stara szwajcarska rezydencja stanowiła zbyt dużą pokusę, żeby jej nie ulec.

Spróbowała wziąć się w garść. „Przecież duchy nie istnieją” - mówiła sobie. Nie ma ich w świecie normalnych ludzi. Po prostu za bardzo się przestraszyła i stąd ten nastrój.

Rusty był inny niż oni oboje. Był idealnie przeciętny i nie tak zdolny jak Tod Pennant. Tod był bardzo cichym chłopcem i zamiast bawić się z rówieśnikami, czytał mnóstwo książek. Takie dzieci próbują dociec zbyt wielu spraw, których nie rozumieją. To osłabia ich nerwy i stąd są z nimi czasem kłopoty. Ale to nie mogło się stać z Rustym. Chyba nie należało go posyłać na górę, żeby się bawił. Powinien wrócić w to miejsce w ogrodzie gdzie był, żeby zobaczyć, iż nic tam nie ma. To by go uspokoiło. Ale nie może iść sam.

- Rusty - zawołała, otwierając drzwi kuchni.
- Tak, mamo - odpowiedział, wydawało się że z bardzo daleka. To jej uświadomiło, jak duży był ich dom.
- Może wybralibyśmy się razem na spacerek?
- Nie mogę. Za bardzo mnie jeszcze boli noga.

Do diabła, powinna o tym pomyśleć, przecież słyszała jak utykając zbliżał się do schodów.

- Myślałam, że pójdziemy razem w dół ogrodu i przekonamy się, że nie ma się czego bać.

- Mamo, nie chcę tam więcej chodzić!

O Boże, tylko pogorszyła sprawę. Powinna go zostawić samego i pozwolić, żeby o wszystkim zapomniał. Zastanawiała się jak to wszystko załagodzić.

- Kostka boli mnie coraz bardziej, mamo.

- To może pójdę sama, jeśli cię to uspokoi.

- Jak chcesz, ale Tod... ten chłopiec już poszedł. Teraz nikogo tam nie znajdziesz.

Zgodziła się z nim. Rzeczywiście nie było tam teraz czego szukać. Jej obawy trochę zmaląły.

- Nie martw się, Rusty. Wróć do swojej zabawy.

Wróciła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

W żołądku poczuła uporeczywy ból i pomyślała, że to chyba zaczął się okres. Powinien być w przyszłym tygodniu, ale czasem zdarzał się wcześniej.

Obfite opady śniegu nie pozwoliły Rusty'emu pójść następnego ranka do szkoły. Wkrótce zatelefonował Bruce, mówiąc, że zostanie jeszcze na południowym wybrzeżu. Ma wiele spraw do załatwienia w Hay-on-Wye i dlatego wróci dopiero w piątek.

Anthea była niezadowolona. Ojciec miał zawsze większy wpływ na syna. Bardzo go tu potrzebowała, a nie mogła mu wszystkiego wyjaśnić przez telefon. Mógł ją usłyszeć Rusty, a to by jeszcze bardziej pogorszyło sprawę.

- Jak tam twoja noga? - zapytała przy śniadaniu.

- Już lepiej, ale ciągle jeszcze nie mogę daleko chodzić. Przynajmniej nie tak daleko jak do końca ogrodu. Jednak

mógłbym już pójść do szkoły, jeżeli chcesz.

- Nie, nie masz po co wychodzić z domu. Zapowiadali na dzisiejsze popołudnie paskudną pogodę. Pewnie znowu napa-da mnóstwo śniegu. Do szkoły możesz spokojnie pójść jutro.

Rusty skinął głową i sięgnął po następną grzanekę. Na jego ramieniu widniała głęboka blizna. Ten krzew paskudnie go zranił, pomyślała Anthea. Ale nie był to jedyny powód, by trzymać syna z dala od ogrodu.

Tuż po lunchu Anthea wyszła na werandę. Te dwa dni bez przerwy w zamkniętym domu zaczęły przyprawiać ją o klaustrofobię. Musiała wyjść na zewnątrz. Wciągnęła głęboko w płuca powietrze i powoli je wypuściła. Wreszcie zaczęła jej wracać świadomość, że poza tą, ograniczoną czterema ścianami przestrzenią, jest inny ogromny świat.

Wtedy zobaczyła w rogu werandy rosnący tuż nad śniegiem pierwiosnek. Jego niebieskawe płatki drżały na cienkiej łodyż-ce. Dwie rzeczy były jednak nie w porządku. Po pierwsze, po-winien się pokazać w innym miesiącu. Mógł to być jakiś wy-bryk natury. Ale było jeszcze coś. Śnieg dookoła kwiatu za-barwiony był czerwonymi cętkami. Zbliżyła się do niego ze strachem. Wstrzymała oddech. To było nienaturalne. Śnieg przyjmował barwę coraz głębszej czerwieni, łącząc się w pur-purowe, nieregularne koło wokół rośliny.

- Mamo! Podskoczyła przerażona.
- Rusty!
- Co się dzieje z tym kwiatem, mamo? - On też podszedł bliżej, żeby się dokładnie przyjrzeć.
- Nie wiem. To bardzo dziwne. Zupełnie nie wiem, co to jest?
- To wygląda jak krew.
- To niemożliwe.
- Więc co to jest?
- To musi być związane z jakimś rodzajem minerałów, które widać tylko w połączeniu z bielą śniegu. W każdym razie chodźmy do środka i napijmy się kawy. Na zewnątrz robi się coraz zimniej i pewnie wkrótce spadnie śnieg - dalsze tłumaczenie wydało jej się zbędne.

Anthea Parlane wróciła roztrzęsiona do kuchni. Myślała o tym co Rusty widział w ogrodzie i wciąż próbowała mu nie wierzyć. Jednak coraz trudniej jej się to udawało.

Z zapadnięciem ciemności zaczęła się czuć naprawdę fatalnie. Za oknem przestał padać śnieg, ale wciąż było bardzo zimno. Ciągle jeszcze miała nadzieję, że Bruce nie zdecydował, iż musi spędzić kolejną noc poza domem. Pomyślała, że mogłaby spać z Rustym. Ale to byłoby kłopotliwe dla nich obojga. Rusty miał dwanaście lat i nie był już tym małym chłopcem, który kiedyś chciał spać w jej łóżku. Nie, lepiej żeby spał we własnym pokoju. Ale przecież to był pokój Toda. Przestraszyła

się. Wszystko było w porządku, a ona wymyślała niestworzone rzeczy. Zaczęła się uspokajać. W tym domu nie straszyla. Był tylko bardzo, bardzo stary i dlatego robił takie niesamowite wrażenie.

Do łóżka położyła się po jedenastej. Bruce obiecał zadzwonić i zawsze obietnicę dotrzymywał. Kiedy jednak wciąż się nie odzywał, postanowiła sprawdzić telefon. Nie działał. W słuchawce panowała głucha cisza. „Prawdopodobnie śnieg przewalał gdzieś w dole druty” - pomyślała. „Jutro trzeba będzie wyjść i zadzwonić z budki, żeby to naprawili”.

Przykryła łóżko najgrubszym kocem, bo w domu było bardzo zimno. Myślała, że przestało działać centralne ogrzewanie. Gdy jednak dotknęła ukrytego za dębową boazerią grzejnika, okazało się, że jest bardzo gorący.

Szybko wśliznęła się pod kołdrę i nakryła nią po samą szyję. Było zbyt zimno, żeby móc cokolwiek czytać. Bardzo potrzebowała jakiegoś zajęcia. Ale nie tylko. Poczula nagle, że jej ciało zapagnęło mężczyzny. To bolesne napięcie musiało być jakoś rozładowane. Mogła to zrobić sama, ale nie wierzyła, żeby udało się zmniejszyć przez to uczucie frustracji. Jednak większym problemem był sen. Miała jeszcze nadzieję, że gdy zgasi światło, uda się jej zasnąć.

Tak się jednak nie stało. Zbyt dużo rzeczy nie dawało jej spokoju: Pennantowie, Rusty i ten kwiat na werandzie. Za szybko się chyba położyła, ale dość już miała martwienia się o Bruce'a i telefon. Chciała zasnąć i mieć spokój. Czula się bardzo samotna.

Pomyślała, że jednak powinna zejść na dół i jeszcze raz obejrzeć pierwsosnek na werandzie. Przestraszyła się. „To głupie” - przemknęło jej przez myśl. Przecież oboje z Rustym są zupełnie bezpieczni. Nagle wydało jej się, iż coś usłyszała i wstrzymała oddech.

Gdzieś w domu ktoś płakał. Z daleka dochodził do niej cichy szloch. Rusty! Od razu pomyślała o nim. Wypadki ostatnich dwóch dni powiększyły jej strach o syna. Potrzebował jej. Powinni spać razem. Musi pójść i sprowadzić go na dół.

Poszukała ręką nocnej lampki. Nacisnęła włącznik, ale lampka się nie zapaliła. Zaklęła cicho, myśląc o przepalonej żarówce. Narzuciła na siebie szlafrok i podeszła do drzwi. Przekreśliła kontakt, lecz rezultat był taki sam. Wokół panowały ciemności gdzieniegdzie rozpraszone tylko słabymi refleksami światła pochodzącymi z leżącego za oknami śniegu.

Próbowała sobie przypomnieć, gdzie są świeczki. Domyśliła się tylko, że muszą być w kuchni. Nie paliła, nie miała więc przy sobie ani zapalniczki, ani zapalek. Postanowiła pójść po Rusty'ego, nie tracąc czasu na poszukiwanie świeczki.

Po omacku, ostrożnie, zaczęła wchodzić po schodach. Szloch ustał. Zawahała się, czy iść dalej. Nie byłaby jednak spokojna, gdyby teraz zawróciła. Pokonała jeszcze dwa stopnie, gdy usłyszała nad sobą jakieś głosy. Ktoś biegał, szamotał się, próbował otworzyć drzwi. Znów słychać było ni to głośny oddech, ni to szloch.

- Richard ... Rusty! To ja. Idę do ciebie. Zostań tam, gdzie jesteś! - wyobraziła sobie strasliwą wizję spadającego ze schodów Toda Pennanta. Usłyszała głuchy odgłos upadku. - O Boże! Rusty zostań tam, gdzie jesteś!

Nastąpiła cisza.

- Rusty, czy wszystko w porządku?

Znów rozległ się hałas. Usłyszała jakieś krzyki w nieznanym języku i płacz. Gdzieś krzyknęła kobieta. Anthea przywarła do ściany. Gdyby tylko miała światło. Ta szczelnie oplatająca ją ciemność zaczęła ją osaczać.

- Rusty ... - nie mogła z siebie wydobyć niczego poza szepczeniem. Nagle usłyszała powtórne głośne uderzenie i krzyk szamocącego się chłopca. Nie odważyła się pójść dalej. Przykucnęła, zamykając oczy, nie chcąc niczego widzieć. Zaczęła się modlić, mieszając słowa.

Poczula nieprzyjemny silny powiew zgnilizny. Przypominał odór, którym wypełniła ich dom zapomniana kiedyś w spiżarni dziczyna. Ten smród był jednak o wiele potworniejszy.

To było gdzieś na piętrze albo na strychu. Znowu słyszała krzyki i odgłosy ciężkich uderzeń. Ale cisza jaka po tym nastąpiła była jeszcze gorsza. Czekwała nasłuchując, lecz nic poza nielicznymi cichymi szmerami i skrzypieniami, tak zwykłymi w nocy, nie zakłócało spokoju.

Chciała zbiec po schodach i wydostać się z domu na zewnątrz, jednakże jej matczyny instynkt zwyciężył. Musiała pójść do Rusty'ego za wszelką cenę.



Wstała i wyciągniętą ręką odnalazła kontakt. Wiedziała, że nie działa, ale mimo to spróbowała go włączyć. - Oślepiające światło stuwatowej żarówki zabłysło nieoczekiwanie, porażając jej wzrok. Przez chwilę, nim oczy przyzwyczyły się do światła, nic nie widziała.

- Rusty! - gwałtownie otworzyła drzwi ostatniego pokoju. Chłopiec spokojnie spał w łóżku i jej wtargnięcie wcale go nie poruszyło. Potrząsnęła nim gwałtownie.

- Co... co się stało? - przetarł oczy i spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Dobrze się czujesz, Rusty?

- Oczywiście, ale ...

- Chyba lepiej będzie, jak będziesz spał ze mną.

- Dlaczego? Naprawdę czuję się dobrze, mamó.

- To dobrze, ale chcę żebyś był ze mną.

Podala mu szlafrok i razem zeszli ze schodów.

Sprawdziła jeszcze raz światło. Działo tak, jak powinno.

- Pierwszą rzeczą, jaką rano zrobimy, będzie spacer - powiedziała, obejmując czule syna. Siedzieli na dużym łóżku z baldachimem znajdującym się w jednym z gościnnych pokoi. Nie cierpiała tego paskudztwa.

- Ale nie do ogrodu? - w głosie Rusty'ego usłyszała strach.

- Oczywiście, że nie - uspokoiła go - pójdziemy do telefonu w Newbold. Chcę zawiadomić tatę, żeby wracał prosto do domu. Musi zdążyć przed zmrokiem.

Tym razem nie zapytał dlaczego. Na próżno próbowałby się dowiedzieć, o czym myślała jego matka. Na pewno miała swoje powody, tak jak wtedy, gdy zabroniła mu zabawy w dole ogrodu. Ale jedno wiedział z pewnością. Tym chłopcem, którego widział, był Tod.

## *Rozdział IX*

### TOSKA

Anthea Parlane z konsternacją patrzyła na wilczura. Od razu rzuciło się w oczy, że nie był rasowy. Miał zbyt dużą głowę, zbyt długi tułów i w ogóle wyglądał na zagłodzonego. Nie budził w niej zaufania. Pies wył i skomlał uwiązany łańcuchem do balustrady werandy. Jego małe, głęboko osadzone oczy patrzyły nieufnie na troje przyglądających mu się ludzi.

- Co to za straszna kreatura - westchnęła.
- Rzeczywiście, nie jest zbyt piękny - odpowiedział Bruce.
- Nie chciałbym go spotkać w nocy.
- Nie pozwolimy mu chyba biegać po domu - spojrzała w bok na Rusty'ego, który bał się psa. Chłopiec nie wyglądał dobrze. Widać było, że schudł. Ostatnie dwa tygodnie wywarły na nim wyraźne piętno.
- Myślę, że może nam się przydać, jeśli znowu będą jakieś kłopoty - zapewnił ją Bruce. - Ma na imię Toska. Wałęsała się głodna i zmoknięta po Leamington. Gdybym jej nie przygar-  
nął, na pewno jeszcze w tym tygodniu by zdechła.

Toska obserwowała go uważnie małymi paciorkami oczu, które ginęły pod kosmykami czarnej sierści. Być może tak właśnie by się stało, ale widać było, że nigdy nie miała kontaktu z ludźmi. Warczała głucho i szarpała łańcuch.

- Nie lubię jej - grymasiła Anthea. - A poza tym oboje z Rustym jej nie ufamy.

- Wpuścimy ją do domu dopiero, gdy Rusty będzie w łóżku - Bruce podszedł i pogłaskał zwierzę. - Myślę, że jest w porządku. Musi się jeszcze tylko do nas przyzwyczaić.

Rusty wrócił do domu. Miał jeszcze zadania do odrobienia.

- A co zrobimy, jeśli to nie pomoże? - szepnęła Anthea. - Nie sądzę, żeby pies coś zmienił. Te duchy czy cokolwiek to jest, na pewno nie przestraszą się psa, choćby nie wiem jak był groźny.

- Musimy dać mu szansę! - ciągle głaskał psa. Może się uda.

- A jeśli nie?

- Wtedy zamówimy egzorcyzmy.

- Nie żartujesz?

- Oczywiście, że nie. To by rozwiązało problem raz na zawsze. Setki domów w Anglii pozbyło się duchów dzięki egzorcyzmom. Wolałbym tego nie robić, gdyby tylko znalazła się inna rada. Nie chcę do tego mieszać nikogo obcego.

- Czy nie lepiej żebyśmy sprzedali dom?

- To przesada. Bardzo lubię to miejsce.

Odwróciła się do niego plecami. Każdej nocy słyszeli głosy

na piętrze. Rusty wyglądał coraz gorzej. Znowu schudł i obawiała się, że chłopiec dłużej tego nie zniesie. Nie pomagało to, że ciągle spał razem z nimi.

- Mam nadzieję, że to się uda - szepnęła.

Było już po jedenastej, kiedy Bruce wyszedł na werandę, by wpuścić psa do domu. Suka ułożyła się w kącie, czujnie nastawiając uszu.

- No, chodź stara - powiedział do niej uspokajająco. - Tam w środku jest dla ciebie ciepłe posłanie koło pieca. Potem będziesz mogła pobiegać po całym domu.

Wilczur warknął i przysunął się do ściany.

- Nie bądź głupia. Nie możesz spać tutaj na tym zimnie - odwiązał łańcuch od słupka i pociągnął za sobą. - No, chodź już.

Toska stanęła na łapy i zaczęła szarpać się na łańcuchu. Ślizgała się drapiąc pazurami drewnianą podłogę i próbowała mu się wyrwać. Bruce przewidział jej opór i prócz lęku nic więcej w nim nie dostrzegł. Na pewno nie była przyzwyczajona do przebywania w domu. Ważne teraz było, żeby ją tego nauczyć.

W końcu udało mu się zaciągnąć psa do domu. Zamknął drzwi nogą i odetchnął, wreszcie jest w środku! Z niejakim wahaniem odpiął łańcuch od obroży Toski, która podkuliwszy pod siebie ogon, śledziła jego ruchy.

- No, idź dalej - drzwi kuchni były szeroko otwarte i słychać było zachęcający trzask palącego się w piecu drewna.

Suka była jednak zbyt przestraszona i wróciła znowu pod drzwi frontowe. Ułożyła się w kącie z głową na przednich łapach. Jej całe ciało niespokojnie drżało.

- A proszę cię bardzo - Bruce miał już dość tej zabawy. Nie rozumiał oporu psa. - Siedz tutaj, jeśli tak chcesz.

Rusty już dawno spał na oddzielnym łóżku, stojącym w kącie pokoju. Gdy Bruce wszedł, Anthea siedziała na krześle, mechanicznie przerzucając kartki jakiegoś magazynu.

- Miałaś jakieś kłopoty?

- Niezupełnie. Ten pies jest tylko trochę uparty i nieprzyzwyczajony do przebywania w domu. Wkrótce będzie lepiej.

Długo potem leżeli razem w ciemnym pokoju. Nie rozmawiali, zajęci każde swoimi myślami. Bruce nie mógł zapomnieć tej nocy u Pennantów, gdy pojawiły się kłopoty ze światłem. Nie mógł wyrzucić z pamięci płaczu i krzyków, jakie wtedy słyszał w tym domu. Oczywiście nic nie powiedział Anthei, bo to by tylko pogorszyło sprawę. Pozostawała jeszcze śmierć Toda. To nie mógł być tylko ten przeklęty balon. Były za to odpowiedzialne jakieś siły, które zawiadnęły domem. Dlatego tak bardzo martwił się teraz, o Rusty'ego. Powinien był sprzedać posiadłość, zanim nie będzie za późno.

Nie chciał się jednak poddać bez walki. Jeśli pies nie rozwiąże problemu, będzie musiał się uciec do egzorcyzmów. Tylko w ostateczności wystawi La Maison des Fleurs na sprzedaż.

Pewnie dostałby niezłą sumę, ale przecież pieniądze to nie wszystko - pomyślał.

Anthea z uwagą wsłuchiwała się w każdy odgłos. Dochodził do niej tylko równy oddech Rusty'ego. Na szczęście spał spokojnie. Z góry nic nie było słyhać poza zwykłym, cichym trzeszczeniem desek. Gdy zasypiali, usłyszała jeszcze skomlenie psa, który przyzwyczajał się na dole do nowego otoczenia. To było wszystko.

Nastał ranek. Pierwsze promienie światła zaczęły rozpraszająć zmrok. Do sypialni powoli sączyła się szarość. Zrobiło się o wiele cieplej i wszystko wskazywało na to, że przed końcem dnia spadnie deszcz.

Anthea obudziła się pierwsza i spojrzała na stojący nieopodal budzik. Była siódma dwadzieścia. Nie musiała się spieszyć. Mogła obudzić Rusty'ego dopiero za dziesięć minut. Miał wystarczająco dużo czasu, by pójść do swego pokoju i się ubrać. Był już w tym wieku, że nie lubił się ubierać przy rodzicach.

Bruce nie musiał wstawać przed ósmą. I zawsze było tak, że choć mówił „powiniennem już być w drodze do pracy”, to kładł się jeszcze na pół godziny. Przestała się już na szczęście tym przejmować.

Zaczęła uważnie nasłuchiwać, ale nic nie zwróciło jej uwagi. Wszystko było w porządku. „Może naprawdę - pomyślała z nadzieją - psu udało się wygonić duchy”.

O siódmej dwadzieścia dziewięć zadzwonił budzik. Wyciągnęła rękę i wyłączyła go. Pomyślała, że sama może zbudzić

rodzinę. A może nawet uda się jej namówić Bruce'a, żeby wstał dziś pierwszy. Nie bardzo podobał jej się pomysł zejścia na dół i spotkania z nieznanym psem.

- Bruce - potrząsnęła nim lekko. - Bruce wstawaj, jest już wpół do ósmej.

Poruszył się i spojrzał na nią nieprzytomnymi oczami

- Naprawdę? Czy powinienem zrobić poranną herbatkę? Przecież to nie niedziela.

- Tak, ale pomyślałam, że mógłbyś wstać pierwszy i zajrzeć do Toski. Tylko dziś, nigdy więcej.

- Dobrze już - pocałował ją. - Zejdę na dół, wypuszczę tego wielkiego, złego wilczura na werandę i zrobię herbatę.

Patrzyła jak wstawał z łóżka. Był nagi. Zawsze spał w ten sposób, bez względu na porę roku. Miał wspaniałe, muskularne ciało. Nie zmienił się wcale przez te dwadzieścia lat, jakie upłynęły od ich miodowego miesiąca. Wydawało się jej, że wcale nie minęło aż tyle czasu.

Ubrał się w parę chwil. Wciągnął na siebie podkoszulek, sweter i stare dzinsy. Wyglądał zupełnie nieźle, jak na człowieka wyrwanego z głębokiego snu. Pomyślała, że może wszystko jest wreszcie w porządku, nawet w takim domu jak La Maison des Fleurs.

- Obudzę Rusty'ego, gdy wrócę - szepnął i wyszedł na schody.

Było już na tyle jasno, że nie musiał zapalać światła. Zszedł na dół, ale nigdzie nie zauważył psa.



- Toska! - zawołał czule. - Chodź, staruszko.

Żadnego ruchu. Najprawdopodobniej leżała sobie wygodnie przy piecu w kuchni i tak samo nie chciała wyjść, jak wczoraj niechętnie tu wchodziła.

- Toska!

Bruce Parlane zatrzymał się na dole rozległych dębowych schodów. W atmosferę wczesnego poranka zaczął wkradać się niepokój. Coś było nie w porządku. Zajrzał do kuchni. Nie było tam śladu Toski.

- Toska... Toska.

Nagle ją zobaczył. Leżała tuż koło niego, w tym samym miejscu przy drzwiach frontowych, w którym została, gdy kładli się spać. Do jej rozciągniętego sztywno ciała ciasno przylegały podkurczone łapy. Z rozwartych szczęk sterczały białe kły.

Bruce Parlane zamarł, wypuszczając przez zaciśnięte wargi niski gwizd. Wiedział, że pies nie spał w ten sposób. Toska nie żyła.

Gdy tylko zapalił w holu światło, doświadczył całej okropności tego, co się tu stało. Jej małe oczy schowane wcześniej pod szorstką sierścią wystawały teraz przerażająco. Było w nich całe okrucieństwo, którego zwierzę zaznało przed śmiercią. Także jej szczęki, zastygłe w śmiertelnym wyrazie zdawały się jeszcze niedawno skowyczeć i skomleć w agonii. Całe ciało psa pokryte było ranami po niedawnych ciosach.

- Chryste! - Parlane osunął się na kolana, dotykając sztywnego zwierzęcia. - Zatluczono ją na śmierć!

Otworzył frontowe drzwi i wyniósł martwą Toskę na zewnątrz w najdalszy róg werandy. Okrył martwe zwierzę starym, jutowym workiem. Zapalił papierosa i stanął w zadumie w szarości zimowego poranka. Zaciągnął się głęboko, próbując zapanować nad nerwami. Kipiało w nim od gniewu i żalu. Zacisnął ze złości pięści. Ktokolwiek lub cokolwiek było temu winne, musi ponieść karę.

Nie pozostało nic poza egzorcyzmami.

Ksiądz Herbert Pinchbeck cieszył się niespotykanym poważaniem nie tylko w swojej parafii, ale nawet poza diecezją. Gdy o tym myślał, zdawał się sobie wyższym od samego biskupa. Do egzorcyzmów Bóg bowiem wybierał tylko nielicznych. Obdarzony takim darem mógł z niego zrezygnować, skoro jednak się zdecydował, czekał go zasłużony szacunek.

Pięćdziesięcioletni Herbert Pinchbeck ciągle miał nadzieję, że uda mu się awansować. Marzył, żeby zostać kanonikiem. Było to możliwe, bo wielu księży na wyższych stanowiskach zbliżało się nieuchronnie do emerytury. Wystarczyło mieć tylko trochę cierpliwości. Była jednak poważna przeszkoda. Od kiedy uwolnił od ducha pewien dom w Snitterfield stracił poparcie biskupa. Musiał osiąść w małej, wiejskiej parafii położonej daleko od głównych dróg. Ta niejako przedwczesna emerytura stanowiła karę za sukces. Zaledwie dwa miesiące wcześniej, w tym samym miejscu biskup poniósł klęskę.

Teraz ksiądz siedział tygodniami w fotelu i sącył brandy. Doskonała kuchnia pani Parlane przypadła mu do gustu. Jego rzadkie, siwe włosy były mokre od potu. Zawsze się pocił w

czasie egzorcyzmów. Doszczętnie wyczerpywały go. Wszak wyrecytowanie kilku formułek nie wystarczało. Jego zwykłe zaróżowiona cera była teraz nieco bledsza. Ta osobista batalia z siłami zła miała w sobie zawsze coś przerażającego. „Czujesz ich obecność i wrogość, wiesz, że chcą cię pokonać, ale tylko wtedy możesz je zwyciężyć, gdy masz silną wiarę” - rozumował.

Podziękował za papierosa, którym poczęstował go Bruce Parlane. Był umiarkowanym palaczem. I choć wyczerpał już swój limit dziesięciu papierosów dziennie, postanowił, że należy mu się mała premia. Zasłużył na nią po tym wszystkim. Bardzo się tego wieczoru napracował. Bardziej niż się tego spodziewał. Kimkolwiek były te duchy, posiadały niespożytą moc. Wściekle z nim walczyły aż do końca i ogromnie go wyczerpało.

- Myśli ksiądz, że teraz już wszystko będzie w porządku? - zapytał Bruce.

Anthea nerwowo mieszała łyżeczką kawę. Powinna była się czuć teraz lepiej, ale jakieś wewnętrzne napięcie ciągle nie ustępowało, wydawała się być teraz jeszcze bardziej zdenerwowana, bardziej nawet niż przed egzorcyzmami.

- Mam szczerą nadzieję, że tak – odpowiedział Pinchbeck.  
- Jutro pomodłę się w kościele o uwolnienie tego pięknego domu od sił diabelskich. Będę musiał jednak przybyć tu po raz drugi.

- My też będziemy się modlić - zapewnił Bruce.

Pinchbeck zaciągnął się głęboko i wypuścił w górę chmurę

dymu. Zło miało tutaj ogromną siłę, ale pewien był zwycięstwa.

Na szczęście Rusty przespał to wszystko w pokoju na górze. Im mniej wiedział, tym lepiej było dla niego.

Anthea pierwsza zauważyła otwarte drzwi. Poruszały się powoli tam i z powrotem jakby targane przeciągiem.

- Patrzenie - rozlała trochę kawy na spodek - drzwi...

Obaj mężczyźni odwrócili się i spojrzeli w stronę holu. Coś się tam poruszyło i usłyszeli delikatny stuk. Czarny płaszcz księdza zawieszony w przedpokoju zatrzepotał i powoli jakby z wahaniem opadł na podłogę, jak ścięty z nóg człowiek.

- Och! - wyrwało się z zaciśniętego gardła Anthei.

Bruce zerwał się ze swego miejsca.

Pinchbeck wzdrygnął się i rozsypał popiół z papierosa za sutannę. Chrząknął i szepnął przez zaciśnięte gardło.

- Chyba... będę musiał przyszyć do płaszcza nowy wieszak - zabrzmiało to cicho i przepraszająco. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zamilkł.

Troje ludzi siedziało nieruchomo. Drzwi znowu drgnęły, potem zaskrzypiały i zaczęły się zamykać. Herbert Pinchbeck głęboko zaciągnął się papierosem. Już wiedział, że ONI znowu wrócili. Czuł, że są silniejsi niż poprzednio i gotowi do nowej walki, że chcą rewanzu.

- Musimy spróbować jeszcze raz - ksiądz sięgnął do kieszeni, chociaż nie potrzebował szukać pomocy w tekście. Wszystkie potrzebne słowa znał na pamięć.

Zaczął je cicho szeptać i widać było, że często się myli. Wiedział, że to strata czasu, że walka jest już przegrana.

Światło zamigotało. Zgasło, zabłysło i znowu zgasło. Cały dom pograżył się w ciemnościach. Bruce znalazł po omacku dłoń Anthei i mocno ją ścisnął. Poczul, że drży. Nie był jednak pewien, czy to nie drżą jego własne ręce.

- Richard... szepnęła.
- Zostań tu. Ja tam pójdę...

Nie miał jednak szans, by cokolwiek uczynić. Wszyscy troje poczuli chłód i ciężącą groźbę ZŁA unoszącą się w powietrzu. Z przerażeniem cofnęli się i schowali pod stołem. Stojące na nim naczynia zadrżały, a do pokoju wtargnął porywisty powiew, szarpiąc zasłony, chłoszcząc wszystko co stało mu na drodze.

Nie wiadomo czy trwało to minutę, czy też godzinę. Słyszeli wyjący wiatr, niosące ze sobą odgłosy torturowanych i dręczonych ludzi.

Wtem wszystko ucichło tak nagle, jak się zaczęło. Światło zamigotało i zabłysło już na stałe, zalewając cały dom jasnością, w której ukazały się jakby zamarłe przedmioty: leżący na podłodze płaszcz, rozsunięte zasłony, papierowe serwetki porozrzucone na podłodze jadalni.

Z trojga ludzi, którzy znaleźli schronienie pod stołem, wyszło tylko dwoje. Anthea gwałtownie odwróciła głowę. Nie chciała na to dłużej patrzeć. Jedno spojrzenie na twarz Herberta Pinchbecka powiedziało jej wszystko. Straszliwy grymas

świadczył o potwornych fizycznych i psychicznych męczarniach, jakich doznał. Musiał się poddać, choć do końca modlił się o pomoc. Nie widziała równie okropnej śmierci.

- Myślę, że był to... atak serca - szepnęła Bruce. - Zadzwońię po ambulans.

Anthea chciała krzyknąć; znajdowała się na granicy hysterii. Poszli razem do telefonu. Anthea mocno trzymała się jego ręki, jakby się obawiała, że go straci.

Wykręcając numer, Bruce wiedział już, że przegrał. Obie próby zachowania willi zawiodły. Musiał teraz dotrzymać obietnicy danej Anthei. Trzeba było sprzedać ten diabelski dom. I niech Bóg ma w opiece tego, kto kupi La Maison des Fleurs.

## *Rozdział X*

### ZNOWU GŁOSY

„Wiejska rezydencja położona w sercu Warwickshire, zbudowana przez szwajcarskich rzemieślników: 12 pokoi, 3 łazienki, duże kuchnie, jadalnie, przestrzenne hole. Idealna na założenie w niej hotelu. Cena wstępna wynosi 750000 funtów”.

Bruce Parlane przeglądał czwartą stronę reklam i ogłoszeń w ostatnim wydaniu „Coventry Evening Telegraph”, na której widniało zdjęcie frontu willi La Maison des Fleurs. Denerwował się na agenta, że było aż tak złe. Zupełnie bowiem nie uwiadczało pięknych roślinnych dekoracji, które na zdjęciu wyglądały jak nieokreślone kropki. Postanowił potrącić trochę z rachunku, gdy ten nadejdzie z agencji.

Overland Grange kosztował go sto tysięcy. W sumie było w tym sporo szczęścia, że ten duży, czarno-biały dworek, położony o milę od La Maison des Fleurs, został wystawiony na sprzedaż. Nie dlatego, żeby Parlane'owie mieli ochotę tu dłużej zostawać, ale niewątpliwie dlatego, że mogło to pomóc im w pozbyciu się szwajcarskiej willi.

Upłynął tydzień, a nabywcy ciągle się nie pojawiali. Mimo kolejnych ogłoszeń w „Country Life” nikt nawet nie zainteresował się ofertą. Nie zawiniła w tym jednak agencja. Wiadomości o egzorcyzmach i śmierci Pinchbecka stały się, dzięki wścibskim reporterom, ogromną sensacją. Pokazali to nawet w głównym wydaniu wiadomości telewizyjnych. Pewno mogłoby to pomóc, gdyby się trafił jakiś dziwak zwariowany na punkcie duchów. Okazało się jednak, że efekt był odwrotny.

- Żadnych nabywców? - Anthea przeszła przez hol, gdy skończył telefonować.

- Nie - potrząsnęła głową. - Agenci mówią, że zupełnie tego nie rozumieją.

- Na pewno się uda ta sprzedaż - uśmiechnęła się zachęcająco.

- Na pewno. Kiedyś się to stanie, a na razie bank obędzie nas ze skóry. Większość mojego kapitału ulokowana jest w nieruchomościach. Znalazłem właśnie ładne miejsce do kupienia w Szkocji. To świetna okazja, a nie można jej wykorzystać.

- Richard wygląda dużo lepiej - zmieniła temat.

- To dobrze - odrzekł Bruce. - Wszystko co możemy zrobić, to siedzieć i czekać.

- Święta poprawią nam humory.

- Możliwe, ale nie będę mógł się stąd ruszyć, muszę tu być i czekać na klientów. To nie jest najlepszy czas na sprzedawanie domu. Nawet zainteresowanym ludziom nie będzie się chciało dojechać tutaj zimą - oszukiwał sam siebie. Wiedział,



że La Maison des Fleurs mógł przecież zostać kupiony bez względu na porę roku.

Rusty czuł się dużo lepiej w nowym otoczeniu. Ich dom był duży, ale nie tak jak poprzedni. Panowała w nim za to wspólna atmosfera. Nie bał się już ciemności i chętnie spał sam w swoim pokoju. Dzięki rowerowi, który dostał od rodziców na gwiazdkę, mógł teraz jeździć w soboty do Stratford i spotykać się z kolegami. Cieszyło go też, że ojciec sprzedaje La Maison des Fleurs. Coś jednak zakłócało jego spokój, jakieś przecucie losu, które towarzyszyło im cały czas.

Rusty nigdy nie przejeżdżał w pobliżu starego domu. Pewnego jednak razu wyjechał na wzniesienie i zobaczył ponury, odcinający się od zimowego otoczenia budynek. Natychmiast wskoczył na rower i zaczął szybko pedałowac w przeciwną stronę. Był przerażony. Wydawało mu się, że groźny dom daje mu znaki i słycać z niego glosy: „Wracaj chłopcze, nie możemy bez ciebie wytrzymać!”

Wiosna tego roku nadeszła wcześnie. Pierwsze słoneczne dni wypełniły początek marca. Na drzewach i krzakach pojawiły się paki, a pola przybrały kolor głębokiej zieleni.

Choćby nie wiem jak chciał, Rusty nie mógł przestać myśleć o Reichenbachu. Którejś nocy śniło mu się, że jest w swoim starym pokoju, słyca znowu glosy. W nogach jego łózka stoi człowiek z gnijącą twarzą. Jest też chłopiec, którego widział w śnieżny ranek w ogrodzie. Słyca ich wstrętne glosy:

„Potrzebujemy cię, Rusty. Dlaczego nas opuszczasz? Wróć, nie zostawiaj nas!”

Takie sny pojawiały się coraz częściej i były coraz okropniejsze. Przeważnie widział twarz jasnowłosego chłopca. To był Tod Pennant. Rusty poznawał go mimo zapadłych policzków i postarzałych rysów, naznaczonych bólem i cierpieniem. Wkrótce Tod przerwał milczenie i zaczął przeciągle wołać: „Rusty! Wróć! Większość z nas znosi większe cierpienia od tych, które ON nam może zadać. Wróć do domu. Muszę ci coś powiedzieć!”

„Coś ci powiedzieć... coś ci powiedzieć... wróć...” - te słowa ciągle tłukły się w głowie Rusty'ego. Nie mógł się skoncentrować w szkole, ogarniało go przygnębienie i apatia.

- Czy ty się czegoś boisz? - spytała Anthea, chcąc tym zapobiec, by nie ujrział strachu na jej twarzy. - Wiem, że wszyscy przeszliśmy przez koszmar. Ale to już się skończyło. ONI nie mogą nam już nic zrobić!

- Chciałbym, żeby tata szybciej sprzedał ten dom - powiedział spuszczać wzrok. - Ciągle mi się tu wszystko śni.

- Ale teraz to są tylko sny. Z czasem na pewno znikną, lecz jeśli chcesz, to możesz spać w naszym pokoju.

- Nie - pokręcił głową. - Wszystko będzie dobrze.

- Na pewno dom zostanie wkrótce sprzedany. Wiosna to nie jest najlepszy czas na wyzbywanie się posiadłości - mówiła, wiedząc że kłamie. - Pan Kinnerton, agent taty, dzwonił rano

i zapewnił, że zwiększy reklamę i zamieści ją w większej liczbie pism. Musi się znaleźć ktoś, kogo to zainteresuje.

To była nieprawda. Nikt nie chciał kupić tego domu. Nikomu jeszcze, kto dotąd to robił, nie udało się uwolnić tej fatalnej willi od siły wypełniającego ją ZŁA.

Rusty'ego znów zaczęły nawiedzać sny. Były przerażające. Nie mógł już spać, leżał tylko, drżąc w ciemnościach. W szeroko otwartych drzwiach stał Tod Pennant wołając: „Chodź, Rusty! Chodź ze mną! Nie bój się. Chcemy tylko z tobą porozmawiać. Nie zatrzymamy cię. Pozwolimy ci odejść. Chodź do nas!”

Rusty próbował go ignorować, ale nie na wiele się to zdało. Ciało odmówiło mu posłuszeństwa i zaczęło wykonywać rozkazy wołającego chłopca. Wstał z łóżka i chwiejąc się z trudem złapał równowagę.

Zszedł na dół po schodach i ruszył przez hol do szeroko otwartych frontowych drzwi. Noc była chłodna. Powinien był się ubrać, lecz nie miał czasu. Nie zdążył nawet znaleźć szlafroka. Tod nie mógł czekać.

Biegł szybko, żeby nadążyć. Tod nie odwrócił się ani razu, wiedząc zapewne, że Rusty jest tuż za nim. Podążali pustą ulicą i oprócz chrzęstu żwiru pod bosymi stopami Rusty'ego wokół panowała cisza. Nie zakłócał jej nawet najmniejszy powiew wiatru.

Rusty ujrzał La Maison des Fleurs. W oknach paliło się światło i mógł już usłyszeć znajome głosy. Wbiegł po schodach chwytając się poręczy. Znalazł się w holu. Powinno go było ogarnąć przerażenie, ale tak się nie stało. Wyglądało to jak

kolejny sen podobny do poprzednich. To nie działo się naprawdę. W każdej chwili mógł się obudzić we własnym łóżku. Był zaintrygowany tą dziwną sytuacją. „Idź z Todem - myślał - zobacz czego ONI chcą. Tod obiecał, że cię nie zatrzymają i pozwolą odejść”.

Gdy tylko znalazł się w środku, uderzył go znajomy odór gnijącej materii, ciągle rozkładającej się, a przecież trwającej bez końca. Wtedy zdał sobie sprawę, że to nie jest sen. Wszystko dzieje się naprawdę. Nie jest bezpieczny w swoim łóżku w Overland Grange. Jest w La Maison des Fleurs.

Jego ciekawość i dobre samopoczucie zginęły. Zastąpił je potworny strach. Zaczął panicznie krzyżeć. Odwrócił się z zamiarem ucieczki. Frontowe drzwi były jednak zamknięte.

I nagle, gdzieś w ciemnościach dużego holu, rozległ się szyderczy śmiech Toda.

Odkrycie, że Rusty'ego nie ma w domu, zajęło Anthei parę minut. Zwykle pukała do drzwi jego sypialni o siódmej trzydzieści, gdy schodziła na dół. Rusty pojawiał się w kuchni za kwadrans ósma.

Za dziesięć ósma poszła jeszcze raz go zawołać. Gdy ciągle nie było odpowiedzi na jej pukanie, otworzyła drzwi. Pokój był pusty. Najpierw pomyślała, że syn jeszcze jest w łazience. Trzy minuty później jak oszalała zaczęła budzić Bruce'a.

- Bruce, Richarda nie ma w domu... on gdzieś poszedł!
- Poszedł?! - zerwał się odrzucając kołdrę. - Jesteś pewna?

- Nie ma go nigdzie - ani w pokoju, ani w łazience.
- Nie może być daleko - Bruce już się ubierał - nie denerwuj się. Pewnie wyszedł do ogrodu.

Anthea zeszła za mężem po schodach i pierwszą rzeczą jaką zauważyła były uchylone drzwi. Wahaly się delikatnie pod wpływem przeciągu, przyciągając uwagę.

- Spójrz... on musiał wyjść na zewnątrz - szepnęła.
- Już mówiłem, nie ma o co się martwić - odpowiedział. - Załóżę się, że bawi się w ogrodzie.

Anthea nie podzielała ufności Bruce'a. Wyszli na dwór. Świeciło słońce. Wokół było cicho i spokojnie. To było niemożliwe, żeby cokolwiek stało się Rusty'emu. Na pewno jest gdzieś niedaleko. Za chwilę powinni go znaleźć, zobaczyć. Jednakże nic takiego nie następowało.

Pokazała im się tylko szara wiewiórka, przebiegająca przez trawnik. Przystanęła na chwilę, przyjrzała się bacznie ludziom i skierowała się w stronę pobliskich krzaków. Bruce Parlane nerwowo zwilżył usta. Rusty na pewno tędy nie poszedł. Inaczej nie byłoby tu tego zwierzęcia. Zawrócił w stronę domu.

Nie było tu żadnego miejsca, w którym mógł się ukryć. Wokół rozciągały się rozległe trawniki, klomby i niskie żywopłoty. Nawet wiewiórka nie mogła się w nich schronić. Gdzie więc, u diabła, jest Rusty? Próbował coś wymyślić, głównie po to, żeby uspokoić Antheę.

- Może nie skończył pracy domowej i poszedł wcześniej do szkoły, żeby tam odrobić zadania - myślał głośno. - Może chciał coś przejrzeć w bibliotece albo po prostu wybrał się, żeby pojeździć na rowerze.

- Jego rower stoi na werandzie - dobiegł go z daleka głos żony. - A pracę domową z całą pewnością odrobił.

- Sprawdźmy jeszcze raz w domu. Może tylko schował się gdzieś dla żartu.

Richard nigdy takich zabaw nie lubił. Mimo to nowa szansa szybko nimi owładnęła. Ciągłe mieli nadzieję, że chłopiec jest gdzieś w pobliżu. Dzięki Bogu nie mieszkali już w La Maison des Fleurs. Tutaj nic mu się nie mogło stać.

Wszystkie pokoje były takie same, ciche i puste. Sprawiały wrażenie, jakby się z nich śmiały: „Tu go nie ma. Poszedł sobie. Już go nie znajdziecie”.

Anthei zrobiło się niedobrze. Czowała, że zaraz ogarnie ją histeria. Chciała paść na podłogę i wrzeszczeć: „Znajdź go, Bruce! Znajdź go, zanim oszaleję”!

- Tu go nie ma - w tonie Bruce'a pojawiła się rezygnacja.

Próbował myśleć o czymś innym, choć nie udawało mu się to.

- Nawet się nie ubrał - Anthea zacisnęła mocno dłonie. - Tylko wstał i... wyszedł.

- Musi być jakieś wyjaśnienie.

Oczywiście było. Stało się to, czego się obawiała najbardziej po wszystkim, co zdarzyło się w tamtym domu.

- Powinniśmy zadzwonić po policję - powiedziała.

- Nie spieszmy się.
- Nie możemy siedzieć beczynnie. On może być w poważnych kłopotach.

- Jeszcze trochę poczekamy.

Przeszukali jeszcze raz cały dom od góry do dołu, sprawdzając każdy pokój. Nic nie znaleźli. To samo w ogrodzie, nawet śladów wiewiórki. Tego dnia nie pojawił się tu żaden człowiek. Wrócili do frontowych drzwi, spoglądali na trawniki i klomby, jakby wierząc, że nagle ukaże im się Rusty. Zaczęła ogarniać ich rozpacz.

- Dzwonię po policję - westchnął Bruce.

Czekała na zewnątrz. Chciała wyć: „Rusty... Rusty... Rusty...” Zacząć znowu go szukać. Cokolwiek robić. Beczynność była najgorszą ze wszystkiego.

- Przyjadą za kilka minut - Bruce pojawił się w drzwiach.
- Zrobię kawę. Bardzo jej oboje potrzebujemy.

Dlaczego, gdy tylko zdarzy się coś ważnego, każdy zaczyna myśleć o kawie? Bo uspokaja nerwy. Bzdura. Tylko odwraca uwagę od całej bez radności i rozpacz, zanim nie przejdą w histerię.

Anthea siedziała w kuchni i to wszystko wydawało się jej złym snem. Nawet kawa, którą piła, miała smak lukrecji. Wszystko było nierzeczywiste oprócz myśli o synu.

Po pół godzinie przybyło dwóch policjantów z posterunku w Bedford. Zobaczyła ich, gdy zbliżali się niespiesznie do frontowych drzwi. Ubrani po cywilnemu wyglądali na osoby mające dużo czasu. - „O Boże - pomyślała Anthea - pozwolisz zginąć memu biednemu dziecku?”

Policjanci sprawiali wrażenie, że to ich zupełnie nie wzrusza. Każdego dnia ktoś ginął. Dla nich to po prostu rutyna polegająca na zadaniu kilku pytań i zebraniu śladów.

- O której położył się spać?
- O dziewiątej.
- Nie słyszeli państwo jakichś dziwnych odgłosów w nocy?

- Nie.
- Nie było z nim wcześniej kłopotów?
- Żadnych.
- Sprawdzili państwo w szkole?
- Nie.

Mężczyźni wymienili zdziwione spojrzenia.

- Najlepiej zrobmy to zaraz.

Wiedziała, że to strata czasu. Przygryzła wargę, by nie zacząć zawodzić. Mogą sobie sprawdzać, ile chcą. I tak ich to nie obchodzi, bo to nie ich syn.

Usiadła w kuchni, słuchając rozmowy przez telefon. „Jest pan pewien, że go tam nie ma? Rozumiem. Proszę sprawdzić jeszcze raz. Dziękuję panu”.

Zaległa długa cisza. Ktoś poszedł sprawdzić klasy i boisko. Kolejna strata czasu. Bruce spoglądał przez okno. Kilka kosów i drozdów uwijało się wokół karmnika. Inne czuwały w wysokiej trawie lub pod-fruwały wśród gałązek krzewów. Tam wykluwały się i wychowywały ich młode. Od losu zależało, czy się to uda, czy też będą musiały je porzucić.

- No cóż, Richarda nie ma w szkole – detektyw sierżant Repton wrócił do pokoju. W drzwiach musiał się schylić, by



nie uderzyć głową w futrynę. W ręce trzymał notes, którego widok zdziwił Antheę. Zupełnie nie rozumiała, co też on mógł tam zapisywać.

- Zadzwońmy zaraz, żeby przyprowadzili psy. Być może chłopiec jest jeszcze w pobliżu.

Anthea Parlane poczuła ucisk w gardle. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. „Jest jeszcze w pobliżu...” Te słowa sprawiły jej niemal fizyczny ból. A jeżeli Rusty jest niedaleko, ale nie może ich zawiadomić, bo...

- Myślicie, że on nie żyje, prawda? - nie mogła się powstrzymać od pytania. Słowa wymknęły się jej nieopatrnie.

- Proszę się nie denerwować, proszę pani - odpowiedział jeden z policjantów, paląc papierosa. Nie mogła dojrzeć jego wzroku. Tak było dla niej dużo lepiej. - Mnóstwo dzieci ginie, ale przeważnie wracają. Po prostu chodzą na wagary.

- Mój syn nigdy nie wagarował. Uwielbiał szkołę.

- Tego nigdy nie wiadomo. Wiele dzieciaków wmawia rodzicom coś, czego wcale nie robi. Czy jest tu gdzieś jakiś staw albo coś w tym rodzaju?

- Tak - jej głos drżał. - Z tyłu za polem. Dlaczego pan pyta?

- Może poszedł łowić ryby.

- On nigdy się tym nie interesował. Nie ma nawet wędki.

- O to najłatwiej. Kij, kawałek sznurka i zgięta szpilka. Sam tak robiłem, gdy byłem mały.

- Bert będzie tu z psami za parę minut. - Repton odłożył słuchawkę i sięgnął po kubek z kawą.

- Czy może pani znaleźć dla nas jakiś kawałek ubrania chłopca. Może być cokolwiek.

- Oczywiście.

Pójdzie do sypialni Rusty'ego wymagało odwagi. Powinien był uczynić to Bruce, ale czuł się zbyt zmęczony rutynowymi pytaniami Reptona. Na schodach usłyszała jeszcze, jak policjant znowu pyta o basen. Zachwiała się i musiała chwycić się poręczy. Przed oczami przebiegły widziane kiedyś, nie interesujące ją wtedy, nagłówki gazet: „ZNALEZIONO TOPIELCA”... „CIAŁO CHŁOPCA WYŁOWIONO Z JEZIORA”... „POSZUKIWANIA ZAGINIONEGO CHŁOPCA TRWAJĄ”.

W pokoju było jeszcze gorzej. Ubrania leżały dokładnie poukładane tak, jak się spodziewała. Wyglądały, jakby je ktoś zostawił i długo nie wracał. Pościel na łóżku pozostawała zmięta i rozrzucona. Pewnie znowu dręczyła go jakaś zjawka, bo prześcieradło ciągle jeszcze nosiło ślady potu chłopca. Wzięła ze sobą but i pospiesznie zbiegła ze schodów. Przechodząc przez korytarz, zobaczyła przez otwarte frontowe drzwi podjeżdżającą przed dom błękitną furgonetkę z napisem „POLICE”. Przednie siedzenia od reszty samochodu dzieliła krata, za którą znajdował się pies. Był to wilczur o czarnej sierści... zupełnie jak Toska!

- Proszę - wepchnęła but do ręki Reptona. Unikała jego wzroku, bojąc się odczytać jego myśli: „On nie żyje. Pani o tym wie, pani Parlane”.

Wyszli na zewnątrz. Opiekun psa był niskim, krępyim mężczyzną koło trzydziestki. Mundur nadawał mu stanowczy wygląd. Repton wskazał za dom. Bruce nie wiedział, czy chodziło mu o basen. Niepewnie stał z boku.

- Dobra, Bert, zaczynamy - powiedział Repton.

W ręce trzymał but Rusty'ego. Psu zdjęto kaganiec.

Anthea patrzyła jak zwierzę gorliwie obwąchuje but i szarpie się na krótkiej smyczy trzymanej przez jego pana. Repton z towarzyszącym mu policjantem włożyli gumowe buty.

- Jeżeli mogę w czymś pomóc... - odezwał się nerwowo Bruce. Jego zwykła pewność siebie gdzieś znikła. Twarz miał zmęczoną i bladą.

- Dziękujemy panu, ale wolimy pracować sami - gdy Repton to mówił, pies ciągnął ich już za sobą. Nie biegł jednak w kierunku pół za domem, lecz skrajem drogi.

- Niech pan tu zostanie. Zaraz wracamy.

Bruce Parlane powoli wszedł na werandę, gdzie stała Anthea. Objął ją ramieniem i mocno przytulił.

- Jak myślisz...? - sama nie wiedziała, co chciała od niego usłyszeć.

- Idą drogą - wskazał. Trzech mężczyzn szybko maszerowało za zakrytym wysokim żywopłotem psem. - To nie jest w stronę stawu. Dzięki Bogu! Ale dokąd Rusty mógł pójść? Szkoła leżała w przeciwnym kierunku. Dalej już tylko było kilka rozrzuconych farmi domków i... jedna ogromna drewniana posiadłość wsparta na słupach: La Maison des Fleurs.

Anthea wyobraziła sobie dalekie złowrogie wzgórza, które czekały przerażająco niewzruszone. Jej oddech rwał się, zatrzymywał i znów pojawiał się drżący i niepewny.

Trzęsąc się przyłgnęła mocniej do Bruce'a. Prawie czuła wstrętny odór siedziby Reichenbacha. Rusty nie mógł tam pójść! Modliła się o to, żeby mieć rację. Przecież tak go ten dom przerażał. Nic nie mogło go zmusić do ponownego przekroczenia jego progów. Może jednak coś takiego się zdarzyło?

## *Rozdział XI*

### WIECZNE ZŁO

Ciągle jeszcze się śmiejąc, Tod skinął na niego ponownie. Zmuszony gestem Rusty ruszył przed siebie. Nie było odwrotu. Frontowe drzwi były zaryglowane.

Minęli schody i przez kuchnię wyszli do ogrodu za domem. Noc była ciemna i chłodna. Nie widział nic poza idącym z przodu chłopcem, który szedł szybko, nie oglądając się za siebie. Tod wiedział, że Rusty musi za nim nadążyć.

Kolce jeżyn kaleczyły stopy chłopca, które krwawiły już od pewnego czasu. Rusty chciał się zatrzymać i odpocząć, ale nie mógł. Ciągle szli przez niekończący się ogród, w którym panowała zima w pełni.

Doszli w końcu do płotu w dolnej jego części. Nagle Tod znalazł się po drugiej stronie ogrodzenia. Rusty ledwo się poruszał, padał co chwila, by podnieść się z powrotem. Cicho szlochał: „Błagam cię, puść mnie do domu.”

- Tu jest twój dom!

Zeszli po zboczu i przeszli przez szeroki strumień. Lodowata rwąca woda chłodziła poranione nogi Rusty'ego. Gdy wyszli na brzeg, zza chmur wyłonił się księżyc, oświetlając okolicę słabym srebrzystym blaskiem. Rusty nie był nigdy tak daleko od domu. Najdalszym miejscem, do którego dotarł, był dół ogrodu.

Poniżej, w kotlinie, rósł stary las pełen wielkich dębów i buków. Ich nagie konary wyciągały się w górę, jakby składały hołd księżycowi. Reszta kryła się w tajemniczych ciemnościach. Gdzieś ostrzegawczo szczeknął lis.

Rusty wiedział, że idą właśnie tam. Tod prawie biegł, obracając się za siebie i ponaglając.

- Szybciej, szybciej. Jesteśmy już spóźnieni.

Na co spóźnieni? Rusty nie wiedział i nie chciał się nawet domyślać.

Między drzewami było zimno i wilgotno. Jego stopy zanurzyły się w miękkiej ziemi. Gdy weszli na wąską ścieżkę biegnącą pod konarami masywnych drzew, uderzył Rusty'ego nieprzyjemny zapach. Zbyt mocno kojarzył mu się z La Maison des Fleurs, choć pamiętał ze szkoły, że pochodzi on z pewnego rodzaju grzyba. Na takich drzewach jak tutaj musiało być go pełno.

Nagle zauważył, że idąc ciągle tą drogą, zrobili duże koło. Szli teraz przez zeschnięte wrzosi i jeżyny, które jakby starały się ze wszystkich sił ich zatrzymać. Rusty tak głośno płakał z powodu poszarpanej kolcami skóry, że Tod przystanął. Na jego

twarży nie było współczucia tylko wściekłość, że zwolnili.

- Szybciej!

W końcu ścieżka rozszerzyła się i znaleźli się w środku lasu na dużej polanie, gdzie kiedyś był kamieniołom. W drugim końcu wznosiło się usypisko skał i lupków porośnięte teraz chwastami.

Tod zatrzymał się i po chwili skierował właśnie w tę stronę. Ciemne cienie kładły się w delikatnym świetle księżyca, tworząc szachownicę z jasnymi miejscami polany. Słaby wietrzyk zaszemrał prawie przepraszająco w gałęziach i zamarł.

Tod ruszył przed siebie. Rusty próbował się rozglądać we wrogich ciemnościach. Ścieżka, którą szli, ponownie się zwężała. Najgroźniejsza była przytłaczająca cisza. Nawet wiatr uląkł się ciemności i uciął na dobre.

Rusty przełknął nerwowo ślinę, zastanawiając się, jak długo zajmie im powrót. I wtedy uświadomił sobie, że coś porusza się tuż przed nim.

Podświadomie próbował zrozumieć, dlaczego nie zauważył tego wcześniej, choć na pewno działo się to od dłuższego czasu. Strach sparaliżował jego ruchy. Ze złowrogiej ciemności zaczęły wyodrębniać się pojedyncze kontury. Upłynęło kilka chwil, zanim zdał sobie sprawę, że są to ludzie. Wszyscy byli ubrani w zwiewne czarne szaty z kapturami, co utrudniało rozpoznanie ich w mroku.

Zaczęło jaśnieć. Nie był to blask księżyca, lecz rodzaj szarości wyłaniającej się z nocy. Około tuzina postaci stało wokół jednej, wyższej od pozostałych.

Wszystkie chowały twarze w dłoniach, jakby bojąc się zająrzeć sobie w oczy. Ciszę rozdzierały ich jęki i okrzyki przerażenia.

Nagle, rzucając liczne refleksy w ciemności, pojawiło się żółte światło. To pod ogromnym kotłem buszował ogień. Nie rozlegał się nawet cichy trzask szczap suchego drzewa.

Wysoka postać odwróciła się i Rusty zobaczył jej twarz oświetloną blaskiem ognia. Chciał się odwrócić, żeby tego wszystkiego nie oglądać. Ale nie mógł. Musiał patrzeć.

Jęki stały się donośniejsze. Wokół ognia skupiło się więcej ludzi, ale tylko niektórzy byli widoczni w jego świetle. Trzech nagich mężczyzn, kobieta i chłopiec stali ze związanymi na plecach rękami. Rusty wyteżył wzrok. Tym chłopcem był Tod. Poznał go po jasnych włosach i sposobie, w jaki stał. Jego twarz była dokładnie widoczna. Rozglądał się rozpaczliwie dookoła, jakby kogoś szukał...

- Pomóż nam!

Rusty nie mógł tego zrozumieć. Jeszcze przed chwilą Tod był przy nim, a teraz jest więźniem w rękach...

Znów pojawił się ten mdły zapach, ale tym razem Rusty wiedział, że nie pochodzi z żadnego grzyba. Wysoki mężczyzna stał na wprost niego, patrząc pustymi oczodołami, z których emanowała nienawiść. Jego twarz się nie zmieniła. Mięso spadało z niej płatami, a usta poruszały się bezgłośnie. Było to ucieleśnienie śmierci, Reichenbach!



Dwie postacie niosły jednego z więźniów za ręce i nogi, nie zważając na jego krzyki. Dopiero teraz Rusty zrozumiał, co się stało. To był diabelski chrzest. Władca ciemności zanurzał swe ofiary we wrzącej wodzie!

W ułamku sekundy więzień został rzucony na ziemię. Na jego skórze rosły ogromne pęcherze. Niektóre pękały. Mężczyzna ciągle żył. Rzucał się konwulsyjnie, nie mogąc wydobyć głosu z poparzonego gardła.

Jeszcze dwóch mężczyzn, potem kobieta, której skóra pokryła się potwornymi bąblami i przyszedł czas na chłopca. Szukał wzrokiem Rusty'ego, cicho błagając o... o co?

Rusty nie mógł zrobić nic poza bezradnym przyglądaniem się kaźni.

Tod leżał, rzucając się w agonii obok czterech pozostałych ofiar. Jeszcze raz odwrócił swoje nieludzko storturowane ciało w stronę Rusty'ego. Reszta postaci też patrzyła na niego, kryjąc twarze w cieniu kapturów. Wokół unosił smród rozkładu. Nawet powietrze czuć było wilgocią i stęchlizną, jakby dopiero co wypuszczono je z lochu, w którym znajdowało się więzione przez stulecia.

- To tylko nieliczni z tych, którzy nas obrazili. Przez lata było ich więcej, dużo więcej. I na pewno ciągle ich będzie przybywać. Ty i tobie podobni, którzy splugawiliście nasz dom.

Rusty skinął głową. Czuł się winny i poznał siłę ZŁA. Wyrok musi zapłacić. Tod już zapłacił za swe winy. Teraz jego kolej.

Lęk, tak jak ból, ma swą granicę. Potem jest już tylko obojętność. Rusty wiedział o tym, bo sam był w tym stanie.

- Musisz odwieźć nas na miejsce.

Rusty skinął ponownie.

- Miał to zrobić Tod, ale zawiódł. Byłeś świadkiem jego kary. To samo spotka ciebie, jeśli nie uda ci się tego uczynić.

Naprzeciw Rusty'ego zrobiło się jaśniej. Nie wiedział, czy to powiększył się ogień, czy też księżyc wysunął się zza zasłony chmur. Nie mógł myśleć o niczym innym oprócz tego co widział.

Tłum się uciszył i diabelscy niewolnicy skłonili się przed człowiekiem o gnijącej twarzy. Poparzone ofiary leżały cicho, nawet jęk nie wyrwał się z ich pokiereszowanych ust.

Na dobrze widocznej teraz ziemi pojawiło się mnóstwo białych kwiatów. Robiły wrażenie, jakby przed chwilą spadł tu śnieg. Budziły dreszcz. Każdą roślinkę otaczała wilgotna i migocąca w świetle ognia purpurowa plama.

Mimo sparaliżowania strachem, Rusty od razu je rozpoznał. To były pierwiosnki. Takie same jak ten, który rósł na werandzie La Maison des Fleurs. Nie miał wątpliwości, że są nierozłączną częścią tej samej ZŁEJ SIŁY.

Człowiek, którym bez wątpienia był Reichenbach, nie patrzył na niego zbyt długo. Odwrócił się i przyklęknął na jednym kolanie, patrząc w rozciągającą się nad nim ciemność. Wyciągnął przed siebie ręce, jakby przywoływał siłę, która nim

włada. Mamrotał w nieznanym języku najprawdopodobniej jakieś zaklęcia.

Rusty poczuł, że może się poruszać. Bolały go wszystkie mięśnie, ale nie mógł zostać ani chwili dłużej w tym strasznym miejscu. Odwrócił się, potknął i zaczął biec. Upadł. Jakoś się pozbierał i zaczął na oślep szukać drogi, by biec jak najdalej od tego, co przed chwilą widział.

Nieomal cudem udało mu się znaleźć ścieżkę. Biegł, przedzierając się przez gęste krzaki. Mijane krzewy szarpały jego ubranie, jakby chciały przeszkodzić w tej ucieczce.

Długo biegł w ciemnościach. Był wyczerpany, lecz wytrwale podążał przed siebie, z trudem odnajdując drogę.

W końcu znalazł się na otwartej przestrzeni, oświetlonej nikłym blaskiem księżyca. Falujące trawami pola, opadały w kierunku rwącego strumienia. Przeprowadził się przez niego. Zimna woda trochę go ożywiła. Tuż przed płotem otaczającym zaniedbaną część ogrodu odczuł rosnące w nim przerażenie, ale wiedział, że nie ma innej drogi do Overland Grange.

Ciemności ponownie zgęstniały, ukrywając wszystko dookoła. Nagle uświadomił sobie, że coś znowu nim kieruje. To nie Tod, ale jakaś niewidzialna siła wabiła go tak, jak nieznana piękna muzyka. Próbował się jej przeciwstawić, lecz jego nogi osłabły. Upadł i poczuł pod sobą twardość drewna. Leżał na schodach prowadzących do domu. Chwyił za poręcz i usiłował się zatrzymać, jednakże jego nogi już zaczęły się wspinać

na górę. W kilka sekund pokonał schody. Nie mógł nawet próbować walczyć z tą siłą.

W środku zupełnie stracił poczucie kierunku. Szedł po omacku, nie wiedząc dokąd idzie. Trafił do jakiegoś pokoju. Było w nim wilgotno i zimno. Cofnął się wiedząc, że nie jest sam. Panowała dość przyjemna cisza, w której jednak odczuwał obecność innych. Jednak wkrótce pojawił się ten sam wstrętny odór rozkładającego się ludzkiego ciała.

Stopniowo zaczęło się wokół niego rozjaśniać. Zupełnie nie wiedział, skąd może pochodzić to nikłe światło. Ociekające wilgocią ściany z nieociosanego kamienia tworzyły kwadratowe pomieszczenie z kondygnacją schodów prowadzących do okratowanych drzwi. Nie poznawał tego miejsca. Wydawało mu się ono czymś w rodzaju lochu, a La Maison des Fleurs nie miał niczego takiego. Było to niemożliwe, bo stał na palach wysoko nad ziemią.

Jednak piwnica istniała i im bardziej się jej przyglądał, tym wydawała się być potworniejsza. Ludzie wisieli w niej wzdłuż ścian, przyczepieni do nich kajdankami za nadgarstki. Ich stopy ledwie dotykały nierównej podłogi. Było ich tuzin lub więcej: mężczyźni, kobieta i dziecko. Niektórzy byli odwróceny do ściany, inni do środka lochu. Wiszące ciała ledwie przypominały ludzkie kształty. Krwawe i rozkładające się twarze odsłaniały pogruchotane kości. Trzech mężczyzn nie miało włosów. Ich czaszki krwawiły w miejscu, gdzie zostały zerwane skalpy. Inni mieli otwarte rany w okolicach pachwin. Rusty

zaczął odczuwać nudności. Nie mógł jednak wymiotować. Jego żołądek był pusty.

Tod znajdował się po prawej stronie na końcu rzędu. Miał jeszcze tyle sił, by wydać cichy jęk. Jego oczy szukały Rusty'ego i błagały milcząco: „Uchroń nas przed tym maniakiem.”

W tym miejscu cierpienia i bólu śmierć czyhała w każdym kącie. Wszystkie ofiary ciągle jeszcze żyły. Nawet kobieta z obciętymi piersiami. Jej jedna noga drgała konwulsyjnie, druga leżała odcięta na podłodze.

Inny nieszczęśnik dogorywał na kole tortur. Jego ciało rozciągnięto do tego stopnia, że ręce i nogi zostały wyrwane ze stawów. Część ofiary przykrywał nasiąknięty krwią koc. Była tak bardzo okaleczona, że Rusty nie wiedział, czy to. mężczyzna, czy kobieta. Najstraszniejsze jednak znamiona tortur osłaniało mokre okrycie.

Najdziwniejsze, że umieszczony w tej stalowej konstrukcji człowiek, będący masą gnijącego ciała i połamanych, ociekających krwią kości, ciągle jeszcze żył.

To były ofiary. Pod przeciwległą ścianą stali oprawcy i przyglądali się z rozkoszą swemu dziełu.

Wzrok Rusty'ego przesuwiał się po ich twarzach. Miały podobny wyraz okrucieństwa, choć wszystkie były już rozkładającą się masą. Właściwie były to już tylko resztki gnijącego mięsa, odpadające od gołych czaszek.

Butwiejące ciemne mundury odsłaniały pozbawione mięśni szkielety. Wojskowe czapki ocieniały puste oczodoły. W środku stał wysoki mężczyzna z wąskimi ustami. Rusty domyślał się, że to Reichenbach.

W ciemnościach za miejscem tortur pojawiło się coś białego. Chłopiec wyteżył wzrok i dojrzał mały rozwijający się kwiat. To znowu pierwiosnek. Wyrastał z ziemi między dwoma pękniętymi płytami kamiennymi.

Rusty'ego dobiegł szorstki głos Reichenbacha: „Wojna się jeszcze nie skończyła. Ci ludzie są wrogami Führera i muszą zapłacić za swoje winy. Tak samo jak ty i tobie podobni.”

Rusty przełknął nerwowo ślinę. Próbował zrozumieć, jak w ciągu kilku minut udało się Reichenbachowi wrócić z lasu, zmienić ubranie i jeszcze zabrać ze sobą tych wszystkich biednych ludzi. Jakież to wszystko nielogiczne. Niewidoczne diabelskie siły miały zapewne w tym swój udział. To nic innego, jak tylko ich mroczne cuda.

- Ciała tych ofiar pozostaną tu na zawsze. Ich dusze skazane są na wieczne trwanie w tym domu. Konaniu nie będzie końca. To także mój los. Moi oficerowie odejdą, jeśli nasz władca nie będzie ich potrzebował. Ja zostanę. Jeżeli nie wrócimy tam, skąd nas zabrałeś, wspólnie z tobą będziemy dzielić ten grób gnijących ciał i więzionych dusz - głos Reichenbacha jakby wbijał mu te słowa w pamięć.

Rusty spostrzegł, że wszyscy zniknęli. Usiłował zrozumieć, jak to się stało. Nie mógł się poruszać. Wyglądało to tak, jakby

całe otoczenie w niewyjaśniony sposób zaczęło się kurczyć, stając się mniejsze i mniejsze. Ponownie zapadła ciemność okrywając kurtyną mroku koniec makabrycznego przedstawienia. Widniała w niej jeszcze przez chwilę mała plamka bieli. Znaczyła miejsce, gdzie rósł pierwiosnek.

Leżał na gładkich deskach. Przy każdym ruchu dusił się tumanami kurzu, które się z nich wzbijały. Miał świadomość, że znajduje się w La Maison des Fleurs, ale nie orientował się, w którym pokoju. Był tak osłabiony, że wątpił, czy kiedykolwiek będzie miał tyle siły, żeby wstać. Właściwie nie wiadomo po co miał się śpieszyć. Niebezpieczeństwo minęło i nie powinno szybko wrócić.

Bolała go głowa. Objął ją rękami. Potrzebował czasu do namysłu. To było bardzo skomplikowane. Musiało mieć jakiś związek z dawnymi czasami i gestapo, o którym dowiedział się ostatnio z jakiegoś komunikatu. Tłumaczył tym sobie postać Reichenbacha. Pierwiosnek natomiast to niewątpliwie rodzaj symbolu i ucieleśnienie ZŁA. Ten kwiat obumierał i znowu wracał do życia. Bez niego nie mogliby istnieć pozostali. W jakiś bowiem sposób nimi władał i potrafił przenosić z miejsca na miejsce. Krew, którą wysysała jego cebulka ze zbiorowego grobu w Szwajcarii, utrzymywała pewnie ZŁO przy życiu.

Być może nie był to jeden kwiat, lecz o wiele więcej rosnących w lesie. Przecież wiatr mógł rozsiewać ich nasiona wszędzie.

„Wszystko czego chcą, to wrócić tam, skąd ich zabrano” - pomyślał Rusty. Trzeba ich wysłać na wzgórze Reichenbach i

będziemy wolni. Tylko jak? Sam sobie nie poradzi, a ojciec znowu będzie się śmiał z jego nocnych widziadeł. Ale jeśli dom nie wróci na swoje miejsce... - zatrząsł się na samą myśl o ich losie.

Czekało ich wieczne potępienie i cierpienia. Bezlitośnie zemścili się na Todzie Pennancie. Na pewno nie zawahają się, by to samo uczynić jemu.

Zaczęło świtać. Blask sączył się przez brudne okna, a Rusty ciągle leżał bez ruchu. Usiłował się podnieść, nie mógł jednak się poruszyć. Sparaliżowane ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Ponownie owładnął nim strach. Otworzył usta próbując krzyżeć, ale z jego gardła wydobył się nieartykułowany chrapliwy dźwięk. Może to początek zemsty Reichenbacha, który nie czekając na wypełnienie swych żądań skazał go na wieczne potępienie wśród uwięzionych dusz i gnijących ciał.

Rusty z trudem i obrzydzeniem oddychał stęchłym, nieświeżym powietrzem. Jego ciałem wstrząsały dreszcze gorączki. Musiał się przeziębicić w lesie lub w tej diabelskiej piwnicy. Nie mógł krzyknąć ani się poruszyć. Nie miał sił, aby podpełznąć do drzwi i wydostać się na zewnątrz. Dlaczego nikt nie przychodzi mu na ratunek? Ten dom to ostatnie miejsce, w którym mogliby go szukać!

Czas mijał. Słońce podnosiło się i rzucało roztańczone cienie na przeciwległą ścianę. Rusty obserwował, jak układają się w groteskowe kształty. Przez moment wydawało mu się, że widzi zarys pierwiosnka. Zanim jednak przyjrzał się lepiej,



wszystko zlało się w jedną słoneczną plamę, aby po chwili dać złudzenie skręconego ludzkiego kształtu.

Stopniowo promienie słońca przestały wpadać do pokoju, co świadczyło, że minęło już południe. Zastanawiał się, ile czasu zostało jeszcze do zapadnięcia zmroku. W żaden sposób nie potrafił tego określić. Z przerażeniem myślał o czekającej go nocy. Postrada wtedy ze strachu resztkę zdrowych zmysłów, jaka mu jeszcze została. Wreszcie się poddał. Widocznie takie jest przeznaczenie. Zostanie tu z NIMI na zawsze.

Rozległo się szuranie. Pomyślał, że to pewnie szczury, które zagnieździły się w opuszczonym La Maison des Fleurs. Nigdy wcześniej się ich nie bał, teraz szalał ze strachu. Był bezbronny. Zwierzęta mogły bezkarnie po nim chodzić i zagryźć go na śmierć! To wydawało się jeszcze okrutniejsze niż koniec w rękach Reichenbacha.

Szelest przy drzwiach nasilił się. Był zbyt głośny jak na szczury. Musiało go czynić jakieś większe stworzenie. Rusty zamknął oczy i po raz pierwszy w życiu pragnął umrzeć.

Rozległ się hałas otwieranych drzwi. Ktoś wchodził po schodach. „Reichenbach i jego ofiary wracają” - myśl jak błyskawica przebiegła umęczony mózg Rusty'ego. Bawią się z nim w kotka i myszkę. Udają, że go uwolnili doskonale wiedząc, że nie będzie miał siły na opuszczenie tego miejsca. Teraz przyszli, żeby zabrać go na tortury. Doświadczy potwornych cierpień, po których stanie się jednym z nich.

- Hej, tu jest!

„Oczywiście, że jestem tu. Doskonale wiecie, że nie mam sił do ucieczki” - Rusty nie otwierał oczu, aby nie widzieć twarzy swych prześladowców.

- To na pewno on! Hej, mały! - Wyraźnie usłyszał głos ludzki.

- Hej, obudź się! - ktoś klęknął przy nim i potrząsał jego ramieniem. Wilgotny psi nos dotykał jego policzka. Wreszcie Rusty otworzył oczy. Jak przez mgłę zobaczył policjanta z wilczurem. Pies przypominał Toskę.

Otworzył usta próbując powiedzieć, że nic mu nie jest i żeby zabrali go do domu. Zamiast tego wydobył mu się z gardła zduszony jęk.

- Co mu jest? - zapytał drugi policjant, odciągając owczarka.

- Jest chyba w szoku. Pewnie się też przeziębił. Spędził tutaj całą noc tylko w piżamie. Jest brudny - jakby się wytarzał w błocie. Wezwij karetkę, dzieciak potrzebuje lekarza.

Rusty znowu bezskutecznie próbował coś powiedzieć: „Nie trzeba karetki, zabierzcie mnie do domu, do mamy i taty. Muszę im natychmiast powiedzieć coś ważnego.”

- Nie próbuj mówić, synu. Jesteś bezpieczny. Zapomnij o wszystkim, co ci się przydarzyło.

„Zapomnij” - jak to łatwo powiedzieć! Takiego koszmaru nie można zwyczajnie wymazać z pamięci. Rusty wiedział, że musi ostrzec ojca. On nie zdawał sobie sprawy, gdzie leży źródło niebezpieczeństwa. Kwiat musi być natychmiast przewieziony na wzgórze Reichenbach.

Siły zupełnie go opuściły. Czuł tylko i słyszał wokół siebie ICH. Wiedział, że są wściekli i żądni zemsty. Kryją się w ciemnościach i czekają na stosowną okazję.

## *Rozdział XII*

### KANIBALIZM

„To dziwne - zastanawiał się Rusty - gdzie ONI mogli zniknąć?” Dookoła panowały kompletne, nieprzeniknione ciemności. Czasem wydawało mu się, że gdzieś obok są jacyś ludzie, że coś robią wokół niego, nawet dotykają go delikatnie i troskliwie. Odurzający smród zgnilizny zniknął. Zamiast niego czuł ostry, świeży i jakby skądś znajomy zapach. Zastanawiał się, skąd go zna, może z wizyt u dentysty?

Upłynęło jeszcze kilka chwil, zanim zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje. Mały pokój, jarzeniówki rzucające blade światło pod sufitem, kilka kobiet w białych fartuchach, jakiś mężczyzna. Rusty wiedział, że jego mózg nie funkcjonuje tak jak powinien. Wszystko wydawało mu się rozmyte, niewyraźne i nierzeczywiste.

Powoli rozejrzał się dookoła. Obok łóżka siedzieli matka i ojciec. Przyglądali mu się z niepokojem. Oczywiście - to szpital. Inny trochę niż ten, w którym leżał po operacji wyrostka.

Wtedy była to duża sala z równo pościelonymi rzędami łóżek.  
Teraz - niewielki pokój.

- Richard! - ulga odmalowała się na twarzy Anthei. -  
Dzięki Bogu! Masz zapalenie płuc i wysoką gorączkę. Od tygo-  
dnia byłeś prawie nieprzytomny, majaczyłeś i nikogo nie roz-  
poznawałeś.

Dotknęła ręką czoła syna. Było dużo chłodniejsze, miało  
prawie normalną temperaturę. Nie powiedziała mu, że jeszcze  
dwadzieścia cztery godziny temu walczył o życie i wymknął się  
śmierci w ostatniej chwili. ' Teraz na szczęście kryzys już mi-  
nął.

- Tato, muszę ci coś powiedzieć.

- Słucham - Bruce Parlane pochylił się nad łóżkiem.

- ONI... to ten...

- Nie myśl o żadnych pierwiosnkach. Tutaj jesteś całko-  
wicie bezpieczny...

- Nie! Nikt z nas nie jest bezpieczny! Wiesz dlaczego ONI  
zabili Toda i co z nim potem zrobili?

- Richard - w głosie Anthei zabrzmiała delikatna przyga-  
na. - To wszystko to tylko koszmarny sen. Nie mogłeś się obu-  
dzić, żeby się z niego wyzwolić i wpadłeś w lunatyczny trans.

- To nie był żaden trans! Tod przyszedł i zabrał mnie ze  
sobą, bo ONI tak chcieli!

- Posłuchaj - przerwała zniecierpliwiona. Poczwała, że Bru-  
ce ostrzegawczo ścisnął jej rękę.

- Pozwólmy mu mówić co chce - szepnął. - Prędzej czy  
później i tak zapomni o tych bzdurach.

- Tato! - głos chłopca drżał. - Wiesz doskonale, co się dzieje w naszym starym domu. To nie są łagodne duszki, którymi straszysz dzieci. ONI są naprawdę niebezpieczni. Reichenbach był mordercą i jego duch ciągle tu krąży. Nie wiem, jak to się dzieje, ale ten pierwiosnek nasącza się pozostałościami Reichenbacha z grobu i sprowadza go ponownie do naszego świata. Razem z nim reinkarnują się jego ofiary. On jest rozwścieczony, bo jego dom przeniesiono ze Szwajcarii. Nie wiem, co byłoby, gdyby cebulka tego kwiatu tam pozostała. Może i Reichenbach zostałby w Szwajcarii. Jednak teraz ONI są tutaj, w Anglii. Chcą wrócić na wzgórze Reichenbach. Nie możemy z nimi walczyć. Są zbyt potężni nawet wobec egzorcyzmów. Pamiętaj, co się stało z wikarym? Ukarzą nas, jeżeli nie będziemy im posłuszni. Tato! Błagam, odwieź ten dom do Szwajcarii!

Bruce i Anthea wymienili spojrzenia. Niewiarygodne! Wydawałoby się, że to brednie dziecka wycieńczonego chorobą. A jednak układały się w logiczną całość. Fakty zaczęły łączyć się ze sobą: krwawe plamy wokół cebulki pierwiosnka, niewidzialna diabelska siła, która zabiła księdza, pies zatłuczony batem. Trudno było dłużej odsuwać od siebie to wyjaśnienie.

- Dzieciak ma rację! - Bruce ścisnął mocno ramię Anthei, w jego głosie brzmiała powaga.

- Nie możemy znaleźć w Anglii kupca, więc będziemy musieli sprzedać dom za granicą. Dlaczego by nie w Szwajcarii? Oni tam protestują, że bogaci Amerykanie wykupują im

zabytki. Może będą chcieli jeden z nich odzyskać.

- To dobry pomysł - przytaknęła Anthea. W duchu obawiała się że stara budowla nie wytrzyma jeszcze jednej rozbiórki i długiego transportu.

- Jutro rano zadzwonię do Kinnertona - przed oczami Bruce'a stanęła twarz przeciętnie inteligentnego kolegi ze szkoły.

- Każę mu wycofać ogłoszenia z „Country Life.” Potem wysłę depezę do najlepszego agenta w Genewie. Na pewno znajdzie kupca w ciągu tygodnia. Jak mogłem wcześniej nie wpaść na ten pomysł? Do jesieni dom będzie stał gdzieś na wybrzeżu Jeziora Genewskiego.

- Ale tato! - w głosie Rusty'ego brzmiała desperacja. - To nie wystarczy. Dom musi wrócić na wzgórze Reichenbach.

- Hmm... Bruce zastanowił się. Nie można sprostać wszystkim wymaganiom nawet jeśli stawiają je nadprzyrodzone siły. Nie powinno być z tym problemu, choć to kosztowne. Jesteśmy właścicielami tego kawałka ziemi na wzgórzu Reichenbach. Możemy postawić tam dom i dopiero wtedy go sprzedać. Ale nie przewiozę domu do Szwajcarii, dopóki nie będę pewny, że ktoś go kupi. Zbyt wiele kapitału ulokowałem w La Maison des Fleurs. A jeśli nie będzie chętnego, to upiory będą musiały pozostać tam, gdzie są i czy im się to podoba, czy też nie.

- ONI nie będą czekać tato.

- Będą musieli!

- Bruce - Anthea usiłowała dać mu porozumiewawczy znak oczami - Richard jest chory...

- Musisz znaleźć kupca! - Rusty krzyczał ze łzami w oczach.

- Zrobię wszystko, co będę mógł. Obiecuję.

Pół godziny później rodzice opuścili szpitalny pokój. Rusty czuł pewną ulgę. Pałace się przez całą noc światło i dyżurująca obok pielęgniarka nie stanowiły żadnej obrony przed diabelskimi siłami. Jednak czuł się bezpieczny. Zrobił wszystko co w jego mocy, aby spełnić żądanie Reichenbacha.

Było zimno i wilgotno, gęsta mgła unosiła się tuż nad powierzchnią bagien. Ziąb przenikał Rusty'ego do szpiku kości. Widoczność była ograniczona do zaledwie kilku metrów. Nie mógł zorientować się, w jakiej okolicy się znajduje. Opary miały stęchlą, dziwnie znajomą woń. Taki zapach bywa czasem w starych budowlach, to zapach minionych stuleci.

Nie miał pojęcia, jak znalazł się w tym miejscu. Jakby nieznane siły przeniosły go tutaj kiedy spał i porzuciły w środku mokradel. Tuż obok bulgotały i przelewały się bezdenne otchłanie pożądliwie czekające na ofiarę. Spojrzał na siebie. Ubrany był w poplamione i poszarpane resztki jakiegoś stroju. Prześwitujące spod niego ciało wydawało mu się bardziej muskularne i tęgie niż zwykle. Nagle uświadomił sobie straszliwą rzecz: to nie jest jego własne ciało! Jego jaźń uwięziona została w ciele innej osoby. Prerażony nie mógł zrozumieć, jak i dlaczego to się stało.



Co pozostawało mu czynić w tej sytuacji? Stać tu w niekończoność, czy iść naprzód, narażając się po kilku krokach na śmierć w moczarach? Przed sobą zauważył wąziutką ścieżkę wyznaczoną śladami racic zwierzęcych. Nie miało znaczenia, czy to była sarna, czy sam diabeł. Skoro jakieś stworzenie przeszło tędy bezpiecznie, to i on przejdzie.

Zaczął iść. Kłęby mgły wokół niego gęstniały coraz bardziej. Nie rozwiewał ich żaden podmuch wiatru. Wyteżał wzrok, aby nie zgubić ścieżki. Zwierzęta, które je wydeptały, musiały dokonać tego metodą prób i błędów. Uczyły się jak omijać niebezpieczne miejsca, obserwując bezradnie tonących towarzyszy. Musiało to trwać lata, zanim znalazły bezpieczne przejście.

Zatrzymał się na moment. Oczy piekły go od ciągłego wypatrywania, ale szarość spowijała wszystko. Nie można było nawet określić, jaka jest pora dnia. Chyba wieczór. Czy idzie we właściwym kierunku? Może zagłębia się coraz bardziej w bagna? Obliznął spieczone usta. Skurczony żołądek sygnalizował głód.

Bagna mają swój specyficzny zapach. Wydzielające się z nich gazy dają mdłą, duszącą woń. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek promienie słońca przedzierają się przez te kłęby oparów. Coś jednak zamajaczyło we mgle. Drewniane, strome schody prowadziły na werandę. Znał ten budynek. To La Maison des Fleurs tylko dużo nowszy, bez znaków czasu na drewnianych ścianach.

Ścieżka prowadziła prosto do schodów wejściowych, jakby stworzenia, które ją wydeptały, schodziły się tu na noc w

poszukiwaniu schronienia. Ta posiadłość Reichenbachów napawała go trwogą. Rozejrzył się. Ścieżka nie miała żadnych odgałęzień omijających dom. Obok bulgotało bagno. Mógł ewentualnie ryzykować powrót po własnych śladach, ale dokąd?

Ochłodziło się znacznie. Szarość przechodziła wolno w czerń. Zapadał zmrok. Wąski szlak ginął mu z oczu.

Usłyszał hałas otwieranych drzwi. Siłą woli powstrzymał się od panicznej ucieczki. Na progu stał mężczyzna. Nikłe światło sączyło się z holu na zewnątrz. Nie, tylko nie ten diabeł z gnijącą twarzą! Przeżony chłopiec nie mógł wydobyć z siebie głosu. Na szczęście to był ktoś inny. Choć podobnie zbudowany, to jednak wyglądał na wysokiego i szczupłego, twarz miał starą pokrytą zmarszczkami, ale ludzką. - Przenikliwie, zimne oczy przyglądały się uważnie Rusty'emu.

- Zgubiłeś się chłopcze - to było stwierdzenie a nie pytanie. - Masz szczęście, że udało ci się tutaj dotrzeć.

Rusty skinął głową w milczeniu.

- Skąd idziesz?

- Nie wiem.

- Zresztą to nie ma znaczenia - wąskie wargi mężczyzny rozciągnęły się w grymasie, który miał być uśmiechem. - Na pewno jesteś głodny. Wejdź do środka.

Rusty poruszył się jakby bezwiednie. „Nie idź! - szeptał mu jakiś wewnętrzny głos. Uciekaj!” Powoli jednak zaczął wspinąć

się po schodach. Dyszał ciężko i czuł suchość w ustach.

Mężczyzna odwrócił się i wszedł do środka, pokazując mu drogę. Drzwi zatrzasnęły się. - „Za późno! Jesteś w pułapce” - przeszło mu przez myśl.

Przedpokój był przestronny. Pachniało świeżo ściętym dębowym drzewem. Weszli do dużej kuchni. Zbity z desek stół i dwa stolki, okopcony piec w rogu, suche drewno trzaskające w kominku. Rusty siedział przy stole, obserwując jak mężczyzna krząta się przygotowując posiłek. Intrygował go jego strój: na sukienną kapotę narzucone miał coś w stylu kamizelki niedbale pozszywanej ze skór zwierzęcych. Drewniane talerze stały przygotowane tuż obok pieca.

Mężczyzna nałożył na nie jakąś dymiącą jarzynową mieszanekę i sięgnął do piekarnika. Z otwartych drzwiczek pieca buchnął żar. Nieznajomy wyłożył duże kawałki mięsa na półmisek i polał je zawiesistym, brunatno-czerwonym sosem. Aromat był zachęcający. Chłopiec na moment zapomniał o swoich obawach. Głód był silniejszy niż strach. Usiłował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio miał coś w ustach. Jednak nie mógł sięgnąć pamięcią dalej niż zaledwie kilka godzin wstecz. Gospodarz podał mu łyżkę i nóż do krojenia mięsa, a sam usiadł po przeciwnej stronie stołu.

Rusty rzucił się na jedzenie. Mięso wydawało mu się wybornie przyrządzone, ze specyficznym smakiem, trochę przypominające wieprzowinę, ale dużo od niej delikatniejsze. Nasyciwszy pierwszy głód, chłopiec przypomniał sobie, gdzie

się znajduje. Zamarły z przerażenia wpatrywał się w męzczyzną kończącego posiłek.

- Oczywiście głupotą byłoby próbować przedrzeć się przez bagna w nocy. - Nawet w dzień jest wystarczająco niebezpiecznie.

Chłopiec przytaknął. Spojrzenie błękitnych, wyblakłych oczu przykuwało go do miejsca. Gdzieś w głębi domu trzasnęła okiennica. Rozległ się przeciągły jęk. „To wiatr! To na pewno wiatr!” - usiłował przekonać sam siebie. Może rozwieje mgłę i rano będzie można wyjść stąd bezpiecznie.

- Bagna pochłonęły już wiele istnień. Głównie zwierzęta. Ludzie rzadko się tu zapuszczają - gospodarz ciągle przyglądał mu się uważnie. - Jesteś zmęczony, chłopcze. Chodź pokażę ci twój pokój. Rano porozmawiamy.

Mieszane uczucia targały Rustym. - „Ucieknę stąd, jak tylko się rozwidni. Nie, nie uda mi się już nigdy opuścić tego domu. Uprzejmy jest ten stary człowiek. Nie, on jest niebezpieczny, to ten męczyzna z gnijącą twarzą. Tak pewnie wyglądał przed śmiercią”.

Wyszli z kuchni, minęli kilka sąsiednich pokoi i zeszli kilka stopni w dół. Męczyzna zatrzymał się przed masywnymi, obitymi żelazem drzwiami. Wyjął z kieszeni klucz i otworzył je. Usunęły się ze zgrzytem, ukazując długi, wąski pokój. U sufitu kołysała się lampa naftowa, rzucając na ściany majaczące cienie. Rusty przypomniał sobie ten pokój. Był tu już kiedyś

bardzo dawno temu. Wtedy przez zakurzone szyby wpadały promienie słońca malując wymyślne kształty. Teraz okno zabite było deskami, które kryły okropności tego pokoju przed światem zewnętrznym. Przed oczami chłopca widniał dowód jak okrutny i bestialski potrafi być człowiek wobec innych ludzi.

Rusty zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie podtrzymał go żelazny uścisk nieznajomego.

Jedne ciała, które zachowały ludzkie kształty, wisiały na ścianach ponadziewane na haki. Niektóre z nich toczyły już robaki, tu i ówdzie pełzały po nich białe larwy. Na długim kamiennym stole pod oknem piętrzyła się płatanina poobgryzanych ludzkich kończyn i korpusów. Na jednym końcu pomieszczenia zgromadzony był stos ludzkich głów. W zmasakrowanych twarzach odzwierciedlało się jeszcze zwierzęce przeobrażenie. Wytrzeszczone szklane oczy świadczyły o okrucieństwie przeżytym przed śmiercią. Dolne, całkiem już przegniłe warstwy świeciły bielą czaszek. Zwały ludzkiej padliny wydziełały obrzydliwy smród.

Rusty poczuł mdłości. Zakręciło mu się w głowie i upadł na podłogę. Skrył głowę w ramionach, chcąc obudzić się z koszmarnego snu. To potworne złudzenie! To nie może być rzeczywistość! Usłyszał, jak mężczyzna wyszedł z pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi. Ten dom! Ten człowiek! Tu znajduje się początek wszystkiego! Niewiadomy nakaz zmusił go, aby podniósł głowę i jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Jeszcze jeden pusty hak w rogu pokoju wydawał się czekać na kolejną ofiarę.

W ustach czuł jeszcze posmak niedawnej kolacji. To dziwne mięso... Nie! Odpędzał od siebie natrętną, okrutną myśl. Gwałtowne wymioty wstrząsnęły jego ciałem. Obrzydliwy odór potęgował się. Zemdlął.

- Powiedzieli, że musi zostać w szpitalu jeszcze kilka dni - Bruce Parlane odłożył słuchawkę telefonu i wrócił do stołu. Pochylił się nad rozpoczętym śniadaniem, próbując unikać pytającego wzroku żony.

- Dlaczego? Wczoraj mówili, że dziś go wypuszczą.

- Źle się czuł w nocy. Ciągle jest jeszcze słaby. Choroba miewa niespodziewane nawroty. Chcą go mieć pod obserwacją do środy. Powiedzieli, że możemy odwiedzić Rusty'ego po południu.

Zapadła krótka chwila ciszy. W holu nagle zadzwieczał telefon.

- Odbiorę - Anthea zerwała się i wybiegła z pokoju. Wróciła po kilku sekundach. - Do ciebie. Prywatna rozmowa z Genewy. Pośrednik nieruchomości.

Podchodząc do telefonu, Bruce czuł się jak student, czekający na ogłoszenie wyników ważnego egzaminu. Anthea nasłuchiwała w napięciu.

- ... Rozumiem... Nie, to niemożliwe!

Brzmienie głosu męża mówiło, że sprawy nie układają się pomyślnie. Czyżby nie było kupców? Nie, agent nie telefonowałby do Anglii, żeby przekazać tylko to. Zresztą dopiero niedawno dali mu tę sprawę do załatwienia.

Bruce wrócił do pokoju. Zły i rozczarowany usiadł ciężko w fotelu. Anthea cierpliwie czekała, aż mąż zbierze myśli i przekaże jej tę złą wiadomość.

- Nie uwierzysz! - drżącymi rękoma wyciągnął papierosa.  
- Jakiś bogaty klient zgodził się na żadaną sumę i nagle zbankrutował?

- O Boże! Chciałbym, żeby tak było! - zaśmiał się nerwowo, próbując jakoś rozładować własne napięcie. - Moglibyśmy przynajmniej czekać na inną ofertę.

- Co to znaczy?

- Agent zamieścił kilka ogłoszeń w prasie. Zaczęły napływać oferty. I wtedy zadzwonił ktoś z Ministerstwa Ochrony Środowiska. Wydali rządowy zakaz. Nie tylko nie możemy wystawić tego domu na sprzedaż w Szwajcarii, lecz również nie możemy w ogóle go tam przetransportować! Krótko mówiąc, cieszą się, że się pozbyli kłopotu i nie zamierzają z powrotem brać go na siebie.

Anthea zbladła.

## *Rozdział XIII*

### POTĘGA KWIATU

- Co powiemy Richardowi? - Anthea naląła sobie jeszcze kawy, żeby zająć czymś ręce. Napój był gorzki i zimny.

- Coś wymyślimy. Nie musi znać prawdy.

- Siła, która panuje w tym domu, będzie znała prawdę. Jej nie okłamiesz.

- Może Rusty to zrobi, jeśli sam nie będzie wiedział.

- Wątpię. To nie są żarty, Bruce. Nie możemy ryzykować, jeśli sprawa dotyczy chłopca. Może powinniśmy się stąd wyprowadzić. Kupić inny dom, jak najdalej stąd. Może za granicą?

- Mówiłem ci, że ulokowałem większość swego kapitału w tym domu. Zresztą to zbyt długo by trwało, zanim byśmy się na coś zdecydowali. Musimy znaleźć szybko jakieś inne rozwiązanie.

- Jakie?

- Do diabła! Sam jeszcze nie wiem. Daj mi się zastanowić!

- Po południu idziemy do Richarda. Co będzie, jeżeli zapyta?



- To mu powiemy. Właściwie on ma większe możliwości negocjowania z tymi duchami niż my. Będzie musiał im powiedzieć, że robimy co w naszej mocy i nie możemy zrobić nic więcej.

- Modłę się, żeby zostawili go w spokoju. Już wystarczająco dużo krzywdy mu wyrządzili.

Jeszcze przed wyjazdem do szpitala Bruce podjął decyzję. Pomysł był banalnie prosty, wymagał tylko odrobinę odwagi. Należy podpalić La Maison des Fleurs. Budowla jest przecież drewniana, wystarczy, żeby się zajęła, a żadna siła nie zdoła jej ugasić. Zostanie po niej tylko kupka popiołu, kilka gwoździ i śrub. Firma ubezpieczeniowa wypłaci mu odszkodowanie. Nie musi nawet próbować sprzedawać domu. Zaciągnął się papierosem z satysfakcją. Zrobi to w przyszły piątek wieczorem przy okazji wyjazdu do Banbury na spotkanie z kolejnym pośrednikiem. Zastanawiał się; czy lepiej wykonać plan przed wyjazdem, czy też dopiero w drodze powrotnej. Przeważała pierwsza wersja. Zanim zaalarmują straż pożarną, on już będzie w Banbury. Doskonałe alibi, choć i tak nikt nie będzie go podejrzał.

- Wyglądasz na bardzo zadowolonego z siebie? - Anthea przyglądała się mężowi z uwagą. Znała ten jego wyraz twarzy. Podobnie wyglądał, gdy udało się mu dobić korzystnego targu. Widać to było nawet po sposobie, w jaki trzymał kierownicę: spokojnie i pewnie.

Bruce nie odrywał oczu od szosy. Zmienił bieg, zwolnił i wziął zakręt. Udawał, że jest zajęty prowadzeniem wozu, aby wykręcić się od odpowiedzi.

- W porządku. Wiem, że masz plan, który wydaje ci się świetny i nie chcesz mi go zdradzić, żeby nie było ci głupio, gdy się nie powiedzie. Znam cię zbyt dobrze. - Anthea próbowała obrócić swój niepokój w żart.

- Tylko na miłość boską, bądź ostrożny. ONI zabili Pinchbecka, bo próbował ich wykurzyć. Nie zawahają się przed niczym, jeżeli ICH rozdrażnisz.

- Będę ostrożny - obiecał.

W dziesięć minut później dojechali do szpitala. Weszli przez dwuskrzydłowe, oszklone drzwi. W środku było gorąco i duszno, panował ostry zapach po dezynfekcji. Drzwi do dyżurki były szeroko otwarte, jak gdyby siostra oddziałowa na kogoś czekała. Podniosła się na ich widok.

- Dzień dobry - na twarzy pielęgniarki odmalował się rytynowy, uspokajający uśmiech. W ciągu wielu lat pracy nauczyła się, że nie należy okazywać żadnych uczuć przy rozmowie z krewnymi pacjenta o jego stanie zdrowia. - Doktor Perry chciałby z państwem porozmawiać.

Anthea zdenerwowała się. Poczowała bolesny skurcz żołądka.

- Co z Richardem? - intuicyjnie przeczuwała, że coś jest nie w porządku. Podobny wyraz twarzy i ton głosu miała pielęgniarka, kiedy kilka lat temu przyszła do szpitala odwiedzić matkę, a w kilka minut później lekarz powiedział jej, że matka nie żyje.

- Pan doktor wszystko państwu wyjaśni. - Pielęgniarka otworzyła drzwi gabinetu z napisem „DR PERRY” i spieszenie się wycofała.

Lekarz był niedużym, żwawym człowiekiem w nieokreślonym wieku. Równie dobrze mógł mieć czterdzieści, jak i pięćdziesiąt lat.

- Dziękuję, siostró - wskazał Parlane'om fotele. Usiedli spięci. Doktor Perry zwlekał jeszcze chwilę, przeglądając dokumentację.

- Właśnie przed chwilą dokładnie zbadalem chłopca. Fizycznie wszystko jest w porządku, jest jedynie trochę osłabiony po chorobie. Właściwie byłoby wskazane, żebyście zabrali go już państwo do domu. Szybciej dojdzie do siebie w znajomym otoczeniu.

- A co nie jest w porządku? - Anthea odruchowo zacisnęła pięści i przybrała wyczekującą pozycję.

- W zasadzie trudno powiedzieć - lekarz unikał jej wzroku. - Obudził się w środku nocy z krzykiem i zaczął wymiotować. Dziś cały dzień nic nie jadł i nawet patrzeć nie chce na jedzenie. Myślę, więc, że to problem natury psychologicznej. Koszmary nocne są powszechne wśród młodych ludzi. Chłopak potrzebuje spokoju i odpoczynku. Wszystko inne powinno samo minąć. Na razie jednak przepiszę łagodne środki nasenne i polecałbym zmianę otoczenia na jakiś czas. Może wyjazd do rodziny lub znajomych.

- Myślałem już o tym - Bruce uśmiechnął się ze zrozumieniem. - Może w przyszłym tygodniu. - „Po tym, jak zniszczę ten dom” - dodał w myślach.

- Urlop dobrze zrobi nam wszystkim - powiedział głośno.

- Świetnie - lekarz odprężył się. Kolejny problem był rozwiązany. A przynajmniej odpowiedzialność za pacjenta

zepchnięta na kogoś innego. - Jestem pewien, że dolegliwości Richarda są tylko tymczasowe. Mogą go państwo już dziś zabrać do domu.

Rusty ubrany i gotowy do wyjścia siedział na łóżku. Był blady i wymizerowany. Przeżyty koszmar zostawił na jego twarzy wyraźne piętno.

- Jedziemy do domu - Anthea pocałowała go na powitanie i pomogła wstać.

- Sprzedałeś dom, tato? - pytanie było bezpośrednie i niespodziewane.

- Eeee... niezupełnie... to znaczy jeszcze nie - Parlane zmieszał się.

- Ty po prostu nie chcesz go sprzedać! - w głosie chłopca brzmiało oskarżenie.

- Nie, nie. Sprzedam go na pewno. Tylko... rząd szwajcarski zabronił postawienia tego domu na terytorium swego kraju.

Rusty zamknął oczy i przytulił się do Anthei.

- Chodźmy do domu - powiedziała cicho.

W drodze powrotnej do domu panowała śmiertelna cisza. Rusty siedział na tylnym siedzeniu samochodu z głową opartą o ramię Anthei. Po jego szybkim oddechu i naprężeniu ciała matka wiedziała, jak bardzo jest spięty. Cholerny rząd szwajcarski! Nawet gdyby była jakaś możliwość odwołania tej decyzji, zajęłoby to zapewne długie tygodnie lub nawet miesiące. Jedyna nadzieja w tym tajemniczym zamiśle Bruce'a. Oby mu się powiodło!

- To się zdarzyło znowu ostatniej nocy - powiedział Rusty później przy kolacji.

- Spróbuj o tym zapomnieć. Nie mów więcej na ten temat.
- Muszę, mam. Ty musisz o tym wiedzieć.
- Dobrze, więc mów. Tylko pamiętaj, że opowiadasz mi swój zły sen.

- Sen, ale bardzo rzeczywisty. To było jakby oddzielenie mojej duszy od ciała: ciało zostało na szpitalnym łóżku, a dusza przeniosła się gdzieś na bagna. Zupełnie nie wiedziałem, gdzie się znajduje. Była gęsta mgła. I ten dom tam stał. Dokładnie taki sam jak dziś tylko dużo nowszy. Był też ten mężczyzna, jego twarz wyglądała jeszcze normalnie, nie gniła... Pokój pełen zmasakrowanych trupów... - głos mu się załamał.

Anthea przygarnęła go do siebie.

- Spokojnie...
- On jadł ludzkie mięso i mnie nim poczęstował. Mam! Ciągłe jeszcze czuję ten smak w ustach!

- To tylko wstrętne myśli. Ojciec ma jakiś plan pozbycia się tego koszmaru na zawsze.

- Jaki? - Rusty był wzburzony i przerażony. - Ojciec powiedział, że nie może odwieźć tego domu z powrotem do Szwajcarii. Nic innego ich nie zadowoli. Nie możemy z nimi walczyć, są zbyt potężni i okrutni. Skończy się to tak, jak egzorcyzmy. Nawet gdybyśmy wyjechali, to wytropią nas wszędzie.

- Nie wiem, co ojciec zamierza zrobić - próbowała go przekonać.

- Myślę, że możemy mu ufać. Sam wiesz, że to nie jest człowiek, który podejmuje nieprzemysłane decyzje. - Sama

jednak nie wierzyła w to, co mówi. Żadna siła ludzka nie mogła się równać z potęgą Diabła.

Piątkowy wieczór był chłodny i deszczowy. Wspólny podwieczorek był dla całej trójki ciężką próbą. Siedzieli w milczeniu przy herbacie. Anthea i Rusty pogrążali się w domysłach. „Cokolwiek ma zamiar zrobić, to zrobi to dzisiaj. Coś głupiego, co tylko podsyci ich gniew i sprowadzi na nas zemstę”. Oboje błagali w myślach, by zaniechał wykonania swego planu.

Bruce odsunął swój talerz zapalił papierosa. Zadrżała mu ręka, gdy wkładał pudełko zapalek do kieszeni. Przypomniało mu się jakieś bzdurne hasło reklamowe: „Jedna zapalka, a ile korzyści”! Teraz mieć miało ono swój odpowiednik w rzeczywistości. Kawałek drewna z odrobiną siarki na końcu powinien rozwiązać ostatecznie problem tego piekielnego domu i kolejnych wcieleń Reichenbacha.

Było jeszcze zbyt wcześnie, żeby wyruszyć. Szukając dla siebie jakiegoś zajęcia, Parlane wszedł do swojego gabinetu. Usiadł przy biurku i zaczął bezmyślnie przeglądać leżące na nim papiery. Nie miał zbyt wiele pracy od czasu tej niefortunnej w skutkach transakcji z Pennantem. Al ostatnio zniknął z rynku handlu nieruchomościami. Nikt nie wiedział, co się z nim dzieje, ale nikt się temu nie dziwił. Po tym wszystkim, co go spotkało... Specjalnie głośno szeleścił aktami. Sam jednak nie wierzył, że uda się mu kogokolwiek oszukać. W przyległych pokojach panowała grobowa cisza. Anthea i Rusty zamarli w oczekiwaniu.

O dwudziestej trzydzięci Bruce po raz ostatni głośno zatrzaskał szufladę tak aby pozostali to usłyszeli. Wziął wszystkie dokumenty dotyczące Domu Kwiatów, które miał przekazać pośrednikowi. Marzył, że już niedługo będzie mógł wręczyć je ludziom w agencji ubezpieczeniowej. Na pewno będą chcieli przejrzeć je przed wypłatą odszkodowania.

- Wrócę późno - rzucił w kierunku sąsiedniego pokoju. Wziął płaszcz z wieszaka, próbując nadać swej twarzy jak najbardziej obojętny wyraz.

Wsiadł do samochodu i ruszył. Po niedługiej chwili reflektory samochodu wyłowiły z mroku bramę wjazdową do La Maison des Fleurs. Za bramą panowały nieprzeniknione, złowrogie ciemności. Czuł się jak przewoźnik stojący nad brzegiem Styksu. Zawrócił i ustawił samochód za żywopłotem tak, aby ukryć go przed oczami ewentualnego przechodnia. Wsiadł. Cicho zatrzaskał za sobą drzwiczki i ruszył pomału w stronę domu. W wilgotnej dłoni ścisnął pudełko zapalek.

Rusty był spięty i niespokojny. Wiedział, że nawet najdoskonalszy plan ojca nie może się powieść. Anthea udawała, że jest czymś bardzo zajęta w kuchni. Wszyscy dziś próbowali nawzajem się oszukać.

Poszedł na górę do swojego pokoju i zastanawiał się, jak spędzić czas. Czytanie przestało ostatnio sprawiać mu przyjemność. W zasadzie trudno mu było skoncentrować się na czymkolwiek. Usiadł jednak nad książką. Musi brać udział w tym kiepskim przedstawieniu.

- Chodź ze mną! Potrzebujemy cię! Natychmiast! Rusty podniósł głowę. Nie było żadnych sygnałów poprzedzających ICH. To nie ta pora. Z reguły przychodzili w nocy!

Teraz był tylko Tod. Wymizerowane rysy, wychudłe ciało, oskalpowana czaszka zamiast blond czupryny.

- Szybko! Twój ojciec chce zrobić straszne głupstwo! Musisz go powstrzymać, zanim będzie za późno, zanim Reichenbach się dowie!

Miejsce przerażenia, wywołane pojawieniem się Toda, zajął strach o ojca.

- Wiedziałem, że on jedzie do tego domu, ale nawet przez myśl mi nie przychodziło, co on zamierza zrobić. Zresztą nie powstrzymałbym go i tak!

- Chce spalić dom i wierzy, że w ten sposób się nas pozbędzie. Musisz tam pobiec i przeszkodzić mu. Pośpiesz się!

Rusty znowu został sam. Przeważony i zaskoczony zastanawiał się, co począć. Może jest już za późno? Wybiegł na korytarz. Na schodach zatrzymał się, nasłuchując, czy matka jest jeszcze w kuchni. Dźwięki potrącanych naczyń i szum płynącej wody uspokoiły się nieco. Na palcach wyszedł na dwór.

Na zewnątrz było ciemno, chłodno i siąpił drobny deszcz. Szkoda, że nie wziął płaszcza, nie miał jednak czasu, by wrócić po niego do domu. Zaczął biec, łudził się nadzieją, że może coś zatrzymało ojca po drodze. Mało prawdopodobne. Wciąż jeszcze osłabiony po przebytej chorobie, musiał zwolnić.



Resztkami sił dobrnął do bramy La Maison des Fleures.

W mroku wpadł na zaparkowany w krzakach samochód ojca.

Chwilowa ulga, nigdzie nie było jeszcze widać pożaru. Podszedł bliżej i w odległości jakichś trzydziestu metrów od siebie zauważył nikły strumień światła latarki. Zdążył! Ojciec był dopiero na werandzie.

Bruce Parlane zapalił latarkę dopiero przed drzwiami Domu Kwiatów. Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach i wilgotnieją dłonie. Wzdrygnął się, słysząc jakiś szelest wewnątrz. Tó na pewno szczur. Musi być ich mnóstwo w tym starym budynku. Spłoną wszystkie żywcem, piszcząc i skwiercząc w płomieniach. Należało teraz wejść do środka i podłożyć ogień. W środku rozprzestrzeni się szybko i długo nie będzie widoczny na zewnątrz. Żadna straż pożarna nie będzie w stanie nic zdziałać.

Sięgnął ręką do kieszeni po klucz, wtem coś przyciągnęło jego wzrok. Jaskrawa biała plamka na ziemi tuż przy schodach. Spojrzał raz jeszcze. Pierwiosnek! Jak mógł o tym zapomnieć. To było ogniwo łączące świat zmarłych z ich światem, generator diabelskiej mocy. Oslupiały wpatrywał się w kwiat. Wyglądał tak niewinnie i świeżo.

Myśli jak zwariowane gonily w jego mózgu. Bez niego Reichenbach i jego ofiary nie miałyby możliwości powrotu w świat ludzi. To przecież była przyczyna ich ciągłych reinkarnacji. Wystarczyło wyrwać z ziemi kwiat i zniszczyć go. ONI muszą

zginać razem z nim. Wówczas nie będzie musiał podpalać domu.

Zszedł po schodach i jakby bezwolnie zaczął zbliżać się do kwiatu, przyciągany jego nadprzyrodzoną siłą. Nie zauważył, kiedy zapalki wysunęły mu się z dłoni. Jeszcze kilka kroków. Światło latarki wydawało się nikłe i mdłe w porównaniu z nieskazitelną bielą rośliny promieniującą mlecznym blaskiem. Zgasił latarkę. Krąg jasności wokół kwiatu był dostatecznie przenikliwy. „Zniszczę was, tak jak wy zniszczyliście Pennantów i innych” - postanowił.

- Stój!

Zaskoczony Parlane stanął jak wryty. Ciągłe nie mógł odebrać oczu od pierwszaka, choć zdawał sobie sprawę, że dźwięk dochodzi skądś z tyłu. Był to nienaturalnie wysoki, gniewny i zdeterminowany chłopięcy głos. Jeżeli to jeden z nich, to musi natychmiast zniszczyć kwiat, aby odebrać im moc. Rzucił się naprzód. Liście rośliny były lodowato zimne. Wykopać cebulkę! Zaczął ryc ziemię rękami, raniąc sobie przy tym palce.

- Stój!

Czyjaś ręka złapała go za ramię. Dopiero wtedy odwrócił się.

- Tato! Nie, nie wiesz co robisz!

- Rusty! - Dopiero teraz rozpoznał syna. Chłopiec był bladej, spocony i drżący.

- Co ty tu robisz, do cholery?! Powinieneś leżeć w łóżku. Stłukę cię na kwaśne jabłko!

- Nie dbam o to, co mi zrobisz! - Bruce nigdy nie słyszał

jeszcze syna mówiącego w ten sposób. - Jeśli chociaż dotkniesz tego kwiatu czy spróbujesz podpalić dom, zabijają nas tak, jak księzca Pinchbecka.

- Ty głupku! Bez tego pierwszaka oni są bezsilni! Zginą razem z nim! - odwrócił się gwałtownie i próbował dosięgnąć bielejącą plamę.

Rusty uderzył ojca z siłą, jakiej nikt by się po nim nie spodziewał. Bruce zachwiał się i zatoczył, próbując utrzymać równowagę. Krwawe plamy zawirowały mu przed oczami. Nikt go nie powstrzyma! Nawet własny syn. Dzieciak jest jeszcze chory.

Parlane wymierzył chłopakowi ostry policzek. Kłaśnięcie rozległo się w mroku. Przez moment poczuł się zawstydzony. Nigdy przedtem nie uderzył syna.

Chłopak skulił się i chwycił ręką za rozciętą, krwawiącą wargę.

- Ostrzegalem cię, tato! - oszołomiony Bruce nie zdążył uchylić się od następnego ciosu. Pięść syna trafiła prosto w splot słoneczny. Zgiął się wpół z trudem chwytając oddech. Kolejne uderzenie w szczękę zważyło go z nóg. Rusty skoczył na ojca okładając go w zapamiętaniu.

Bruce osłaniał twarz przed razami, bojąc się walczyć, by nie zrobić krzywdy synowi. Udało mu się wstać. Zaczął cofać się ku domowi. Rusty zebrał resztkę sił i wymierzył cios w głowę. Parlane poleciał w tył i uderzył potylicą o ścianę domu. W ostatnim momencie świadomości zdał sobie sprawę, że uderzył głową w miedzianą tabliczkę przykręconą w tym miejscu.

Ciepły strumień własnej krwi spływał mu po plecach. Zamaja-  
czyły mu w pamięci fragmenty wiersza: „Taniec śmierci...”  
Zemdlał.

Rusty, dysząc ciężko, stał nad leżącym, skulonym ciałem  
ojca. Gniew zastąpiły wyrzuty sumienia i strach o ojca. Jak  
mógł zrobić coś takiego?

- Dzielnie się spisałeś, Rusty. Zdążyłeś na czas - doszedł  
go skądś głos Toda. - Teraz uciekaj stąd! Szybko!

Rusty rozejrzał się wokół siebie. Nie było ani Toda, ani  
pierwiosnka. Wahał się. Ojciec był ciągle nieprzytomny, może  
nawet... Nie! to niemożliwe. W każdym razie potrzebował  
natychmiast pomocy. Poderwał się do biegu na oślep. Nie  
wiedział nawet, czy we właściwym kierunku. W głowie kołata-  
ła mu jedna myśl. Jego ojciec potrzebuje pomocy. Leży tam  
zdany na ICH łaskę i niełaskę. Może nawet już nie żyje?! ONI  
mogą go zabić w każdej chwili!

Przyszły mu na myśl wersy wiersza, który będzie pamiętał  
do końca życia. Powracające memento mori:

„Taniec śmierci”

*Każdy przechodzień musi tu spojrzeć*

*By pamiętać kim będzie, gdy w dole*

*Między drewnianymi palami wzburzona rzeka*

*Biegnie z impetem jak rzeka Życia.*

Pod stopami wyczuł asfalt. Deszcz i wiatr smagały udrę-  
czone ciało biegnącego. Wreszcie upadł bez sił na środku pu-  
stej szosy.

## *Rozdział XIV*

### AMNEZJA

Ten sam nieduży pokój z jarzeniówką pod sufitem. Ludzie w bieli poruszali się tuż obok i rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami. Rusty znowu zamknął oczy. Oddychał z trudem. Jego ciało raz oblewało się żarem, a po chwili dygotało z zimna. Nie był w stanie wykonać ruchu. Mogli z nim robić, co tylko chcieli. Nie miał siły już walczyć. Ludzie wchodzili i wychodzili. Nie było różnicy między nocą i dniem. Jarzeniówka pod sufitem paliła się bez ustanku. Męczący półsen na przemian z przytomnym czuwaniem.

Ból głowy nieco zelżał. Wreszcie mógł otworzyć oczy bez bólu świdrującego czaszkę. Pulchna pielęgniarka cierpliwie karmiła go rosółem i pomagała wstawać do toalety. Siwowłosa mężczyzna w okularach bez ramek pojawiał się regularnie, aby go zobaczyć i odnotować coś w karcie chorobowej, wiszącej na łóżku. Oczywiście była też matka. Ojciec nie zjawił się, bo pewnie wyjechał w kolejną służbową podróż. Anthea przesiadła godzinami przy jego łóżku, trzymając go za rękę. Błada i milcząca wyglądała ciągle na zatroskaną, choć syn wracał

pomału do zdrowia.

Pamięć płatała mu dziwne figle. Przychodziły mu do głowy urywki jakichś niesamowitych zdarzeń, ale niczego nie mógł sobie przypomnieć. La Maison des Fleurs. Musieli się z niego wyprowadzić, bo coś niedobrego tam się działo. To było bardzo dawno temu. Bał się wtedy ogromnie, lecz nie potrafił przypomnieć sobie dlaczego. Zapadł w sen. Obudził go głos matki.

- Richard - uściśnęła lekko jego dłoń. Obok stał siwowłosy lekarz. - Jak się czujesz?

- Dobrze - pomału zbierał myśli. - Gdzie ojciec? Dawno mnie nie odwiedzał.

Anthea i dr Perry wymienili spojrzenia: jeszcze nie czas, żeby mówić cokolwiek chłopcu.

- Zajrzy do ciebie później. Teraz jest bardzo zajęty.

Rusty próbował przypomnieć sobie, o co chciał ją zapytać. O coś odnośnie domu. Po chwili, zmęczony wysiłkiem, usnął znowu. Obudził się, gdy pokój był już pusty.

Anthea Parlane praktycznie mieszkała w szpitalu. Krążyła między izolatką na parterze, gdzie leżał Rusty, a pokojem na drugim piętrze, który zajmował mąż.

Bruce oczekiwał jej przyjścia wsparty na poduszce. Głowę miał szczelnie obandażowaną.

- Jak tam Rusty?

- Lepiej. Dużo lepiej.

- Dużo bym dał, żeby pamiętać co się zdarzyło tamtej nocy.

- To nie ma w tej chwili znaczenia - przysiadła na łóżku i

pocałowała go. - Najważniejsze, że obaj pomału wracacie do zdrowia.

- To ma znaczenie - zaprotestował. - Pamiętam, że jechałem do tego domu. Chciałem go podpalić. Nie wiem co było dalej.

- Leżałeś nieprzytomny z roztrzaskaną czaszką u podnóża schodów na werandę. Motocyklista znalazł Rusty'ego na szosie kilkaset metrów dalej. Spędził on kilka godzin na deszczu i wietrze. Odnowiło mu się zapalenie płuc. Jeszcze tydzień temu doktor Perry obawiał się, że chłopak z tego nie wyjdzie. Teraz czuje się już dużo lepiej, tylko zupełnie nic nie pamięta. Jeszcze gorzej niż ty.

- Tym lepiej dla niego. Będzie miał w pamięci o kilka okropności mniej. O Boże, ile bym dał, żeby się wreszcie pozbyć tego diabelskiego domu!

- Najpierw dużo dałeś, żeby go nabyć - nie mogła powstrzymać się od złośliwości. - Wpadnę do ciebie jutro - pocałowała go na pożegnanie.

W drodze powrotnej zajrzała do Rusty'ego. Chłopak nadal spał. Diabelska siła zostawiła ich na razie w spokoju. Tylko na jak długo? Wiedziała, że nie może trwać to wiecznie. Wszyscy troje byli ciągle zdani na łaskę i niełaskę ZŁA.

- Rusty, Rusty! Słyszysz mnie?! - głos dochodził skądś obok, ale chłopiec był zbyt wycieńczony, by się obudzić. - Rusty!

- Co się dzieje? próbował otrząsnąć się z przytłaczającej senności.

- Rusty, potrzebujemy cię! ON się niecierpliwi, jest coraz

bardziej wściekły. Musimy wrócić do ojczyźnej ziemi. Nie możemy już dłużej czekać!

- My? To znaczy kto? Dokąd chcecie wrócić?
- Nie pamiętasz?
- Nie... chociaż może coś przedtem, jak...
- Jak powstrzymałeś swego ojca przed podpaleniem domu. To jednak ciągle mało. Musimy wrócić i to natychmiast.
- Dobrze, porozmawiam z ojcem.
- Twój ojciec jest poważnie chory. Zraniłeś go, ratując pierwiosnek.

- Ja?! Zraniłem go? Nic nie pamiętam.
- Musisz zmusić matkę, żeby nas odwiozła do Szwajcarii. Inaczej wszyscy zginiecie!

Głos Toda zamilkł równie szybko, jak się pojawił. Rusty nie miał siły walczyć dłużej z własną słabością. Męczyło go przekonanie, że coś musi zrobić. Nie wiedział jednak co ani jak.

Po raz kolejny pogrążył się w zapomnieniu.

Mel Barnes obserwował La Maison des Fleurs od dwóch tygodni. Dokładnie od dnia, w którym opuścił więzienie po odsiedzeniu rocznego wyroku. Pluł sobie w brodę, że dał się złapać w taki głupi sposób. Jak mógł nie przewidzieć, że facet, który kupuje sobie taką willę z pewnością zainstaluje też w niej alarm. Był nieostrożny, zbyt pewny siebie, ale to się nie powtórzy. Do więzienia nie idzie się za samo włamanie i kradzież, lecz własną głupotę.



Szczupły, niewysoki, od kilku dni niegolony mężczyzna, kryjąc się ciągle pod osłoną krzaków, podkrał się w pobliżu La Maison des Fleurs. Postawił kołnierz podniszczonego płaszcza, aby ochronić się przed wiatrem. Kolejna okazja, która wydaje się zbyt łatwa, by mogła być prawdziwa. Od przeszło dwóch tygodni wokół domu nie pojawił się żaden człowiek. Budynek zdawał się być opuszczony. Okiennica podważona scyzorykiem ustąpiła bez oporu. Przez brudną szybę zajrzał do środka. Wzdrygnął się. Musiał tu mieszkać jakiś kolekcjoner szalony na punkcie antyków. Ale żeby zbierać narzędzia tortur? Barnesowi nie mieściło się to w głowie. Skoro jednak gościa stać na kupowanie takiego złomu, to pewno nie szczędził i na inne rzeczy. Obliznął spieczone usta. Decyzję należało podjąć szybko. Udany skok zapewniłby mu beztrudne życie na dłuższy czas. Nic nie zapowiadało powrotu właściciela. Zmrok zapadł powoli. Teraz albo nigdy!

Na palcach zaczął się wspinać po drewnianych schodach. Niektórym ludziom przewraca się w głowach od dostatku. Po jakiego diabła stawiać dom na olbrzymich filarach kilka metrów nad ziemią tak, że można urządzić pod nim parking samochodowy. Taki bogaty głupek nie wie co robić z pieniędzmi, a porządny człowiek, jak Mel Barnes, musi narażać swe zdrowie i nerwy, aby utrzymać się przy życiu. Diabli by wzięli posiadłość tych bogatych. Chociaż pewnie to by było tylko drobnym niepowodzeniem finansowym. Stać by ich było na kupno

nowych domów, zamiast na przykład ufundować darmowy hotel dla bezdomnych. Dla ludzi takich, jak Mel Barnes, żeby mieli się gdzie podziąć pomiędzy odsiadkami. Oj, niesprawiedliwie dzieje się w tym kraju, czas chyba najwyższy, by zmienić rząd.

Oświetlił latarką mosiężną tabliczkę na ścianie. „Taniec śmierci”. Wymamrotał przekleństwo. To miejsce wywoływało dreszcze, ale nie miał zwyczaju wycofywania się z raz podjętej decyzji.

Zamek przy drzwiach nie stanowił problemu dla wprawnego fachowca. Odczekał chwilę, ale alarm się nie odezwał. Wszedł do środka. Uderzył go wstrętny, stęchły zaduch. Oparł się o dębową boazerię, powstrzymując mdłości. Gęsta ciemność wokół niego wydawała się obejmować go miękkimi maczkami. Czuł wyraźnie czyjąś obecność. Bzdura! Szybko spenetruje najbliższych kilka pomieszczeń i jego noga więcej tu nie postanie.

Pchnął drzwi do sypialni. Na dużym łóżku pod oknem poruszyła się kołdra, jakby unoszona oddechem śpiącego. Tam ktoś leży! Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Latarka w sparaliżowanej dłoni ciągle rzucała światło na łóżko. Jasnowłosy chłopiec w pasiastej biało-zielonej piżamie przetarł zaspane oczy.

- Dobry wieczór - odezwał się dzieciak z wyraźnym amerykańskim akcentem.

Cóż, do diabła, ten mały robi sam w takim domu? W dodatku zachowuje się tak, jakby co noc przyjmował włamywaczy.

- Chyba... chyba lepiej już pójdę – wymamrotał zmieszany Mel.

- Nie. Zostań. Pokażę ci coś - w głosie chłopca brzmiał rozkaz nieznoszący sprzeciwu.

Włamywacz bez oporu podążył za swym przewodnikiem. Zaczęli wspinać się po schodach. W całym domu panował chłód, a dzieciak zdawał się nie zauważać, że ma bose stopy. Dotarli na czwartą kondygnację. Wyżej był już tylko strych.

- Naprawdę muszę już iść - Barnes z trudem rozpoznał własny głos w stłumionym jęku, który wydobył się z jego własnego gardła.

- Spójrz - chłopiec przechylił się przez balustradę. - Właśnie stąd spadłem.

- Głupie żarty. I nic ci się nie stało?

- Jak to nic? Złamałem kręgosłup i wszystkie kończyny. Ja już nie żyję.

Zimny pot zrosił czoło Barnes'a. Chciał krzyknąć „kłamca”, ale głos uwiązł mu w gardle.

- To ONI mnie zabili - chłopiec mówił poważnie i spokojnie. - Przynajmniej szybko i stosunkowo bezboleśnie. Nie cierpiałem tyle co wielu innych.

„Wielu innych?!” Mel rozejrzał się trwożnie dookoła. Wiedział, że w ciemności poza nim ktoś stoi i obserwuje go uważnie. I czeka.

- Naprawdę już pójdę - wyszeptał.

- Już za późno. Nie masz dokąd pójść. ONI już tu są. Jedyna droga ucieczka jest tędy - chłopiec wskazał ziejącą czełusć.

- Nie! - klatka schodowa wydała mu się otwartym grobem.

- Nie bój się! To trwa zbyt krótko, żeby poczuć ból. Zobaczysz! Pochwyciły go drobne dłonie. Próbował się wyrwać, ale nie docenił ich siły. Poczul ból wykręcane ramienia i w ułamku sekundy leżał na drewnianej podłodze. Razy i kopniaki spadały na jego ciało.

- Pośpiesz się, ONI już tu są!

Wychylające się z ciemności ręce zdołały złapać tylko zniszczony płaszcz. Mężczyzna leciał w dół goniony strumieniem przekleństw. Jego ciało uderzyło o balustradę, odbiło się i ze zdwojonym impetem trzasnęło w przeciwległą ścianę. W ułamku sekundy mignęło mu kilka potwornie wykrzywionych twarzy, spoglądających znad górnej bariery. Odbił się jeszcze kilka razy o poręcz zanim z głuchym łomotem upadł na podłogę. Leżał z wytrzeszczonymi oczami. Widział jak wysoko ponad nim chłopiec usiłuje wyrwać się z trzymających go kilkunastu rąk, jak walczy jeszcze przez chwilę, próbując przytrzymać się balustrady. Wreszcie puszcza ją i leci głową w dół. Jego ciało uderza dokładnie w te same miejsca schodów co za pierwszym razem. Doskonale zna tę drogę, przebywał ją już wielokrotnie. Teraz tylko lądowanie jest inne: na pogruchotanym jeszcze ciepłym ciele innego człowieka zamiast na twardej, zimnych, dębowych deskach.

Tod zaśmiał się histerycznie z radości, że ICH wykpił. Śmiech przechodził w nieludzki przerażony skowyt, w miarę jak zbliżały się głosy prześladowców. Będą wściekli na niego za to, co zrobił.

Przynajmniej ten mężczyzna był .bezpieczny. Zdążył umrzeć, zanim ONI złapali go w swoje szpony. W ICH rękach umiera się po tysiackroć, za każdym razem gorzej, okrutniej. Zwykła ludzka śmierć wydaje się niczym przy ciągle powtarzających się egzekucjach, których on, Tod, doświadczał. Choć umarłeś wczoraj, umrzesz dzisiaj i będziesz umierać tak w nieskończoność, nigdy nie będąc ani w świecie żywych, ani martwych.

- O Boże, to straszne! - w głosie Anthei brzmiał strach i niedowierzenie.

Strach był prawdziwy, a niedowierzenie musiała udawać przed sierżantem Reptonem z wydziału kryminalnego.

- Przykro mi, że sprawiam pani kłopot, pani Parlane - sierżant znudzonym głosem wygłaszał rutynową regułkę, starając się, aby brzmiała przekonywająco i uspokajająco. W duchu klął szefa, który zawsze wyznaczał go do takich śmierzdzących spraw. Na szczęście kobieta widziała tego Barnes'a po raz pierwszy w życiu, więc nie było przynajmniej podstaw do hysterii. - Wiem, że ma pani wiele własnych trosk na głowie. Przykro mi z powodu choroby pani męża i syna. Muszę jednak prosić o klucze od domu dla dokonania dokładnej inspekcji. Co prawda był to zwykły wypadek, włamywacz spadł...

- Z czwartego piętra?  
- Tak. Skąd pani wie?  
- Syn poprzedniego właściciela też spadł z czwartego piętra, jeszcze kiedy dom ten stał w Stanach.

- Ach tak, rozumiem. Może ten górny podest jest źle zabezpieczony, obluzowała się balustrada, czy... - urwał, słysząc jak głupio i nieprzekonywająco brzmią jego własne słowa. Osobiście sprawdził dokładnie czwartą kondygnację i nie było tam absolutnie nic niebezpiecznego. Bardziej prawdopodobne wydawałoby się samobójstwo, lecz to nie mogło wchodzić w rachubę w przypadku takiego tchórzliwego rzezimieszka jak Barnes. - Zatrzymamy klucze przez kilka najbliższych dni.

- Proszę zatrzymać je tak długo, jak będą potrzebne - powiedziała Anthea. „Najlepiej na zawsze” - dodała w duchu. W tej chwili miała dużo poważniejsze zmartwienie. Rusty wychodzi jutro ze szpitala. Sugerowała doktorowi Perry, żeby zostawił go jeszcze przez tydzień pod obserwacją. On jednak twierdził, że to bezsensowne i chłopiec dojdzie do siebie najszybciej we własnym środowisku.

Problem polegał na tym, że to środowisko było niebezpieczne dla całej rodziny. La Maison des Fleurs, rozkraczony jak wielki pająk na drewnianych łapach, zaledwie milę od ich obecnego miejsca zamieszkania cierpliwie czekał, aż zbliżą się jego ofiary.

Wróciła do kuchni, żeby dokończyć zmywanie. Dr Perry powiedział, że Bruce powinien wrócić za tydzień do domu i że wyjazd na odpoczynek dobrze by im wszystkim zrobił. Tylko, że żaden wyjazd nie rozwiąże sytuacji.

Talerz wyśliznął jej się z rąk i rozprysnął na podłodze na drobne kawałki. Czuła jak wzbiera w niej od dawna tłumiona rozpacz. Z głośnym szlochem opadła na najbliższe krzesło. Nie sposób było dłużej żyć pod taką presją.

# *CZEŚĆ TRZECIA*

## TOD I RUSTY



## *Rozdział XV*

### UCZTA KRUKÓW

Bruce Parlane wiedział, że znajduje się w Szwajcarii, gdzieś w okolicy wzgórza Reichenbach. Nie mógł się mylić, gdyż wyraźnie słyszał charakterystyczny szmer wodospadu.

Stał samotny, zakłopotany i przestraszony. Nie wiedział jak się tu znalazł. Zupełnie nie mógł sobie przypomnieć podróży ani lotniska Heathrow, ani jazdy kolejką linową. Dr Perry przewidywał, że będzie miał pewne kłopoty z pamięcią, ale aż tak kompletna amnezja? Zresztą po co miałby tu przyjeżdżać.

Dobiegły go jakieś głosy. Ruszył w ich kierunku, ostrożnie stawiając kroki, aby się nie pośliznąć i nie runąć w przepaść. Wreszcie dostrzegł kilkanaście postaci zgromadzonych wokół ogniska. Ukrył się za wystającą skałą i zaczął się przyglądać. Tylko na pierwszy rzut oka sylwetki wydawały się ludzkie. Miały po dwie ręce i nogi, wyprostowaną postawę ciała, ale były dziwnie skarłale, skurczone. Zbyt wielkie głowy kołysały się nad koślawymi ramionami. Ciała miały poranione i poszarpane.

Tłumek, pomrukując złowrogo, otaczał wychudłego mężczyznę leżącego przy ognisku. Płomienie ogniska oświetlały wyraźnie nagie, pokryte skrzepami krwi i bliznami ciało. Wykrzyknął jakieś przekleństwo. Gromadka odskoczyła, jakby w obawie przed czarami. Potworki stłoczyły się, szukając u siebie nawzajem odwagi. Po chwili wybuchnęły niezrozumiałym wrzaskiem.

Tajemna siła trzymała Parlana'a w miejscu, zmuszając go do oglądania dalszego ciągu tego krwawego widowiska. Pełzające płomienie pożerały kolejne szczapy drewna i rzucały niez rzeczywiste cienie. W jego kryjówce panowało jednak przejmujące zimno.

Próbował zrozumieć, co się dzieje. Karłowate kreatury mają zdecydowanie wrogie zamiary względem leżącego mężczyzny. Przygotowują się, aby zadać mu ostateczny cios jak zgraja Pigmejów, która czeka aż ranny lew opadnie z sił, by go dobić. Siłę czerpie ze swej liczebności, każdy z nich oddzielnie absolutnie nic nie znaczy.

Na czoło grupy wysunął się przywódca i wskazał ofiarę długim nożem trzymanym w ręku.

Mężczyzna próbował się podnieść. Jęknął i strumień ciemnej krwi popłynął mu z ust. Bezsilnie osunął się z powrotem. Tłum zbliżył się do niego ośmielony tym dowodem słabości.

Na moment coś innego przyciągnęło uwagę Bruce'a: mały skrawek bieli odcinający się od ciemnego podłoża. Pierwiosnek! Kwiat przydeptany przez któregoś z karłów powoli

prostował się, przyjmując poprzednią pozycję.

Stwory otoczyły ofiarę kręgiem. Razem z przewodnikiem Bruce naliczył ich jedenaste. Nie rozumiał języka, którym mówią, ale sens ich wrzasków był oczywisty: „Wykończ go! Zabij!” Wypchnięty ze stada wódz doskoczył z uniesionym nożem do leżącego. Zagłębił ostrze w ciele. Parlane zasłonił oczy rękoma. Krwawa scena nie znikła. Próbował odwrócić głowę. Także bez skutku.

Zagrzewany okrzykami stada przewodnik, jak opętany zadawał kolejne ciosy. Zimny blask metalu migotał wśród rozbryzgującej się krwi i ochłapów mięsa. Tłum był ciągle nienasycony: „Dobij go! Dobij!”

Białe kości błysnęły spod posiekanej masy. Rozczłonkowane kończyny zwisały bezwładnie po bokach, złączone z tułowiem tylko pasmami skóry. Nienaturalnie wykręcona, prawie odrąbana głowa wytrzeszczała zaciągnięte bielmem oczy. Ofiara dawno nie żyła, lecz oprawcy ciągle byli żądni zemsty. Tłum rzucił się na ciało, rozszarpując je palcami na strzępy. Ci, którzy nie mogli się docisnąć do zwłok, tańczyli wokół w konwulsyjnych podrygach. Był to taniec śmierci.

Bruce poczuł mdłości. To nikczemne, potworne, niewiarygodne! Skąd tyle bestialstwa i nienawiści w tych małych potworkach? Dopiero pierwsze ranne promienie słońca przerwały jatkę. Stwory zaszargotały coś do siebie i z wyraźnym żalem odstąpiły od ofiary. Skulone i przez to jeszcze bardziej

wynaturzone, zaczęły się powoli wycofywać. Po chwili zniknęły w brzasku budzącego się dnia. .

Parlane jak zahipnotyzowany wpatrywał się w resztki ludzkiej padliny. W swojej kryjówce wyraźnie czuł smród gnijącego ciała. Niemożliwe, żeby zaczęło rozkładać się tak szybko. A jednak proces postępował błyskawicznie. Już po chwili mięso zaczęły toczyć białe larwy. Mazista ciecz utworzyła kałużę na skalistym gruncie wokół ciała. Bruce wyteżył wzrok. Pośrodku kałuży wyrosła wątła zielona łodyżka. Na jego oczach rozrastała się coraz bardziej i wreszcie zakwitła. Pierwiosnek! Roślina wyraźnie pochłonęła brunatną maź i rozwijała się coraz bujniej w miarę, jak plama zmniejszała swoje rozmiary.

Poranek był szarawy i mglisty, jakby słońce nie chciało oświetlić pozostałości jatki. Parlane posłyszał szelest skrzydeł nad swoją głową. Dwa czarne kruki krążyły coraz niżej nad ludzką padliną. Posępnym krakaniem sygnalizowały sobie nawzajem, że znalazły smaczny kąsek.

Po chwili nadciągnęła reszta stada. Ptaki rzuciły się żarłocznie na przegniłe mięso. Przez dłuższy czas słychać było tylko uderzenia dziobów o kości i zdławione krakanie. Bruce, zastygły w miejscu z obrzydzenia, nie mógł oderwać oczu od tej piekielnej uczty.

Wreszcie nastała cisza. Musiało być już chyba po południu, bo słońce znacznie przesunęło się na widnokręgu. Ptaki odleciały, pozostawiając do cna ogołoczone kości. Górski wiatr rozwiał resztki odoru. Bruce wreszcie odzyskał władzę nad

własnym ciałem. Zamiast jednak uciekać jak najdalej z tego piekielnego miejsca, podszedł do szkieletu. Zobaczył, że ptaki z niewiadomych przyczyn oszczędziły głowę. Ciągle można było jeszcze rozpoznać rysy wykrzywione bólem i wściekłością, usta zastygłe w momencie wzywania diabelskiej potęgi na pomoc.

Biały, niezwykle dorodny kwiat wyrastał ze skalistego gruntu. Nasycony ludzkimi sokami wyzywająco przeżył się przed samotnym obserwatorem. W powietrzu roznosił się delikatny zapach, podobny do tego, jaki wydzielają lilie posadzone na grobie. Parlane usiadł ciężko na ziemi. Był zbyt wyczerpany, żeby zdobyć się na najdrobniejszy ruch. Każde włókno jego ciała domagało się natychmiastowego odpoczynku. Nie mógł dłużej z tym walczyć. Przed zapadnięciem w kamienny sen zamajaczyła mu na moment dziwnie znajoma twarz ofiary.

Wydawało się, że minęła wieczność, zanim Parlane obudził się. Ciągle bał się otworzyć oczy, aby nie zobaczyć kolejnej sceny karni. Czuł słodkawy zapach kwiatu.

- Bruce! Bruce! Przyszedł doktor Perry!

Przez moment oślepiiony jasnym światłem dnia nie mógł się zorientować gdzie jest. Na pewno nie leżał już na skalnym gruncie wzgórza Reichenbach. Pod plecami czuł miękkość tapczanu. Widział znajomy kominiek z imitacji marmuru, zestaw ozdobnych pogrzebaczy na stojaku. Wreszcie ujrzał

błękitne oczy Anthei wpatrzone w niego z napięciem.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Tak - potwierdził mimo słabości, ciągle paraliżującej jego ciało. Zlokalizował wreszcie źródło mdławego, słodkiego zapachu. W wazie na stole stał bukiet żonkili i tulipanów. - Tak, spałem.

- Śpisz już od śniadania - uśmiechnęła się. - Jest już po południu.

- Byłem zmęczony. Takie bezczynne siedzenie bardziej wyczerpuje niż praca. Prawda, doktorze Perry?

- Niestety upłynie jeszcze kilka tygodni, zanim będzie pan mógł wrócić do pracy - dr Perry skinął głową. - Czy zaplanowaliście już państwo jakiś wyjazd, który radziłem?

- Jeszcze nie, ale zadzwonię dziś wieczorem do biura po dróży.

Dr Perry umilkł, zajęty badaniem pacjenta.

- Widzę wyraźną poprawę, choć puls jest ciągle jeszcze nierówny. Przepiszę jeszcze pewne leki.

Po chwili lekarz się pożegnał. Anthea odprowadziła go do drzwi.

- Dokąd zamierzasz nas zabrać? - zapytała po powrocie.

- Do Szwajcarii - Bruce podszedł do okna i przez chwilę obserwował Rusty'ego grającego w krykieta. - Albo lepiej pojedę sam.

- Po moim trupie - zacięta mina żony świadczyła, że nie żartuje. - Nie spuszczę cię z oka. Wystarczy tych samotnych

wypraw, które kończą się w szpitalu. Zresztą, co ci znowu przyszło do głowy?

- W porządku - usiadł w fotelu i zaczął jej cierpliwie tłumaczyć. - Zastanówmy się spokojnie nad naszą obecną sytuacją.'

- Ciągłe to robimy tylko bez żadnego efektu.

- Zgoda. Usiłowaliśmy odtransportować dom do Szwajcarii. Jest to jednak niemożliwe. Potrzeba nam innego rozwiązania.

- Jakiego?

- Należy odwieźć cebulkę pierwiosnka i zasadzić ją na starym miejscu.

- Bzdura. To niczego nie zmieni.

- Może zmieni, może nie. Nie mamy nic do stracenia.

- Nie chcę, żeby Richard znalazł się w takiej okolicy.

- Dobrze. Wy zostaniecie w Meiringen. Przyłączę się do jakiejś wycieczki i na wzgórze pójde sam. Zasadzę cebulkę i wrócę. Następnego dnia wyjedziemy ze Szwajcarii i wybierzemy się na prawdziwe wakacje do Paryża. Zgoda?

- Zgoda, choć właściwie... - dźwięk telefonu w korytarzu przerwał jej wpół słowa. - Ja odbiorę.

Po kilku chwilach była z powrotem.

- Do ciebie. Pośrednik handlowy z Europy.

Na miękkich nogach podszedł do aparatu. Ciągłe był słaby i wycieńczony.

- Pan Parlane? - głos w słuchawce był zniekształcony przez dużą odległość. - Nie uwierzy pani

- Uwierzę we wszystko. Oferta z Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych?

- Ja mówię poważnie. Propozycja kupna z zachodnich Niemiec. Człowiek nazwiskiem Schaffer jest skłonny zapłacić żadaną sumę. Dla nich to jest zabytek z czasów świetności przedwojennej czy coś takiego.

Bruce wiedział, że Anthea wyczekuje w napięciu, żeby opowiedział jej przebieg rozmowy.

- Mamy kupca. Niemiec. Pierwszy raz słyszę to nazwisko. Nie jest to nikt znany na rynku handlu nieruchomościami, ale to nie ma żadnego znaczenia. Ważne, że płaci, a my pozbędziemy się tego cholernego domu.

- Nie mogę uwierzyć - opadła na kanapę. - Nie tylko kłopot mamy z głowy, ale też nie musimy już jechać do Szwajcarii.

- Do Szwajcarii pojedziemy i tak - uśmiech Parlane'a zniknął.

- Po co na miłość boską?

- Właściwie sam nie wiem, ale musimy to zrobić.

Nie chciał mówić jej o swoim śnie. Był pewny, że pierwiosnek musi wrócić w miejsce, gdzie rzucając klątwy, zginął pierwszy z rodu Reichenbachów. Diabelskie nasienie musi złączyć się z rodzinną, przeklętą ziemią, może wtedy zostawi ich rodzinę w spokoju.



## *Rozdział XVI*

### ZŁO DO ZŁA

La Maison des Fleurs wyglądał wręcz przyjaźnie, kiedy Anthea i Bruce zbliżali się do niego porośniętą chwastami ścieżką. Poranne słońce odbijało się w splukanych przez ostatnią ulewę szybach. Wydawać by się mogło, że ktoś żyje tu sobie spokojnie i szczęśliwie. Anthea wzdrygnęła się na myśl, że kiedyś tu mieszkali. Dobrze, że Rusty został w samochodzie. Mogłoby mu bowiem przypomnieć się ostatnie fatalne przeżycie.

Jej samej cisnęła się teraz do głowy myśl o tym mężczyźnie, który zginął tutaj kilka tygodni temu. Komisja orzekła, podobnie jak w przypadku Toda Pennanta: „Zmarły śmiercią tragiczną w niewyjaśnionych okolicznościach”. Nie można było jednak znaleźć innego logicznego wyjaśnienia.

Drewniana balia na werandzie pełna była deszczówki. Tu i ówdzie stały jeszcze kałuże. Po pierwszoku nie zostało nawet śladu, to nie ta pora roku. Musiał zwiędnąć już dawno. Anthea podała mężowi łopatkę, modląc się w duchu, żeby udało im się odnaleźć diabelską roślinę.

~ - To musi być gdzieś tu - Bruce zaczął rozgrzebywać ziemię tuż obok schodów wejściowych. - Jest!

Westchnienie ulgi wyrwało się z obu piersi. Mężczyzna trzymał w drżących palcach niepozorną, brunatną cebulkę, jakich tysiące można kupić w każdym sklepie ogrodniczym. Wrzucił ją do nylonowej torebki i schował do kieszeni. W milczeniu wrócili do samochodu, czując, że spoza szyb domu gonią ich złowrogie, nienawistne spojrzenia zmarłych, którym zakłócono spokój.

Turystyczna osada u podnóża Reichenbach o tej porze była pusta i senna. Sezon jeszcze się nie zaczął i goście nie zaczęli napływać. Parlane'owie zamieszkali w hotelu Tourist. Zamówili nocleg tylko na dwie noce, mając nadzieję, że nie będą musieli zostać tu dłużej.

- Chyba powinnam pójść z tobą - Anthea zastanawiała się głośno, popijając whisky w hotelowym barze.

- Nie. Lepiej zostań tutaj i opiekuj się Richardem. Nie można zostawić go samego. Zresztą nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Pójdę tam w biały dzień z całą grupą turystów.

- Masz rację. Ale uspokoję się dopiero, kiedy wrócisz.

- Wybierz się z Richardem na wycieczkę statkiem po jeziorze Thun. Codziennie jest organizowana taka wyprawa.

Czas wam szybko minie, a kiedy wrócicie będzie już po wszystkim. Będziemy mogli o wszystkim zapomnieć. Dalej niech się martwi pan Schaffer i miejscowi ludzie.

- Nie żartuj sobie.

Wrócili do sypialni. W jednej z nie rozpakowanych walizek spoczywała niewinnie cebulka pierwiosnka. Dla nich była to jednak bomba z opóźnionym zapłonem. Noc spędzili oboje w oczekiwaniu, czując, że nie są jedynymi osobami w tym pokoju.

Kolejka linowa jadąca na wzgórze Reichenbach załadowana była po brzegi turystami. Bruce wciśnięty w kąć przyglądał się im z zazdrością. Dla nich była to tylko wypoczynkowa wyprawa w miejsce owiane legendami o wydarzeniach, które tu zaszły i o ostatnim tajemniczym właścicielu.

Mężczyźni w myśliwskich kapeluszach i sportowych bluzach rozmawiali przyciszonymi głosami i ćmili fajki. W miarę jak wjeżdżali wyżej, rozmowy cichły. Widok z okien przyciągał uwagę podróżnych. Pod nimi roztaczały się skalne, strome urwiska i rwący, spieniony wodospad. Głęboka otchłań miała dziwnie przyciągającą moc. Wywoływała chęć skoku i bezkresnego lotu ponad nią. Rozum bronił się przed zrealizowaniem tego pragnienia, podsuwając wizję ciała roztrzaskanego na skale.

Bruce'owi dokuczał tępy ból w skroniach. To zmęczenie i gwałtowna zmiana wysokości - uspokajał się, wysiadając z wagoniku na szczycie. Turyści ruszyli za przewodnikiem. Po przejściu kilkunastu metrów Parlane odłączył się od grupy i

skręcił w prawo. Chyba nikt nie zauważył jego zniknięcia. Palcami wymacał w kieszeni drobną okrągłość. Szybko cofnął rękę, jak kieszonkowiec złapany na gorącym uczynku.

Wyszedł spomiędzy drzew i stanął na skraju zachwaszczonego pola. Zdziczałe drzewa i krzewy wskazywały teren dawnego ogrodu. Nierówno zasypane doły pokazywały, gdzie dawniej stał dom. Niezdecydowanie przechadzał się tam i z powrotem, nie wiedząc gdzie posadzić cebulkę. „Usiądź, odpocznij sobie i rozejrzyj się spokojnie. Nie ma się co śpieszyć. Do zapadnięcia zmroku jest jeszcze mnóstwo czasu. Zobacz jak tu pięknie!” Usłyszał wewnętrzny głos i przysiadł na kamieniu. Pałac papierosa, rozkoszował się widokiem. Pogoda była piękna. Szkoda, że nie zabrał ze sobą Anthei i Rusty'ego. Nie było tu nic niebezpiecznego.

Ból w skroniach wzmógł się. Już wczoraj wieczorem nie czuł się dobrze. Miał nadzieję, że szklaneczka whisky dobrze mu zrobi, ale tak się nie stało. Wyciągnął się na trawie. Od pocznie trochę, zrobi co ma do zrobienia i wróci.

Do bólu głowy dołączył się tępy ból w dołku. Czyżby to znowu nadkwasota? Zdarzało mu się to czasem po zjedzeniu czegoś smażonego na tłuszczu. Mimo wszystko to dziwne. Dawno nie miał z tym problemów, a na śniadanie jadł bułki z dżemem porzeczkowym.

W kilka minut później był pewien, że to coś dużo poważniejszego niż nadkwasota. Nie mógł zrozumieć, co to może być.

Oslabienie po niedawnej chorobie? Może po prostu brak kondycji? Mimo bólu musiał doprowadzić swój zamiar do końca i zasadzić pierwiosnek w rodzinnym gruncie. Wstał przytrzymując się skały. Słońce stało nisko na zachodnim skraju nieba. To niemożliwe! Nie mogło minąć aż tyle czasu. Odpoczywał najwyżej godzinę.

Kawałek ziemi, który kiedyś był ogrodem Pennantów, teraz stanowił zarośniętą głuszę. Trawniki i grzędy kwiatowe porastało zielsko. Gdzieś tu musiał znajdować się grób pierwszego z Reichenbachów, źródło diabelskiej siły, którą nasączył się kwiat, powodując kolejne reinkarnacje ZŁEGO.

Parlane próbował zorientować się w terenie. Tu stał dom, schody musiały kończyć się kilka metrów dalej. Jakies dwa kroki w prawo powinno znajdować się właściwe miejsce pierwszaka. Z wysiłkiem ruszył w wyznaczonym kierunku. Przy każdym kroku ból się potęgował, coraz trudniej było mu utrzymać równowagę. „Muszę iść. Muszę się pośpieszyć. To tylko zmęczenie” - dodawał sobie otuchy. Dotarł do skarłowaciałego krzaka laurowego. Pamiętał go z pierwszej wizyty u Pennantów. To na pewno tutaj!

Zatoczył się i upadł. Z wysiłku migotały mu przed oczami czerwone pląty. Odetchnął kilka razy i zaczął posuwać się dalej na czworakach.

Wyciągnął z kieszeni torebkę z pierwszakiem. Zaczął się mocować, aby ją rozerwać. Wreszcie niepozorna brunatna grudka uwolniona została z worka.

Uczuł przyływ mdłości. Torsje wstrząsające ciałem odebrały mu resztkę sił. Śpieszył się.

Gleba była twarda i zarośnięta zielskiem. Żałował, że nie wziął żadnego ostrego narzędzia. Nie miał nawet scyzoryka. Zaczął więc ryć ją palcami, zdzierając sobie paznokcie. Wpadł na pomysł, by użyć ostrego kawałka kamienia. Odrzucił kilka chwastów. Wreszcie otwór głębokości kilku centymetrów był gotów.

Upadł na bok dysząc ciężko z wysiłku. Spróbował wrzucić cebulkę do dołka. Upadła tuż obok, jakby wzbraniając się przed powrotem do macierzystej ziemi.

Kolejne eksplozje bólu w piersiach. Musi się zdobyć jeszcze na odrobinę wysiłku. Cebulka nie może pozostać na otwartym polu. Jakieś gryzonie mogłyby ją przenieść w inne miejsce. Trzeba spełnić ICH wolę i zakopać załączek rośliny dokładnie w tym miejscu. Inaczej zemsta spadnie na Antheę i Rusty'ego.

Nie widział już nic zza migających mu przed oczami czarno-czerwonych plam. Po omacku szukał cebulki. Jakiś obły kształt. Zbyt ciężki i twardy. To kamień. Wreszcie jest! Wepchnął ją do jamki i przysypał piaskiem. Skończone.

Parlane odwrócił się na plecy. Ból był teraz ciągły, nie dawał chwili wytchnienia. Śmierć zbliżała się szybkimi krokami.

Czuł, że temperatura znacznie spada. Musiała być już noc. Żałował, że nie zabrał żony i syna ze sobą. Nie byłby tak samotny w ostatnich chwilach życia. Okrutna jest świadomość,

że jest się jedynym żywym człowiekiem na skalnym pustkowi. Bał się, że czeka go powolne konanie.

Ludził się nadzieją, że Anthea i Rusty są bezpieczni, że udało mu się ułagodzić gniew Reichenbacha. Dzięki Bogu, że znalazł się ten szaleniec Schaffer i kupił dom. Rodzina będzie miała zabezpieczenie finansowe po jego śmierci.

„Uśnij. Należy ci się odpoczynek po tej ciężkiej pracy. Nie obudzisz się już nigdy. Uspokój się. Nie ma sensu dalej walczyć o życie. Znikąd nie nadejdzie' pomoc. To zawał!”

Ocknął się nagle. Ból minął, nie zostawiając najmniejszego śladu. Zdał sobie sprawę, że nie leży już na twardym i skalistym podłożu. Zamiast tego znajdował się w małym, mrocznym i ponurym pomieszczeniu oświetlonym jedynie nikłą poświatą, sączącą się przez maleńkie okienko wysoko pod sufitem.

Pod przeciwległą ścianą dostrzegł poruszenie. Na klepisku, oparty plecami o ścianę, siedział mężczyzna. Głowę ukrył w kościstych ramionach. Musiał być wysoki i szczupły...

Bruce zakasłał. Drugi człowiek wolno podniósł głowę, ukazując bladezielonkawą twarz z nieproporcjonalnie dużymi, zniekształconymi ustami. Głowa, która z początku wydawała się łysa, okazała się odarta ze skalpu. Zamiast włosów pokrywała ją skomplikowana sieć zarośniętych blizn.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Parlane i przestraszył się echa odbijającego jego słowa w pustym pomieszczeniu.

- A gdzie moglibyśmy być? - mężczyzna mówił słabo po angielsku i z wyraźnym obcym akcentem.

- La Maison des Fleurs - główna kwatera gestapo od czasu zakończenia wojny.

- La Maison des Fleurs? To niemożliwe. Ten dom jest teraz w Anglii.

- Zapewniam cię mój przyjacielu, że to ten dom. Pozwól, że się przedstawię. Jestem Pierre Lautrec, członek francuskiego ruchu oporu podczas wojny. Wojna w rzeczywistości zakończyła się czterdzieści lat temu, tutaj nie zakończy się nigdy.

- Dlaczego tu jesteś?

- Żeby odpokutować za nasze zbrodnie przeciw Führerowi.

- Ale ja byłem zbyt młody, żeby brać udział w wojnie!

- Nie musiałeś walczyć - usta Francuza rozciągnęły się w grymasie, który miał być uśmiechem.

- Mogłeś narazić się im w inny sposób. Inaczej nie byłbyś tutaj. Wszyscy inni już nie żyją. Zabrano ich na egzekucję.

- Jacy inni?

- Chłopiec, kobieta. Pozostali mężczyźni. Najpierw długie męczarnie, podczas których modlisz się o rychłą śmierć. Potem egzekucja i wszystko zaczyna się od początku. Ja będę ścięty. Nie wiem jak ty zginiesz, bo mnie zawsze mordują pierwszego.

„To wariat”! Nie mogę wierzyć w te brednie. Gdzie ja jestem? Parlane usiłował przypomnieć sobie wydarzenia ostatnich godzin. Jak znalazł się w tym cuchnącym więzieniu?



Oczywiście, miało to coś wspólnego z pierwiosnkiem. Ale co? Może Lautrec będzie wiedział.

- Przywiozłem ten kwiat z powrotem do Szwajcarii - odezwał się.

- Aaa... To wszystko wyjaśnia.

- Co wyjaśnia?

- Dlaczego tortury tak się przedłużały tym razem. Reichenbach musiał poczekać z egzekucjami aż wrócimy do Szwajcarii. I Schaffer zjawił się po długiej nieobecności.

- Kto to jest Schaffer? - Bruce zadrżał na dźwięk nazwiska nabywcy domu.

- Pomniejszy faszystowski zbrodniarz. Porucznik Reichenbacha. Mnie się udało przeżyć wojnę. Wiele lat później odszukałem Reichenbacha i zabiłem go. Ale to nie zmieniło niczego. Żaden żywy człowiek nie jest w stanie im się przeciwstawić. A kiedy ciebie zabili?

- Nie pamiętam - odpowiedział Parlane zgodnie z prawdą. To wszystko musiało się dzieć w jakimś pozaziemskim świecie. Musiał więc umrzeć wcześniej, aby móc to przeżyć.

Lautrec ciągle coś mówił. Próbował mu wyjaśnić, co się dzieje w La Maison des Fleurs. Parlane był zbyt osłabiony i zszokowany, by móc zrozumieć jego wywody. Martwił się o żonę i syna. Czy byli jeszcze ciągle w Meiringen? Może poszli szukać go na wzgórzu? Ale przecież on nie mógł być teraz w Szwajcarii, bo dom stoi w Anglii. To wszystko było zbyt skomplikowane.

Na korytarzu rozległy się kroki. Szczęknęła odsuwana zasłona. Do lochu weszło dwóch mężczyzn. Boże! Takie kreatury nie mogą rzeczywiście istnieć! Wyższy z nich - Reichenbach - był właściwie tylko szkieletem odzianym w łachmany munduru. Z twarzy zwisały mu płaty gnijącego mięsa. Także z czaszki i kończyn ciało odpadało mu dużymi kawałkami. Wokół niego unosił się niewyobrażalny wręcz smród zaniedbanej latryny. W całej postaci tylko oczy wydawały się ludzkie: żywe i błyszczące z nienawiści.

Drugi, niższy i tęższy mężczyzna był w mniej zaawansowanym stadium rozkładu. Jego twarz miała stosunkowo nieznaczne ubytki.

- Lautrec - Reichenbach zwrócił się do Francuza, stojąc tyłem do drugiego więźnia. - Wiele przestępstw masz na sumieniu. Teraz nadszedł twój koniec.

Skinął dłonią na Schaeffera. Pomagier przyzwyczajony do posłuszeństwa, jak lizus w szkole wypełniał każde życzenie nauczyciela. Z zadziwiającą siłą schwycił więźnia za kark i poderwał z podłogi. Jego chude nadgarstki zamknął w kajdanach, zwisających z kamiennego sufitu. Ofiara pochyliwszy głowę stała na czubkach palców. Jednym ruchem rozerwał jej koszulę na plecach. Zamajaczyły w ciemnościach dwa rzędy żeber obciążniętych prawie przezroczystą skórą.

- Gotów!

Reichenbach z białym batem stanął w pewnej odległości od wyprężonego więźnia. Parlane zadrżał, widząc, że sznur bata zakończony jest metalową ostrą rozetą. Chciał zamknąć oczy,

ale powieki zastygły mu w jednej pozycji i zmuszały do oglądania kaźni. Zaczął liczyć razy spadające na coraz bardziej poranione plecy Francuza.

- ... trzynaście... czternaście... Krew spływała wąskimi strużkami. Żaden człowiek nie przeżyłby tak strasznego biczowania... dwadzieścia jeden... dwadzieścia dwa...

Furia Niemca zdawała się sięgać zenitu. Grzbiet Lautreca stanowił już kawał skrwawionego mięsa. Kolejne razy rozpryskiwały odrobiny ludzkiego ciała po ścianach lochu. Wreszcie Reichenbach opadł z sił.

- Wykończ go - powiedział do Schaffera.

Parlane chciał krzyknąć, że nie ma potrzeby, bo ten człowiek już dawno nie żyje. Jednak żaden dźwięk nie wydobył się z jego zdławionego gardła.

Schaffer wziął do ręki ciężki topór z rękojeścią wyslizganą od częstego używania. W ciemnościach błysnęło ostrze. Niemiec wziął potężny zamach. Topór spadł z impetem na kark ofiary, rozrywając ciało i miażdżąc kręgosłup. Głowa zawisała bezwładnie ciągle jeszcze trzymając się korpusu pojedynczym ścięgnem. Oprawca podniósł narzędzie raz jeszcze. Czaszka uderzyła o klepisko i poturlała się do stóp Reichenbacha. Oczy, oczy oszalałe z bólu, wydawały się ciągle żyć. Hitlerowie kopnęła ją w kąt. Odbiła się od ściany i zatrzymała przy zwłokach, których częścią była jeszcze do niedawna.

Zbrodniarze stanęli przed Parlane'em. Skulił się odruchowo i błagał w myślach o łaskę, której nie spodziewał się otrzymać.

- Schaffer - Reichenbach dyszał ze zmęczenia... - Zabij i tego. On jest nieważny, nie będę tracił na niego czasu.

- Ja, Herr Reichenbach!

Po raz kolejny powieki odmówiły Parlance'owi posłuszeństwa. Mimowolnie obserwował ruchy hitlerowca. Ten nie spiesząc się odpiął kaburę i wyjął ciężki rewolwer. Odbezpieczył i wymierzył w czoło Anglika.

- Pośpiesz się - ponaglił go Reichenbach.

Lufa pistoletu znajdowała się zaledwie kilkanaście centymetrów przed twarzą skazańca. Wpatrywał się w nią jak zagapiony zając w oczy psa, czekając aż rzuci mu się do gardła. W otępiałym mózgu rodziło mu się tylko niedowierzanie. „Nie strzelaj. Odwiozłem pierwsosnek na miejsce. Wypełniłem waszą wolę”.

Głuchy szczęk pociągniętego cynгла. Kula przeszła czaszkę na wylot, odłupując kawałek ściany za plecami Bruce'a. Rozbryźnięty mózg krwawo poznaaczył ściany.

## *Rozdział XVII*

### TANIEC ŚMIERCI

Jeziro Thun w czasie burzy stanowi niezapomniany widok. Na chwilę objawia się niszczycielska moc przyrody, by po chwili powrócić mogły dawny spokój i cisza.

Burzowe sine chmury pojawiły się najpierw wysoko nad wierzchołkami gór. Rozbłysły pierwsze błyskawice. Rozszalał się ulewny deszcz. Słońce zniknęło w ponurych ciemnościach. Białogrzywe fale wstrząsały niewielkim parowcem. Ludzie na pokładzie zastygli ze zgrozy i podziwu.

Po chwili wszystko ucichło tak nagle, jak się zaczęło. Chmury ustąpiły miejsca słońcu. Pojawiła się tęcza.

Pasażerowie wylegli na pokład, śmiejąc się i dzieląc uwagami.

- Przelotna burza - skomentowała Anthea Parlane. Rusty nie odpowiedział. Z natężeniem wpatrywał się w przeciwległy brzeg. Całe jego szczupłe ciało było naprężone do granic możliwości. Zaciśnął usta i dłońmi kurczowo trzymał się poręczy.

- Mamo - odezwał się ledwie dosłyszalnym, drżącym z obawy głosem. - Ojciec jest w niebezpieczeństwie. Czuję to.

- Skąd możesz o tym wiedzieć? - Anthea była także niepokojna.

- Po prostu czuję to. Musimy pójść na wzgórze i mu pomóc.

Spojrzała na zegarek. Była czternasta trzydzieści.

- Ojciec jest już prawdopodobnie w drodze powrotnej. Możemy się z nim minąć. Będzie się niepokoił, gdy nas nie zastanie w hotelu.

- Musimy mu pomóc. Wiem, że dzieje się coś złego.

- W porządku - wzięła go za rękę. - Wsiądziemy, gdy tylko statek przybije do brzegu. Złapiemy najbliższy pociąg lub autobus do Meiringen. Może przy wyciągu linowym będą wiedzieli, czy ojciec już zszedł na dół.

Strach Anthei podwoił się, gdy zeszli na ląd. Znała to uczucie. Podobny niepokój czuła, kiedy jej nastoletni brat zginął w wypadku samochodowym. Wtedy była pewna, że chłopak nie żyje, zanim policja poinformowała ich o wypadku. Teraz usiłowała zachować pozory spokoju, żeby nie straszyć jeszcze bardziej Rusty'ego. Szli w milczeniu, mocno trzymając się za rękę.

O czwartej po południu dotarli do dolnej stacji kolejki linowej. Wagonik właśnie ruszył ze zgrzytem w górę. Ludzkie twarze przyklepione do szyb wpatrywały się w rozmarzeniu w

urokliwe, górskie krajobrazy. Dla nich była to tylko wakacyjna przygoda, ale dla dwojga ludzi pozostałych na dole kwestia życia lub śmierci.

- Czy mówi pan po angielsku? - Anthea zwróciła się do młodego sprzedawcy biletów. Chłopak wzruszył ramionami. Prawdopodobnie nie chciał mu się wdawać w konwersację w obcym języku. Anthea próbowała opisać Bruce'a. W odpowiedzi otrzymała kolejne wzruszenie ramion.

W pół godziny później wagonik powrócił. Anthea i Rusty zajęli miejsca w milczeniu. Było duszno i czuli jak wilgotne ubrania kleją im się do ciała. Naprzeciwko nich siedział starszy, siwowłosy mężczyzna, pykający wonnym dymem z rzeźbionej, zabytkowej fajki. Miał wyraźną ochotę nawiązać rozmowę, ale Anthea z uporem spoglądała w okno. Nie miała już teraz żadnych wątpliwości - coś złego musiało przytrafić się Bruce'owi.

Wreszcie dojechali na wierzchołek. Anthea ciągnąc za sobą Rusty'ego, zaczęła przepychać się przez tłum wysiadających. „Z drogi! Z drogi leniwe mieszcuchy! Gdzieś tu jest mój mąż, któremu grozi niebezpieczeństwo”!

- Ostatni zjazd w dół o piątej! - krzyknął za nimi operator kolejki.

Zaczęli biec. Na górze było znacznie chłodniej. Skręcili w kamienistą ścieżkę wiodącą na prawo. Chłopiec potknął się i przewrócił. Zerwał się jednak szybko na nogi, nie zważając na otarte kolana. Dogonił matkę bliski płaczu.

Dobrnęli wreszcie do miejsca, gdzie dawniej stał La Maison des Fleurs. Diabelska posiadłość. Tutaj musiał przyjsć Bruce i prawdopodobnie ciągle jeszcze gdzieś tu był. Zaczęli go szukać, przedzierając się przez krzewy i zarośla. Z pobliskiego drzewa z głośnym krakaniem zerwał się kruk.

- Chodź do mnie bliżej - szepnęła Anthea.

Rozchylali kolejne chaszczce. Bruce'a nigdzie nie było. Odrobina nadziei zaczęła kielkować w ich sercach. Może przecucia ich myliły. Może Bruce już od dawna czeka na nich w hotelu i niecierpliwi się.

Podeszli do skarłowaciałego krzaka laurowego. Większość jego liści była pożółkła i poskręcana, jakby jakaś choroba wyssała życie z rośliny.

- O Boże święty! - Anthea zobaczyła pierwsza okrutny widok.

Bruce leżał na wznak na ziemi. Miał szeroko rozrzucone nogi i zaciśnięte na piersiach ręce. Rysy twarzy zastygły w wyrazie nieludzkiego cierpienia. Nie było wątpliwości, że śmierć mężczyzny była tragiczna.

Matka i syn przytulili się do siebie. Ich obawy potwierdziły się.

- Musimy wezwać pomoc... Zawołamy tych ludzi na wzgórze... żeby powiedzieli na dole... - głos uwiązł Anthei w gardle - aby przyjechali z trumną i zabrali ciało - dokończyła w myślach. W ten sposób dosięgła ich wreszcie zemsta Reichenbacha.

Tłumiąc łkanie zeszli do górnej stacji kolejki. Pierwszą osobą, na którą się natknęli był starszy, siwowłosy mężczyzna z fajką.



- Błagam pana - wykrztusiła Anthea.  
- Słucham panią - mężczyzna skłonił się w staroświeckim stylu. - Mam nadzieję, że państwu także podoba się...  
- Mój mąż nie żyje! Leży tam! - krzyknęła histerycznie, wskazując mu kierunek.

- Nie żyje?

- Błagam! Niech pan zjedzie na dół i zawiadomi policję.

Mężczyzna przyglądał się jej z niedowierzaniem i odrobiną lęku. Lubił przeżywać niesamowite historie w marzeniach, ale nie na jawie.

- Niech mi pan uwierzy! Zaprowadzę tam pana! - Anthea próbowała przekonać go, że mówi prawdę.

- Nie, nie - zaprotestował szybko. - Nie ma potrzeby. Wierzę pani. Zjadę najbliższym wagonikiem i poinformuję policję.

- Dziękuję.

Mężczyzna oddalił się szybkim krokiem, oglądając się co chwila przez ramię.

- Wrócimy tam i poczekamy na policję – głos Anthei pozabawiony był wyrazu.

Ciasno przytuleni, usiedli na zwalonej skale na skraju polany, gdzie dawniej stał La Maison des Fleurs. Żadne słowa nie były w stanie wyrazić ich rozpacz i bólu.

Czas mijał. Cienie drzew wydłużały się. Gdzieś w oddali słychać było co jakiś czas przytłumione głosy ludzkie i szum kolejki. Jednak ani śladu policji.

- Musimy coś zrobić. Ten mężczyzna chyba zapomniał pójść na posterunek albo po prostu nam nie uwierzył - odezwała się Anthea.

- Wolałbym sam spotkać tego Reichenbacha na swej drodze - w głosie chłopca brzmiała determinacja i wściekłość.

- Cii... objęła go ramieniem.

W kilka minut później znaleźli się z powrotem na stacji. Zaniepokoiła ich panująca tam głucha cisza. Zegar potwierdził ich obawy. Była siedemnasta piętnaście i ostatni wagonik na dół dawno odjechał. Byli jedynymi żywymi ludźmi na wzgórzu Reichenbach.

- Musimy spróbować znaleźć ścieżkę powrotną na dół. Musi gdzieś tu być jakiś stary szlak. Zanim zbudowano wyciąg, turyści wchodzili tu pieszo - Anthea próbowała opanować ogarniającą ją rozpacz.

- Wydaje mi się, że z tyłu polany, gdzie dawniej stał dom, powinno być zejście. Oboje zadrżeli na myśl, że będą musieli ponownie przejść obok trupa Bruce'a. Słońce chyliło się ku zachodowi. Jeszcze godzina i zapadną kompletne ciemności.

Zaczęli przedzierać się przez zarośla, omijając celowo Bruce'a szerokim łukiem. Po dwudziestu minutach wrócili dokładnie w to samo miejsce, z którego wyszli. Nie znaleźli ani śladu ścieżki. Wpadli w panikę. Uwięzieni na diabelskim wierzchołku byli jak jedyne żywe istoty na bezludnej wyspie lub na nieznanym planecie.

- Musimy spróbować jeszcze raz - Anthea starała się, aby jej głos brzmiał spokojnie i przekonująco.

- Na pewno przeoczyliśmy początek ścieżki.

Ruszyli znowu na poszukiwanie. Mocno trzymali się za ręce, szukając w sobie wsparcia i otuchy. Drzewa rzucały zagmatwane cienie, potęgujące uczucie zagubienia i osamotnienia.

Nagle zobaczyli chłopca stojącego pod pobliskim drzewem. Patrzył na nich uważnie i najwyraźniej czekał, aż się do niego zbliżą. Rusty rozpoznał go od razu. To był Tod Pennant.

Anthea bliska była zemdenia. Ona także poznała Toda, choć był teraz bardzo wychudzony, zmizerowany i nosił na twarzy ślady przeżytego koszmaru.

- Nie mamy czasu do stracenia. ON zabił już twego ojca i innych. Co się stało z pierwioskiem? Musi być gdzieś tu, bo inaczej nie byłibyśmy w Szwajcarii.

Dokładnie słyszeli słowa Toda, choć jego usta nie wykonały najmniejszego ruchu. Rozumieli się w dziwny telepatyczny sposób.

- Jest gdzieś tutaj. Mój ojciec go przywiózł.

- Musimy więc go natychmiast odnaleźć.

Ruszyli w ślad za jasnowłosym chłopcem na polanę. Czasem musieli biec, aby nadążyć za swym przewodnikiem. Bruce ciągle leżał obok krzaka laurowego. Anthea próbowała nie patrzeć w twarz męża, ale coś mimowolnie przyciągnęło jej wzrok. Zaskoczona spostrzegła, że napięcie i agonialne cierpienie zniknęło z jego rysów. Oczy miał teraz zamknięte, a na jego obliczu malował się spokój.

- Szukajcie pierwiosnka. Bruce musiał go gdzieś tu zakopać - zarządził Tod.

Rusty przyklęknął. Ziemia w jednym miejscu była świeżo rozkopana.

- Jest!

Zacisnął cebulkę w dłoni. Bał się, że ją zgubi w gęstych zarostach.

- Teraz szybko do wodospadu! Musisz rzucić ją w przepaść!

Pobiegli skalistą ścieżką: Tod pierwszy, Rusty zaraz za nim i Anthea na końcu. Drobne kamienie usuwały im się spod nóg i pryskały na boki. Szum wody był coraz bliższy. Jeszcze jakieś dwieście lub trzysta metrów.

- Stać! - głos za nimi rozległ się jak trzaśnięcie bicia. Odwrócili się jak na komendę. Pięćdziesiąt metrów za nimi stał mężczyzna. Nie mogli się mylić. To był Reichenbach! Wieczorny wiatr rozwiewał strzępy munduru wokół postaci hitlerowskiego oprawcy. Przegniłe płaty mięsa i skóry odsłaniały kości policzkowe. Spóźnili się. Znieruchomieli na moment przykuci do ziemi siłą jego nienawiści i gniewu.

- Oddaj to!

Tod wysunął się naprzód. Stał między Reichenbachem, a pozostałą dwójką, osłaniając ich rozpostartymi ramionami. Zrozumieli w mgnieniu oka, że muszą biec dalej, a Tod spróbuje powstrzymać prześladowcę choć na kilka chwil.

Rusty poczuł, że odzyskał władzę w nogach. Rzucił się do biegu. Za sobą słyszał przyspieszony oddech Anthei. Jedna tylko myśl kotłowała mu się w głowie. „Nie oglądaj się za siebie. Biegnij!” Zmęczone płuca z trudem chwytają powietrze.

Uderzenia pulsu w skroniach rozlegały się z hukiem młota pneumatycznego.

Przeciągły, bolesny krzyk Toda urwany nagle świadczył, że chłopiec uległ przemocy. Stanęli już na wąskiej, skalnej półce na szczycie wzniesienia. Tuż pod nimi pienił się, bulgotał wielki wodospad.

- Oddaj mi to!

Anthea zachwiała się i upadła na skałę. Rusty'emu wydawało się, że ktoś go spętał żelaznymi obręczami uniemożliwiającymi najdrobniejszy ruch. W zaciśniętej pięści trzymał cębulkę pierwiosnka.

- Oddaj!

Z najwyższym wysiłkiem rozwarł palce. Brunatna kulka spadła na ziemię, odbiła się i zniknęła we wzburzonej wodzie. Przez huk wodospadu dobiegł ich przeciągły jęk ciężko ranionego zwierzęcia, które wie, że nadszedł jego koniec, ale za nic w świecie nie chce rozstać się z życiem.

Rusty poczuł, że odzyskał zdolność ruchu. Odwrócił się i spojrzął w stronę, z której dobiegał głos. Matka skulona na ziemi pod skałami patrzyła w tym samym kierunku. Ich prześladowca upadł na kolana i jak porażony wpatrywał się w zdradliwy nurt wodospadu. Widać było, jak szybko uchodzą z niego siły i życie. Bezwładnie osunął się na ziemię i zamarł. Wreszcie po całych wiekach nieśmiertelności i sprawowania okrutnej władzy nastąpiła jego klęska.

Zapadła cisza. Słyszać było tylko odgłosy wody spadającej po kamieniach. Rusty chwiejnym krokiem podszedł do matki

i objął ją. Przytuliła głowę do jego ramienia. Byli wycieńczeni przeżyтыми chwilami grozy, ale wreszcie czuli się bezpieczni. Nastął koniec ich własnej tragedii i cierpienia ofiar Reichenbacha. Wyzwolili się spod władzy diabelskiej mocy.

Następnego dnia późnym popołudniem dotarli do hotelu Tourist u podnóża góry. Żyli jak w transie, ciągle nie mogąc otrząsnąć się z przeżytych wrażeń. Nie byli w stanie uwierzyć, że siła władająca La Maison des Fleurs została pokonana raz na zawsze i że Bruce zginął. Nawet rozpacz z powodu jego śmierci nie miała dostępu do ich umęczonych umysłów. Piętno odcisnięte w ich duszach musiało się najpierw zablźnić, aby zaczęli odczuwać cokolwiek innego, aby mogli budować swe życie od nowa.

Na razie ich egzystencja toczyła się mechanicznie i bezdusznie. Jedzenie bez odczucia smaku, sen nieprzynoszący odpoczynku, rutynowa krzątania bez celu. Jak zwykle kupowali codziennie gazety i wertowali ich strony nie rozumiejąc sensu rzędów czarnych znaków.

Gazeta „Sun” sprzed kilku dni poniewierała się na jednym z foteli w hotelu. Zgnieciona i rozerwana przyciągała wzrok dużym czarnym nagłówkiem. Rusty przeczytał go odruchowo. Coś go zastanowiło. Przeczytał drugi raz i trzeci, zanim zrozumiał sens. Zatrzymał się i zapatrzył.

- Co się dzieje? - Anthea zauważała jego wahanie i zawróciła od drzwi wyjściowych.

- Spójrz - wskazał jej palcem.

„NAWIEDZONY DOM W PŁOMIENIACH” - głosił nagłówek.

„Wczoraj w nocy, w drewnianym zabytkowym domu na Stratford-on-Avon w Warwickshire, wybuchł pożar. Przybyli na miejsce strażacy, nie byli w stanie ugasić ognia. Policja przypuszcza, że przyczyną pożaru było celowe podpalenie. Widziano chłopca w wieku od dwunastu do czternastu lat uciekającego z miejsca pożaru. Był on szczupły, jasnowłosy, ubrany w zniszczone drelichy. Policja prowadzi poszukiwanie. Osoby będące w stanie zidentyfikować sprawcę proszone są o natychmiastowy kontakt.

Dom, słynny z opowieści o prześladowających go duchach, był własnością pana Bruce'a Parlana. Obecnie pozostała po nim jedynie mosiężna tabliczka z wrytym fragmentem wiersza Longfellowa. Policji nie udało się zawiadomić właściciela, gdyż przebywa on prawdopodobnie na urlopie w Szwajcarii.”

Anthea ciągle jeszcze trzymała gazetę w ręku, kiedy wyszli na zewnątrz. To się stało cztery dni temu. Dokładnie w tę noc, kiedy zniszczyli pierwiosnek. Totalne unicestwienie. Zaledwie kilka wygrawerowanych wersów wyznaczało pogrzebowy stos Reichenbacha.

„Taniec śmierci”.

*Każdy przechodzień musi tu spojrzeć  
By pamiętać kim będzie, gdy w dole,  
Między drewnianymi palami, wzburzona rzeka  
Biegnie z impetem jak rzeka Życia.*